

# O dwóch takich, co ukradli księżyc



KORNEL MAKUSZYŃSKI

## O dwóch takich, co ukradli księżyc

### ROZDZIAŁ PIERWSZY, W KTÓRYM UJRZYMY MIASTO RODZINNE JACKA I PLACKA

Pięć mil<sup>1</sup> dalej, niżli<sup>2</sup> kiedykolwiek doleciał najodważniejszy wróbel, wśród czterech drzew, nad bystrym potokiem, w którym nigdy nie było wody, stało bardzo stare miasto, sięgające odwiecznych czasów. Musiało ono być stare, bo na dachach domów wyrosły srebrnozielone brody mchów, a wieża kościoła była bardzo pochylona na lewą stronę; jedni mówili, że z tej strony wisiał większy dzwon i swoim ciężarem ją przechylił, inni natomiast przypisywali to sędziwej<sup>3</sup> starości. Miasteczko to nazywało się Zapiecek. Jest to nazwa skromna, bo skromni w tym mieście mieszkali ludzie, dobrzy i poczciwi. Chwalili Pana Boga i wiedli pracowity żywot. Nikt o nich nigdy nie słyszał ani nikt się o nich nie troszczył, nikt z tego miasta nigdy nie wywędrował ani nikt do niego nie przyjeżdżał, bo nie było po co. Do słynnego Pacanowa, które jest na świecie sławne z tego, że w nim kują<sup>4</sup> kozy, przyjeżdżali najwięksi panowie, a król, mieszkający daleko we wspaniałej stolicy, raz na rok zapytywał:

— A co tam słyhać w Pacanowie?

Kiedy mu odpowiadano, że wszystko szczęśliwie i że burmistrz jest zdrow i dobrze wygląda, król się przyjemnie uśmiechał i dalej rządził.

A o biednym Zapiecku nikt nic nie słyszał ani nikt o nim nie wspominał. Ja też byłbym o tym mieście nic nie wiedział, ale sto trzy lata temu, kiedy wędrowałem po świecie, zajęchałem przypadkiem do tego miasta, w którym mnie serdecznie powitano. Równie serdecznie i z wielką wrzawą powitano tam i mojego konia, bo ostatni koń zdechł tam przed dwustu laty z głodu i od tego czasu ludzie konia nie widzieli, tylko najstarsi opowiadali sobie, że takie wspaniałe zwierzę istnieje na świecie.

W tym to mieście dowiedziałem się najróżniejszych historii, które zapisałem i teraz ogłaszam je w książce.

W tym mieście ludzie byli bardzo biedni, choć ciężko pracowali; na polach jednakże więcej było kamieni niż zboża, a na czterech drzewach rodziło się jedenaście jabłek, jeśli rok był bardzo urodzajny, albo nic się nie rodziło. W strumieniu nigdy nie było wody, tak że nawet żaby, których jednego lata było aż siedem, wywędrowały bardzo zniechęcone, więc podczas letnich wieczorów było smutno i cicho. Bociany, obawiając się, że zginą z tego powodu śmiercią głodową, omijały Zapiecek i leciały wszystkie do stolicy, gdzie na placach i ulicach tyle było błota, że tam łatwo mogły znaleźć wiele smacznego jedzenia, co skacze na długich nogach.

Zapiecek był bardzo smutnym miasteczkiem, tym smutniejszym, że burmistrzem był w nim stolarz, który robił trumny, więc się nigdy nie śmiał z tego powodu. Nie miał on jednak wiele pracy, bo ludzie tam rzadko umierali, raz na sto lat, bo żyli wstrzemięźliwie<sup>5</sup>, mało jedli i ciężko pracowali. Może dlatego byli bardzo chudzi, tak że kiedy wiał silny wiatr, brali w ręce wielkie kamienie i chodzili tak obciążeni, aby ich nie porwał, albo

Miasto

Miasto, Bieda, Zwierzęta

<sup>1</sup> *mila* — dawna miara odległości o różnej wartości, zależnie od regionu i epoki; mila w państwach zaborczych mierzyła ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *niżli* (daw.) — niż. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *sędziwy* — bardzo stary. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *kuć* — przybijając podkową pod kopyta. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *wstrzemięźliwy* — potrafiący powstrzymać się od czegoś bądź zachować w czymś umiar. [przypis edytorski]

chodzili gromadą, trzymając się za ręce. Jednak bardzo kochali swoje miasto i byli z niego dumni, choć nie było w nim wesoło.

Z domowych stworzeń trzymały się tam tylko muchy, choć nikt nie wiedział, czym się karmią i jakim cudem żyją. Był tam też pies, baran i kogut. Pies był to kudłaty, poczciwy kundel imieniem Łapserdak<sup>6</sup>, wielki dziwak i oryginał. Nikt nigdy nie widział, żeby ten pies jadł cokolwiek, nikt też nie miał do niego pretensji, że nie szczekał, nie biegał i nie wywijał ogonem. Przez cały dzień spał i czasem tylko uśmiechał się przez sen.

— Śni mu się kielbasa! — mówili wtedy dobrzy ludzie.

Było to jednak niemożliwe, Łapserdak bowiem w całym swoim życiu nie widział kielbasy i nie wiedział, co to za чудо. Inni twierdzili, że biedny pies z wielkiego głodu zwariował i śmieje się bez sensu. Było to też nieprawdą, pies ten bowiem był zwierzęciem nadzwyczaj mądrym, trzeba bowiem być mędrcom, aby żyć, nie jedząc. Najprawdopodobniejsze jest, że powolnym ćwiczeniem odzwyczaił się od jedzenia albo też jadł trawę, wbrew swojej naturze. Widziano jednak, że pił wodę, kiedy po wiosennych roztopach płynęła w strumieniu; kiedy jej nie było, wtedy cierpliwie oczekiwał deszczu; w chwili zaś, gdy lunęła ulewa, Łapserdak zadzierał głowę do góry, otwierał szeroko pysk i w ten prosty sposób łąpał wodę. W nocy patrzył smutno w niebo z taką miną, jak gdyby liczył gwiazdy, jednak miał tak mało sił, że nie wył nawet na widok księżycy w pełni, co jest obowiązkiem każdego uczciwego psa.

Ludzie go bardzo kochali i byli dumni z takiego psa filozofa, on zaś nawzajem kochał ludzi. Był to zresztą jeden z nielicznych psów na świecie, który nie miał pcheł, nie było bowiem pchły tak lekkomyślnej, która by się sama chciała skazać na śmierć głodową, obrawszy sobie mieszkanie w lesie kudeł poczciwego Łapserdaka. Wszyscy go znali, on również znał wszystkich, co nie było jednak sprawą trudną, gdyż w mieście tym niewiele było mieszkańców. Głodny jest zawsze bratem głodnego, więc miłość była obopólna. Ten dobry pies nie uległ nigdy namowom i naszczekiwaniami z dalekich stron, wołającym go do bogatych ludzi i do tłustego jadła. Był przyjacielem tych, z którymi pędził nędzne życie i smutne dni: nie jadł on, bo i ludzie byli głodni, ale ich nie opuścił. Tak wiernym w niedoli potrafi być tylko poczciwy pies i jeszcze jedno stworzenie: wróbel. Jest to najlepszy ptak na świecie; łobuz i urwis, kiedy jest wiele do jedzenia, ale i wierny przyjaciel w dniach klęski. Kiedy przepiórki, spaspły się w zbożu, kiedy inne ptaki, objedzone i zażywe<sup>7</sup>, odlatują na zimę, wróbel, dobry patriota, ani nie pomyśli o tym, aby opuścić swoich dobrych przyjaciół ludzi, wśród których się urodził i wychował. Cierpi głód, na śmierć często zmarznie na mrozie, ale nie odleci, a na wiosnę kozły fika w kurzu ulicy, zadowolony i rad. Toteż kiedy w zimie wróble są w wielkiej nędzy, zawsze przełamuję mój chleb na połowę i sumiennie się z nimi dzielę.

Nie mogłem jednak poratować biednego Łapserdaka, bo miasteczko Zapiecek znajduje się na końcu świata i trzeba było do niego wędrować przez siedem miesięcy. Po stu latach od tego dnia, kiedy go widziałem po raz ostatni, już nie żył. Jeżeli byłby dotrwał jeszcze kilka lat, to byłby dożył lepszych czasów, bo już tam ludzie jeżdżą, aby ujrzeć to wspaniałe miasto, i przywożą ze sobą jedzenie: ser, chleb i jaja na twardo.

Z żywych stworzeń w tym mieście najdziwniejszy jednakże był stary kogut, bardzo piękny i dumny. Nie groziło mu nigdy żadne niebezpieczeństwo, trzeba było bowiem mieć stalowe zęby, aby go można było zjeść, a ugotować by go można chyba na ogniu piekielnym, tak był twardy i łykowaty z powodu sędziwego wieku. Był on powodem wielu nieporozumień i zamieszek w przyrodzie. Wiadomo, że słońce wtedy wschodzi, kiedy zaczynają pisać koguty, dając tym znak, że czas już rozpocząć pracowity dzień. Kogutowi w Zapiecku musiało się jednakże z głodu albo też z nazbyt sędziwego wieku coś pomieszać w bystrym rozumie, bo czasem, z niewiadomego powodu, zaczynał przeraźliwie pisać wśród ciemnej nocy. Słońce jednak nigdy wtedy nie wschodziło, bo wiedziało, że zaszła jakaś pomyłka; ludzie jednak wstawali, dziwiąc się bardzo, dlaczego nie jest jasno, bowiem bardzo wierzyli swemu zasłużonemu kogutowi. W całym mieście nie było zegara, byli więc przekonani, że kogut się nie pomylił, tylko że ze słońcem coś się popsuło.

<sup>6</sup>Łapserdak (pot.) — nędzacz; nicpoń, łobuz. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zażywny — tęgi, lecz energiczny. [przypis edytorski]



Ten szlachetny ptak żywił się w tym głodnym mieście piaskiem i wapnem, które odłamywał ze ścian domów, tak że po wielu latach wszystkie domy, na wysokość wzrostu koguta, wyglądały tak, jakby odarte ze skóry. Był to ptak powszechnie bardzo szanowany, gdyż wobec zupełnej bezradności psa on pełnił rolę stróża i wszystkich wrogów miasta napawał srogim lękiem, zbrojny<sup>8</sup> w wielką ostrogę<sup>9</sup> i głos tak chrapliwy jak trąba jerychońska<sup>10</sup>. Wprawdzie to wygłodniałe miasteczko nie miało wrogów, ale wszystko się mogło zdarzyć w owych czasach, kiedy królowie wiodli ze sobą wielkie wojny. Wojna między miastem Wroniogon a miastem Zgniłaśliwka wybuchła o to, że król jednego miasta tak głośno kichnął, że przestraszył śmiertelnie koźę królewską w drugim mieście.

Miasteczko Zapiecek nie chciało jednak wywoływać żadnych wojen, bardzo spokojne i zgodliwe<sup>11</sup>. Jego dobrzy mieszkańcy prosili Boga jedynie o kawałek chleba i o odrobinę wody i jakoś żyli, nie krzywdząc się wzajemnie. Uprawiali oni rozmaite rzemiosła<sup>12</sup>, pracując pilnie i powoli, nie było bowiem zbytniego powodu do pośpiechu. Był wprawdzie w tym mieście szewc, ale w swoim życiu zrobił tylko jeden but dla pana burmistrza, bo na drugi zabrakło już skóry. Był wprawdzie kowal, ale ponieważ nie miał nic do roboty, więc w wolnych chwilach był listonoszem, ale że nikt nie wysyłał żadnych listów do tego miasta i nie było tam żadnej poczty, więc ten pracowity człowiek postanowił zająć się dojeniem krów i czekał już od wielu lat na to, aby ktoś sobie kupił krowę, na co jednak nie można było bardzo liczyć. Najwięcej do roboty miał krawiec, który jednak od wielu lat nie uszył nowego ubrania, tylko skracał i przerabiał stare, z ojca na syna. Każde ubranie przechodziło po wiele razy przez jego ręce, więc znał każde doskonale i mógł je przerobić z zamkniętymi oczyma.

Jednakże najsmutniejszym rzemieślnikiem w tym nieszczęśliwym mieście był Józef Salceson, rzeźnik. Od wielu, wielu lat czekał on na ten wielki dzień, w którym będzie mógł zarżnąć jedyne w Zapiecku barana, który się zwał Kapcan. Ponieważ jednak baran miał twarde życie i był zwierzęciem bardzo pożytecznym, więc ani sam nie chciał zakończyć życia, ani też jego pan nie chciał mu go odbierać. Rzeźnik więc od wielu lat ostrzył tylko nóż i smutnym wzrokiem patrzył na barana, baran zaś, pewny swojego, patrzył wesoło na rzeźnika i czasem figlarnie<sup>13</sup> mrużył prawe oko. Rzecz oczywista, że rzeźnik ten, nie mając zajęcia, byłby zginął z głodu, gdyby nie to, że oczekując na baranią śmierć, postanowił zająć się łowieniem ryb, co również okazało się po pewnym czasie zajęciem mało korzystnym, gdyż w strumieniu nie było wody, a ryby tego bardzo nie lubią. Biedny rzeźnik porzucił przeto<sup>14</sup> szybko i to zajęcie i żył, jak inni mieszkańcy Zapiecka, z małego kawałka ziemi, ciężko ją uprawiając.

Obok mieszkali dobrzy ludzie, którzy też chudo<sup>15</sup> żyli z uprawy małego pola. Mąż i żona, zacni<sup>16</sup> i łagodni, uśmiechali się do siebie pomimo wielkiej nędzy. Byli sami na świecie, więc bardzo pragnęli mieć dzieci, aby im kiedyś na starość pomogły uprawiać małe pole.

Rodzilo się na nim mizerne zboże, a ten dobry człowiek i jego żona drżeli wciąż, aby się jakieś nie przygodziło<sup>17</sup> nieszczęście, bo im kto biedniejszy, tym mniej mu się jakoś wiedzie. Chociaż wiecznie głodne wróble rzadko przylatywały w te okolice, wróbla jednak nigdy nie można być pewnym, więc kiedy zboże dojrzało, człowiek ten stał wśród rzadkich kłosów i udawał stracha na wróble. Łatwo mu to przychodziło, gdyż był bardzo chudy i strój miał bardzo oberwany<sup>18</sup>. Gdyby przyleciał stary, mądry wróbel, i tak by to nie pomogło, bo wróbla tak łatwo oszukać nie można, ale jakoś się taki nie zjawił.

Żona tego człowieka, dobra i serdeczna kobieta, gorącymi modlitwami zawsze po-

Modlitwa

<sup>8</sup>zbrojny — uzbrojony. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>ostroga — skierowany do tyłu pazur na stopie samca niektórych gatunków ptaków. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>trąba jerychońska (przen.) — bardzo głośny dźwięk; wg biblijnej *Księgi Jozuego* miasto Jerycho, oblężone przez Izraelitów, zostało zdobyte dzięki temu, że kiedy towarzyszący wojsku kapłani zadęli w trąby, a wojownicy wzniesli okrzyk wojenny, potężne mury miasta runęły (Joz 6, 1–20). [przypis edytorski]

<sup>11</sup>zgodliwy (rzad.) — zgodny. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>rzemiosło (daw.) — zawód. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>figlarny — zabawny. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>chudy — tu: skromny, biedny. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>zacny (daw.) — godny szacunku, zaufania. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>przygodzić się (daw.) — przytrafić się. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>oberwany — podarty. [przypis edytorski]

trafiła to wymodlić, że ani grad, ani burza nie czyniły biedniutkiemu zbożu krzywdy. Tyle tego było, że burza zmięłaby<sup>19</sup> to jedną ręką i pożarła jednym kłapnięciem srogiej paszczy. Kiedy się jednak zbliżyła do tych nieszczęśliwych pól, bardzo zła i napastliwa, a zaświeciwszy sobie błyskawicą jak latarnią, ujrzała twarz przerażonej kobiety, aż szarą z wielkiego lęku, wtedy nawet w burzy miękkło serce i zamiast pożreć to zboże, litowała się serdecznie i płakała ciężkimi, wielkimi kroplami deszczu nad ludzką nędzą i trudem.

Tych dwoje ludzi żyło pomimo biedy szczęśliwie i w zgodzie ze wszystkimi, bowiem tylko bogaci skąpcy wiodą wojnę o swoje skarby, biedacy zaś mogliby się wadzić<sup>20</sup> chyba o to, który z nich dłużej był głodny. Dlatego w miasteczku Zapiecek nikt z nikim nie był skłócony, a radością jednego cieszyli się wszyscy.

Toteż całe miasteczko przyjęło z wielką radością wieść, że się tym dobrym ludziom urodziły bliźnięta.

Bieda, Skapiec

## ROZDZIAŁ DRUGI, W KTÓRYM JACEK I PLACEK NAPEŁNIAJĄ STRUCHLAŁY ŚWIAT KRZYKIEM I TRWOGĄ

Radość z powodu powiększenia rodziny poczciwego i starego rodu trwała jednakże krótko; spadła na miasteczko jak ulewny deszcz i równie szybko wyschła. Zawsze cieszone się w Zapiecku, ile razy na świat przyszedł nowy obywatel, gdyż Zapiecek zwiększał się i zyskiwał na potęgę; dotąd jednak rodziły się tam dzieci grzeczne i ciche, o których nic nie było wiadomo aż do czasu, kiedy podrosły i zaczęły brać krzykliwy udział w życiu miasteczka. Teraz jednak stało się coś nadzwyczajnego: od razu urodzili się dwaj chłopcy i natychmiast po przyjściu na świat rozpoczęli taki wrzask, że całe miasteczko porwało się na nogi; wystraszeni ludzie wybiegali na jedyną ulicę, wypytując się nawzajem, czy się gdzie nie pali. Burmistrz w jednym bucie, zatroskany o los miasteczka, w którym zawsze było cicho i spokojnie, nie wiedział, co począć i jaką znaleźć radę, bo krzyk wzmagał się i stawał się przeraźliwy. Młodym obywatelom nie podobało się widać w Zapiecku, więc darli się wniebogłose bez rozumnej przyczyny. Nikt w całym miasteczku nie mógł zmrużyć oka.

Uradzono więc naprędce, aby burmistrz, który u wszystkich zażywał<sup>21</sup> wielkiej powagi, poszedł do domu szczęśliwych rodziców i — prośbą czy groźbą — zmusił nowo urodzonych mieszkańców do ciszy i spokoju. Rada jednakże była na nic, gdyż młodzi obywatele nie umieli jeszcze mówić ani nie rozumieli ludzkiej mowy. Dostojny burmistrz mógł więc jedynie narazić swoją godność, gdyby go nie usłuchali.

Tymczasem stały się rzeczy tak dziwne, że cały Zapiecek osłupiał, bowiem jak daleko sięga pamięć ludzka, nie wydarzyło się tam nic podobnego. Oto pies Łapserdak, najłagodniejszy z psów, który spał sobie smacznie i od tygodnia nie otwierał oczu, wiedząc, że nic ciekawego nie zobaczy, pies, który od wielu, wielu lat nie wydawał z siebie głosu, przebudził się nagle, słuchał przez chwilę przeraźliwego wrzasku nowych mieszkańców, po czym najeżył się i zaczął wyc tak głucho i takim głosem pełnym płaczu, że ludziom włosy stawały na głowach.

Na cały Zapiecek padł lęk i przerażenie. Niejedno już się zdarzyło w Zapiecku za życia Łapserdaka, ludzie rodzili się i umierali, wybuchł pożar, a raz nawet, podczas dżdżystej<sup>22</sup> wiosny, wylał strumień. Były to sprawy wielkiej wagi i mrozące krew w żyłach, Łapserdak jednak, jak gdyby wiedział, że wszystko na świecie przemija, nie przerywał nawet swojego snu i trwał w spokojnej i mądrej zadumie. Teraz jednak, jak gdyby stało się największe z nieszczęść, zawył i mimo mądrych perswazji<sup>23</sup> przelękłych ludzi nie chciał się uciszyć. Psy są to stworzenia rozumne i nigdy nie robią niczego bez należytego powodu. Łapserdak zaś był niemal filozofem, bo wiele długich lat przemyślał w wielkim milczeniu, nie dziwił więc, że przerażili się wszyscy.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie! — rzekł burmistrz ponuro. — To jest zły znak!

— Łapserdak wie, co robi — mówili ludzie.

Pies

<sup>19</sup>zmięć — pognieść. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>wadzić (daw.) — klócić. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zażyć (daw.) — doświadczać, doznawać (zazwyczaj czegoś dobrego). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>dżdżysty — deszczowy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>perswazja — namawianie lub odradzanie poparte argumentacją. [przypis edytorski]

Nie mieli jeszcze czasu, aby się zastanowić nad niepojętym wzruszeniem mądrego psa, gdy nagle ujrzeli jedyne w Zapiecku barana, który zdradzał wyraźne objawy obłąkania. Wyrwawszy się ze swej stajenki, cwałował przez całe miasto jak przerażony koń, przeraźliwym bekiem napelniając powietrze. Rzucili się ludzie, aby chwycić za rogi szaleńca i powstrzymać go w nierozumnym pędzie, baran jednak, choć bardzo stary i pozbawiony sił, roztrzącił wszystkich, wywrócił samego burmistrza i pognął przed siebie. Byłby tak biegł do końca świata, z przerażeniem w wylupiastych oczach, gdyby, nie widząc niczego w osłepłym zapamiętaniu, nie był wpadł<sup>24</sup> na jedną szeroką kobiecinę. Wedle powszechnej mody w Zapiecku miała ona na sobie siedem kiecek, w które się dziki baran tak zaplątał, że legł w bezsile<sup>25</sup>. Wtedy rzuciło się na niego coś czterdziestu chudych mieszkańców i związali go z wielkim wysiłkiem.

Strasznych rzeczy dokazywał również kogut. Piał, choć to nie była pora na pianie, grzebał nogami ziemię, a nie umiając latać, kręcił się w kółko w jakimś opętanym tańcu. Ludzie patrzyli z przerażonym zdumieniem, wróżąc sobie z tego wszystkiego najgorsze rzeczy.

Ale to był dopiero początek. Narodziny dwóch bliźniaków stały się jakimś przeraźliwym zdarzeniem, gdyż nie tylko ludzie okazywali niepokój, nie tylko pocziwe zwierzęta postradały z niewytłumaczonego strachu swój wielki i sędziwy rozum, ale nawet i sama natura wzięła udział w ogólnym zamieszaniu. Ni stąd, ni zowąd wśród pogodnej nocy zerwał się wiatr i jak przed niedawnym czasem obłąkany baran, tak teraz wiatr, który spał w łożysku<sup>26</sup> wyschniętego strumienia, porwał się z krzykiem ze snu i zaczął uganiać po Zapiecku. W nierozumnym szaleństwie chwycił za włosy cztery biedne drzewa i zaczął je nielitościwie tarmosić, aż zaczęły drżeć ze strachu i płakać rzewnie.

Wśród liści słychać było wyraźnie płacz i błaganie o litość. Wtedy wiatr, jakby nie wiedział, co czyni, wypuścił je z kosmatych rąk i zawodząc piskliwie, zaczął biegać wśród domów i niecierpliwie odrywał zamknięte okiennice, jakby chcąc zobaczyć, skąd pochodzi ten przeraźliwy krzyk dziecięcy, który go obudził. Zrobił się wrzask i koniec świata: ludzie krzyczeli, pies wyl, skrępowany baran beczał, kogut szalał i tańczył, wiatr gwizdał, drzewa płakały, a na dobitek<sup>27</sup>, zwabione tym hałasem, przyleciały gdzieś z krańca widnokregu chmury i myśląc zapewne, że w Zapiecku wybuchł pożar, puściły deszcz.

Ludzie pochowali się po domach i nie mogąc zmrużyć oka, rozważali, co by to wszystko znaczyło. Kiedy się narodzi królowi syn, wtedy strzelają z armat, ale nawet wtedy psy nie wyją i koguty nie tańczą, a barana mało to zdarzenie obchodzi. Nigdy się natomiast nie zdarzyło, aby z tego drobnego powodu, jak narodziny dwóch synów u biednego człowieka, srożyła<sup>28</sup> się natura. Słusznie więc zatrwożyło się całe miasteczko, bo wszystkie te przeraźliwe zdarzenia oznaczały, że narodziny tych dwóch chłopców zapowiadają smutne rzeczy. Dobre kobiety w Zapiecku orzekły, że to będą dwa potwory albo wyrosną z nich straszliwi zbroje. Tymczasem nasi dwaj obywatele, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co się zdarzyło z ich powodu, czynili w dalszym ciągu piekielny wrzask.

Toteż rano, kiedy w pogodny dzień ludzie się stają bardziej odważni, wszyscy mieszkańcy Zapiecka udali się w wielkiej pielgrzymce pod dom pocziwych ludzi, aby się dowiedzieć, co się tam właściwie dzieje. Pies już nie wyl, ale czuwał z najeżoną sierścią, baran stał ogłupiały, nie tknąwszy jedzenia, co oznaczało u niego najwyższą rozpacz, a kogut po całonocnym tańcu leżał bez siły i lypał<sup>29</sup> oczyma. Gromada ludzi, z burmistrzem na czele, zbliżała się ostrożnie do siedziby noworodków; pod pułapem<sup>30</sup> tego mizernego domku gnieździły się jaskółki, ale okazało się, że tej nocy uciekły nie wiadomo dokąd.

Nikt się temu bynajmniej nie dziwił, bo baran jest większy od jaskółki, a także chciał uciec z miasteczka.

W domku było spokojnie.

<sup>24</sup>nie był wpadł — daw. forma czasu zaprzeszczonego, używanego dla wyrażenia czynności poprzedzającej inną czynność wyrażoną w czasie przeszłym zwykłym; znaczenie: nie wpadł (wcześniej). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>bezsiła — bezsilność. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>łożysko — koryto rzeki, strumienia. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>na dobitek — ponadto, dodatkowo. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>srożyć się — złościć się. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>łypać — spoglądać. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>pułap (daw.) — drewniany strop albo sufit. [przypis edytorski]

— Pewnie śpią — rzekł szeptem burmistrz. — Zachowujcie się cicho, dobrzy ludzie, aby ich nie zbudzić.

Wszyscy mieszkańcy stąpali przeto cichutko, a jeden, bardzo odważny, leciutko pokrobał w drzwi, aby wywołać ojca głośnych dzieci. Po chwili zjawił się on na progu, bardzo błądy i z zatroskaną twarzą.

— Co się u was dzieje, panie bracie? — zapytał cicho burmistrz.

— Źle się dzieje — rzekł ojciec. — Mam wprawdzie dwóch synów, ale nie wiem, co to z tego będzie. Mają bardzo donośne głosy...

— Tośmy słyszeli — rzekł burmistrz. — Ale dlaczego tak krzyczeli?

— Nikt nie uwierzy dlaczego. Ja sam nie mogłem uwierzyć. Tak są do siebie podobni, że własna matka nie może ich odróżnić, więc jednemu przywiązaliśmy do nogi czerwoną wstążeczkę, a drugiemu białą. Wtedy ten, co dostał białą, rozgniewał się i chciał zerwać bratu czerwoną, bo mu się widać bardziej podobała, a tamten nie chciał oddać. Powstał z tego powodu taki krzyk i rwetes<sup>31</sup>, że nie było innej rady, tylko zdjęliśmy im tasiemki, aby nie było awantury. Matka płacze, bo się boi, że w rodzinie będzie niezgoda.

— Dziwne rzeczy. A teraz śpią?

— Wcale nie śpią, tylko jeden patrzy nieustannie na drugiego i uważa<sup>32</sup>, czy ten drugi nie dostał czegoś, czego on nie ma.

— A czy ładne chłopaki?

— Pożal się Boże! Oczy mają bardzo mądre, ale bardzo przystojni nie są. Jeden i drugi ma na twarzy piegi, tak że wyglądają jak nakrapiane<sup>33</sup> jaja.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy znowu przeraźliwy krzyk rozległ się w domku.

Ojciec wbiegł szybko do izdebki, a po chwili wybiegł bardzo zatroskany.

— Co im się stało? — pytali ludzie dokoła.

— Biją się! — rzekł ojciec z rozpaczą.

— Biją się? To niemożliwe!

— Kto chce, niech zobaczy. Jeden chwycił drugiego za nos, a tamten, choć przecie<sup>34</sup> nie ma jeszcze czym, usiłuje mu odgryźć ucho. O, nieszczęście! Co robić, panie burmistrzu?

— W imię Ojca i Syna! — zawołał burmistrz. — Nikt jeszcze nigdy nie pobił się w naszym sławnym i spokojnym mieście. O co im poszło?

— Nie wiem, ale matka mówi, że jeden się drugiemu wykrzywił, ale nie wiadomo który któremu, bo wszystko robią podobnie i równocześnie. O, o, jak krzyczą!

Burmistrz zamyślił się głęboko, potem rzekł smutno:

— A jednak baran miał rację, choć niby głupio wygląda. Marny będzie jego los, kiedy ci dwaj podrosną.

— Pies też wiedział, czemu smutno był! — rzekli ludzie.

— Czy można ich zobaczyć? — zapytał burmistrz.

— Niech pan burmistrz wejdzie — odpowiedział poczciwy człowiek — ale tylko ostrożnie...

Burmistrz, który już stawiał nogę w bucie na progu, zatrzymał się.

— Dlaczego ostrożnie?

— Czy ja wiem? Na oko są to niemowlęta, ale ponieważ znam ich od wczoraj, więc się boję, czy im przypadkiem nie przyjdzie do głowy, aby obrazić dostojną osobę. Nigdy bym sobie tego nie darował, zacy panie burmistrzu!

— A cóż oni mogą takiego zrobić?

— Tego ja nie wiem — odrzekł nieszczęśliwy ojciec — ale to nie są zwyczajne dzieci.

— Zwyczajne czy niezwyczajne, ale ja jestem burmistrzem i urzędową osobą. Proszę im to powiedzieć.

— Jakże ja im powiem, kiedy nie rozumieją?

— Wszystko jedno! Jeżeli potrafią się czubić, to już oni zrozumieją!

Stało się w istocie coś niesłychanego. Setki ludzi było przy tym i mogą zaświadczyć. Ojciec zwrócił się tam, skąd słyhać było nieustanny wrzask, i zawołał głośno:

<sup>31</sup>*rwetes* — halaśliwa, pospieszna bieganina. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*uważać* — pilnować kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*nakrapiany* — pokryty cętkami, kropkami. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*przecie* (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

— Hej, dzieci, uciszcie się, pan burmistrz idzie!

W tej chwili, jak na komendę, chłopaki przerwały krzyk i ucichły. Ludzie się zdumieli, pomyślawszy, że ich burmistrz jest tak wspaniałą i dostojną osobą, iż nawet nierozumne, choć złośliwe stworzenia potrafią uszanować jego godność. Wszedł on do izby bardzo chmurny, powitał biedną matkę obu zabijaków<sup>35</sup>, po czym skierował na nich groźny wzrok. Patrzył na nich długo, ujrawszy dwóch maleńkich urwipolców<sup>36</sup> z jarzącymi oczyma, straszliwie piegowatych i okropnie brzydkich. Powoli jednak zaczął się mienić na dostojnej twarzy i czerwienić z wielkiego gniewu; dumny w pierwszej chwili, że jego osoba przeraziła tych nieznośnych chłopaków, ujrzał w tej chwili, że był to z ich strony niegodny podstęp. Leżąc na poduszkach, przekrzywili śmiesznie głowy, a jeden trącał drugiego, jakby mu chciał zwrócić na coś uwagę. Nagle najwyraźniej zaczęli się śmiać, skierowawszy spojrzenie na nogi burmistrza, z których jedna była odziana we wspaniały but, a druga owinięta w stary worek. Obaj podnieśli w górę nogi na znak wielkiej radości i trzęśli nimi z nadmiernej uciechy.

Burmistrz, ujrawszy, że te straszne dzieci się z niego natrzęsają, wybiegł czerwony z gniewu i wołał:

— To są małe diabły, a nie dzieci!

Kiedy opowiedział o wszystkim zebranym mieszkańcom Zapiecka, ludzie zaczęli zalamywać ręce.

— Boże — mówili — co z tego wyrośnie?

— A co robi ich matka? — pytały zatrwożone kobiety.

— Płacze! — rzekł burmistrz smutno. — Matka zawsze płacze, kiedy ma takie dzieci. Oj, będzie ona miała z nimi ciężki los!

Wszyscy zaczęli bardzo wdychać, pomyślawszy, ile utrapień mają matki, jeśli dzieci są złe i nieznośne. Na całe miasteczko padł z tego powodu wielki smutek, bo wszyscy ludzie byli tu dobrzy i łagodni, a dotąd jeszcze nikt nie śmiał się z tego ogromnego nieszczęścia, które spotkało burmistrza, gdyż nie mógł zdobyć buta na lewą nogę. Litując się przeto nad rodzicami tych dziwnych chłopaków, zwołano wielką radę i uradzono, aby ich ochrzcić jak najprędzej.

Matka, Dziecko

Cały tydzień minął, zanim się to mogło stać. Przez ten czas miasteczko jednak było w ciągłym niepokoju, gdyż wciąż się w nim rozlegał nieludzki wrzask. Wszyscy wiedzieli, że ci dwaj malcy wiedli z sobą srogie walki o byle co i o każdej porze. Powyrywali sobie tych niewiele włosów, które każde małe dziecko ma na głowie, bili się o miejsce na poduszce, czasem zaś, kiedy się im krzyk uprzykrzył<sup>37</sup>, zachowywali się wprawdzie cicho, ale patrzyli na siebie spode łba i jeden drugiego pilnował, aby go drugi z nagłą nie uderzył w brzuch albo żeby palca nie wraził<sup>38</sup> w oko. Biedna matka wciąż płakała, nie znajdując żadnej rady. Przemawiała do nich słodko, całowała i pieściła, ale wszystko to było na nic. Ojciec czasem krzyknął w gniewie, ale wtedy zaczynali wrzask jeszcze przeraźliwszy, jakby chcieli oznajmić całemu światu, że się im dzieje okropna krzywda.

Wreszcie zaniesiono ich do kościoła. Ludzie zauważyli, że kiedy ich po raz pierwszy wyniesiono na świat boży, ukrył się gdzieś pocziwy pies, schował się nieszczęśliwy kogut, a barana nikt nie mógł znaleźć. Za to wszyscy mieszkańcy miasteczka wylegli, aby zobaczyć na własne oczy tych straszliwych chłopaków. Byli oni w złych humorach, bo ich związano w powijaki<sup>39</sup>, i to bardzo mocno, tak że nie mogli ruszyć ani ręką, ani nogą, inaczej bowiem nie można było być pewnym, czy nie uciekną od drzwi kościoła. Wprawdzie dzieci w tym wieku nie umieją chodzić, ale to nie były zwyczajne dzieci.

Za to w samym kościele zaczęła się awantura. Zanim z plebanii przyszedł ksiądz, strasznie dobry i święty człowiek, zastanawiali się rodzice w zakrystii, jakie im nadać imiona. Widać było, że chłopcy przysłuchują się pilnie i wyciągają uszy.

Ojciec rzekł:

— Jeden niech będzie Antoni, a drugi Kalasanty.

Chłopcy w krzyk.

<sup>35</sup>zabijaka — awanturnik. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>urwipolec (pot.) — urwis, psotnik. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>uprzykrzyć — znudzić się czymś. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>wrazić — wepchnąć, wcisnąć. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>powijak (daw.) — pas tkaniny służący do owijania niemowląt. [przypis edytorski]



— Widać, że się im te śliczne imiona nie podobają — rzekła cicho matka, mocno zatroskana. — Więc może Bonawentura i Pantalemon?

Okropny wrzask rozległ się w cichej zakrystii.

— To się im także nie podoba — rzekł ojciec.

Wtedy wystąpił burmistrz i rzekł z powagą:

— Chociaż mnie obrazili, i to bardzo ciężko, przebaczam im jednak, bo jestem w kościele, i dam im dwa śliczne imiona, które w Zapiecku noszą najczcigodniejsi ludzie.

Chłopcy ucichli na moment i nastavili uszu.

— Jakież to imiona, panie burmistrzu? — zapytała matka.

— Gerwazy i Protazy! — rzekł głośno burmistrz.

— Śliczne imiona! — zawołała uszczęśliwiona matka. — Ale czy im się podobają? Robaczki moje, czy chcecie mieć tak na imię? Boże miły, teraz znowu się śmieją!

— I znowu ze mnie! — krzyknął burmistrz. — Ha! Ja się znowu obrażam! Nazywajcie ich sobie, jak chcecie, a najlepiej będzie: Gałgan i Urwis!

Wszyscy zaczęli uspokajać czcigodną osobę, a tymczasem piekarz, który miał dziwną zdolność mówienia wierszami, zapytał nieśmiało, czyby tych miłych chłopczków nie nazwać wesoło, i ponieważ są tak podobni, czyby ich nie nazwać do rymu: Jacek i Placek?

Wszyscy spojrzeli na chłopaków, a oni porozumiewawczo spojrzeli na siebie, musiały im się podobać te śmieszne imiona, bo nie zaprotestowali swoim zwyczajem straszliwym wrzaskiem.

Chrzest odbył się nad podziw spokojnie, bo staruszek ksiądz miał głos pełen słodyczy i taką anielską dobroć w oczach, że te urwisy nie śmiały z wielkiego szacunku ani pisać. Ochrzcił ich, chociaż nigdy nie było świętego Placka, ale mógł być, jeśli był, święty Jacek.

Jednak ten dzień nie skończył się szczęśliwie, bo najdziwniejsza awantura wybuchła dopiero potem. Ponieważ nawet w Zapiecku chrzciny obchodzono zawsze uroczystość, więc i rodzice, choć biedni ludzie, przygotowali na tę uroczystość winną polewkę. Dymiała ona w wielkiej misie na stole, tuż obok łóżka, na którym leżeli Jacek i Placek, rodzice zaś oczekiwali dostojnych gości na progu domku.

Kiedy się już wszyscy zjawili, oczekując na wspaniały poczęstunek, matka nagle krzyknęła z rozpaczy. Polewkę ktoś wypił. Nikogo nie było w izbie, a jednak ktoś ją wypił.

— Ale kto? — zawołali wszyscy.

Nagle burmistrz uderzył się w czoło i wskazując na Jacka i Placka, smacznie śpiących, krzyknął:

— To oni!

Wtedy ludzie cofnęli się z przerażeniem, bo coś podobnego nie zdarzyło się chyba od początku świata.

A biedna matka takich strasznych synów usiadła w kącie i zaczęła gorzko płakać z rozpaczy i ze wstydu.

## ROZDZIAŁ TRZECI, W KTÓRYM DORASTAJĄ NAKRAPIA- NE CIAŁA I CZARNE DUSZE JACKA I PLACKA

Po tych niemiłych przygodach wszyscy się spodziewali, że życie tych dwóch chłopców napelni ciche miasteczko zgielkiem i wrzawą, ale rzeczywistość przeszła najśmielsze oczekiwania. Ilekroć przybył im rok życia, tylekroć miasteczku upływało sto lat spokoju. Byli oni nad podziw sprytni, ruchliwi jak małpiątka, a w Zapiecku i w okolicy na sto mil dookoła nie było dziury, w którą by nie wleźli, ani nie było kamienia, pod który by nie zajrzeli. Dwie wrony, które zapragnęły na starość spokoju i postanowiły się przenieść na mieszkanie w okolicy Zapiecka, zaledwie zdołały ująć z życiem, ale bez ogonów, za sprawą tych dwóch chłopców, i dały o tym znać w najdalsze strony, aby żadne stworzenie, któremu życie jest miłe, nie zbliżało się do tych okolic. Krety chowały się głęboko w ziemi, a jeden jedyny zając, który od wielu lat mieszkał w parowie<sup>40</sup> o dwie mile za Zapieckiem, miły i dobry zając nazwiskiem Michał Kapusta, szczuty i goniony przez Jacka i Placka jakby przez kąśliwe ogary<sup>41</sup>, porwał się z głębokiego snu i zaczął uciekać tak nieprzytomnie, że go jeszcze dwa lata potem widziano uciekającego, choć ubiegł już trzy tysiące mil.

<sup>40</sup>parów — wąwóz, dolinka o stromych zboczach. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>ogary — pies myśliwski, tropiący zwierzynę. [przypis edytorski]

Był to mądry zwierzak i wiedział, że każdy zając jest podobny do innego, nigdy jednak nie widział tak podobnych do siebie chłopców i to go właśnie tak przeraziło, bo nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Uciekał przed jednym chłopakiem w czerwonych porteczkach i z twarzą pełną piegów, a nagle u wyjścia z kotliny zastąpił mu drogę ten sam, który go gonił z tyłu, w takich samych spodenkach i z taką samą twarzą. Kiedy biedny zając zawrócił, znów takiego samego zobaczył, pomyślał więc, że są to straszliwe czary i że już nie ujdzie z życiem. Cudem tylko ocalał, ale mu się coś w rozumie pomieszało i dlatego ucieka do tej chwili.

Ciężkie życie miały jednak zwierzęta domowe, które swoje przyszłe nieszczęścia przeczyły w dzień urodzin Jacka i Placka. Nieszczęsny kogut miał wyrwany piękny ogon, ochrypl z żalości i stracił rachubę czasu z powodu ciągłych prześladowań, także słońce wschodziło nieporządnie, wedle swojego widzimisię, raz wcześniej, raz później, tym bardziej że zegar na kościelnej wieży od wielu lat był popsuty. Wskutek tych nieszczęść nikt nigdy nie wiedział w Zapiecku, która jest godzina. Ponieważ jednak pianie koguta potrzebne jest nieodzownie, aby dzieci wiedziały, czy już czas wstawać i zbierać się do szkoły, więc burmistrz nakazał, aby muzykant Zapiecka, Barnaba Baraniakiszka, codziennie udawał koguta; biedny człowiek czynił to bardzo pięknie, ale nikt nie wstawał, wszyscy bowiem wiedzieli, że to nie kogut pieje, lecz pan Barnaba, który miał czerwoną gębę, więc dlatego mianowano go Kogutem.

Nieszczęśliwy baran, który z przyrodzenia<sup>42</sup> miał wylupiaсте oczy, bo wśród baranów takie oczy są warunkiem wielkiej urody, stracił ją niemal zupełnie, bo wszelka przesada niszczy przyrodzony wdzięk. Oczy barana, wskutek ustawicznego strachu i wypatrywania, czy spoza jakiegoś węgla<sup>43</sup> nie zbliża się straszliwy wróg w dwóch egzemplarzach, tak wylazły na wierzch ozdoby głowy, że jej poza nimi wcale nie było widać. Już prawie nie było na tym świecie barana, tylko te oczy wytrzeszczone i wypukłe, przerażone i pełne niepokoju. Baran ten, szczęśliwy dotąd, teraz tak czasem beknął żałośnie bez powodu, że się ludziom serce krajało. Widać, że mu obrzydło życie, więc się czasem rozpędzał i głową uderzał w ścianę domu, jakby się sam chciał tego miłego życia pozbawić.

Najsmutniejszy jednak stał się los psa Łapserdaka. Jacek i Placek najbardziej zawzięli się na niego i ciężkim czynili jego psie życie. Wrzucali go do studni albo przywiązywali mu do ogona, co się tylko dało. Straszili go w nocy, budzili go we dnie; czasem rzucali przed niego tłustą kość, uwiązaną na sznurku; kiedy się do niej zbliżył, kość uciekała jak żywa, co przyprowadzało biedne psisko o ogłupiałe zdumienie. Toteż ten cichy dotąd pies był wciąż smutno, jak gdyby błagał kogoś o sprawiedliwość. Nie miał zębów, więc nie mógł nauczyć tych strasznych chłopców szacunku dla uczciwego psa, gdyby jednak nawet miał zęby, toby je sobie połamał na ich łydkach. Byli oni chudzi i wyglądali tak, jakby ich ciała składały się z samych żył. Głowy mieli tak twarde jak orzechy kokosowe, bowiem czasem jeden lub drugi zlatywał z dachu głową na dół i tylko dziurę wybił w ziemi, a jemu nic się nie stało. Zęby mieli ostre jak wiewiórki, bo jedli i gryźli wszystko, co tylko się dało. Tacy byli żarłocznicy, że własnemu ojcu zjedli pasek skórzany od spodni, a nieszczęśliwej matce stary, wydeptany pantofel. Burmistrz dowiedziawszy się o tym strusim apetycie, ukrył w wielkiej skrzyni, zamkniętej na siedem zamków, która była skarbcem miasta, swój słynny but. Natomiast barana uratowały od pożarcia żywcem jego kręte rogi, dość trudne do przełknięcia nawet dla takich żarłoków. W domku ich rodziców nigdy nic nie było do zjedzenia, bo cokolwiek jako tako jadalnego pokazało się w komorze czy na stole, to znikało w tej chwili w ich nienasyconych żołądkach. Biedna matka odejmowała sobie od ust, aby nakarmić swoje straszne dzieci, jednak zawsze wszystkiego było za mało. Ojciec był coraz bardziej chudy i coraz bardziej zmartwiony; z trwogą myślał o przyszłości, bo jeżeli jego mili synowie taki okazywali apetyt w bardzo wczesnej młodości, cóż dopiero będzie, kiedy nieco podrosną?

Oni zaś rośli zdrowo, a tak byli do siebie podobni, że bez umyślnie poczynionych znaków na ubraniu żadne oko ludzkie nie mogło ich rozróżnić. Nikt nigdy nie wiedział, która to piegowata gęba należy do Jacka, a która do Placka. Nieomylnie i bez żadnych znaków poznawała ich jedynie matka, która się nigdy nie myliła. Taką to tajemniczą władzę

Okrucieństwo, Pies

Matka, Serce

<sup>42</sup>z przyrodzenia — z natury. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>węgiel — narożnik budynku. [przypis edytorski]

dał Pan Bóg matczynemu sercu, że nawet ślepa matka pozna swoje dziecko wśród tysiąca, a głos jego, cichutki i nikły, usłyszy nawet wśród wycia wichru i straszliwych pokrzyków, i pogwizdów burzy. Serce matki usłyszy głos swojego dziecka z niezmiernej oddali, a oczy matczyne ujrzą dziecko ukochane nawet wśród czarnej ciemności. Bo człowiek może się pomylić, ale serce matki jest świętym sercem anioła.

Matka Jacka i Placka, malutka, zawiędła<sup>44</sup> i zagłodzona bieduleńka, kochała swoich synów ponad wszystko. Cierpiała bardzo i płakała rzewnymi łzami, kiedy ludzie przychodzili zewsząd ze skargami; modliła się gorąco do Matki Boskiej, aby im odmieniła dusze i serca, ale ostatni kęs chleba chowała dla nich, a podczas wielkiej posuchy<sup>45</sup>, choć sama umierała z pragnienia, dla nich ukryła ostatnie krople wody, może dlatego pomieszanej z jej rzęsiстыми łzami, aby jej było więcej.

Oni ani nie wiedzieli o tym, ani nie chcieli wiedzieć. Otwierali szeroko pyszczki jak młode wróble, a wszystkim wiadomo, że zawsze zachłannie otwarty pyszczyk malutkiego wróbla sięga od głowy do ogona. Kiedy zaś wszystko zjedli, co było można zjeść, albo i to, co tylko oni zjeść potrafili, wtedy szli na pola i łąki i przepadali na długie godziny. Wyprawiali dzikie harce, straszili spokojnych przechodniów, rzucali kamieniami do gwiazd, które mrużyły z lęku złote oczy, krzykiem i wrzawą napelniali błogi spokój miasteczka. Wszystkie swoje przykre psoty czynili na spółkę, a kiedy ich chciano ukarać, wtedy jeden z nich zawsze twierdził, że to zrobił drugi. Jacek twierdził, że szybę u piekarza stłukł Placek, a Placek twierdził, że to Jacek, a ponieważ nikt nie wiedział, który z nich jest Jacek, a który Placek, i kiedy chciano nabić<sup>46</sup> wreszcie Jacka, ten darł się wniebogłosy, że on jest Placek, i tak w kółko, więc się zwykle kończyło na niczym.

Oni sami doskonale wiedzieli, który z nich jest który, ale utrzymywali to w głębokiej tajemnicy. Jeśliby jednak ktoś zawołał:

— Jacek, przyjdź, chłopaczku, dostaniesz jabłko! — Wtedy na wyścigi zjawiliby się obaj.

Nie mieli jednak nigdy sposobności do takiego zgodnego wystąpienia, bo nie było na świecie człowieka, który by ich chciał czymkolwiek nagrodzić, tacy to byli straszni chłopcy.

Kiedy zaczęli przemawiać ludzkim językiem, hałas w miasteczku stał się nie do wytrzymania. Spokojni ludzie zatykali sobie uszy woskiem albo papierem, w oknach drżały szyby, a pochylona wieża lekko się chwiała. Darli się tak bez rozumnego powodu, lecz z jakiejś uciechy, im tylko znanej. Ponieważ zawsze wszystko robili tak samo, więc Jacek nie miał zamiaru milczeć, kiedy Plackowi zachciało się krzyczeć, i krzyczeli obaj.

— Czego wyjesz? — pytał ni stąd, ni zowąd jeden drugiego.

— Bo ty wyjesz! — odpowiadał drugi.

— Rozumiem! — mówił pierwszy i czynili wrzask w dalszym ciągu.

Ponieważ w miasteczku mieszkali ludzie bardzo spokojni i nadzwyczaj łagodnego usposobienia, nikomu nie przyszło do głowy, aby ich uczciwie sprać<sup>47</sup>, bez względu na to, który z nich jest Jacek, a który Placek. Wprawdzie wszyscy tak myśleli, że którykolwiek zawinił, należało złożyć skórę jednemu i drugiemu, aby w ten sposób natrafić na winnego, lecz że byli to ludzie miękkiego serca, nikt tego nie uczynił. Wszyscy mieli nadzieję w Bogu, że z czasem ci chłopczkowie jednak dojdą do rozumu, ukorzą się, uspokoją i że będzie z nich wielka pociecha, bo byli sprytni. Nic jednak nie zapowiadało tej szczęśliwej zmiany. Zmieniły się tylko twarze Jacka i Placka, bo coraz więcej było na nich piegów, i zmieniły się ich głowy, bo nigdy nieczesane czupryny stawały się coraz to bujniejsze.

Nadszedł jednak wreszcie czas, że tych dzikich jegomościów trzeba było oddać do szkoły. Bronili się przed tym rękami i nogami, aż się zrobił w miasteczku koniec świata, bo ojciec wziął ich pod pachy i tak ich tam poniósł. Sto prosiąt niesionych na targ nie potrafi narobić takiego harmideru i wydawać takich przeraźliwych kwików, jakie wydawali oni, ale jednak postawiono ich przed obliczem nauczyciela. Był to człowiek niezmiernej dobroci, a tak cierpliwy jak święty. Miał różowe okulary, więc może dlatego

Dziecko, Nauczyciel, Szkoła

<sup>44</sup>zawiędły — o człowieku: wymęczony; taki, który się widocznie postarzał. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>posucha — susza. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>nabić (pot.) — zbić, wielokrotnie uderzając. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>sprąć — pobić kogoś dotkliwie. [przypis edytorski]

do wszystkich się uśmiechał, bo wszystko wydawało mu się piękne. Nauczał przedziwnych rzeczy i wszystko na świecie umiał nazwać po imieniu; wołał na kwiatki i gwiazdy, gdyż wiedział, jak się nazywa każdy kwiat i każda gwiazda. Uśmiechał się nawet wtedy, kiedy padał smutny deszcz, bo mówił, że jeszcze nie zapomniał tego, jak ślicznie wczoraj świeciło słońce, a kiedy wszystkim dokuczał upał, on się też uśmiechał i mówił, że mu jeszcze zimno po deszczu. Był on tak mądry, że czytał nie tylko z grubej książki, ale i z małej główki dziecka, i wszystko widział, co się dzieje w jego serduszku. Żadne dziecko nie wiedziało, jak on to robi i którędy widzi, co się dzieje w czyimś sercu, a kiedy go dzieci o to zapytały, odpowiadał, że to przez oczy tak widać, co się dzieje w człowieku, jak przez szybki okna widać, co się dzieje wewnątrz domu. Musiało to być prawdą, bo zawsze każdemu dziecku powiedział wszystko prawdziwie. Dzieci kochały go bez pamięci i słuchały nabożnie<sup>48</sup> tego, co im mówił i czego ich nauczał, a on, jak wielki czarodziej, wiedział o tym, co jest w środku ziemi i co jest na niebie, co się dzieje za górami i lasami i co się odbywa w ciemnym ulu. Wiedział on przeto od razu, co się dzieje w Jacku i Placku, którzy stali przed nim pochmurni i nastroszeni jak młode wilczki. Myśleli oni, że takimi minami okropnie nastraszą nauczyciela, który się jednak wcale nie bał, lecz się miło do nich uśmiechał. Nikt oprócz matki nigdy się do nich nie uśmiechnął, bo wszyscy patrzyli na nich z niechęcią, więc kiedy teraz ujrzeli uśmiech na dobrej twarzy staruszka, zaraz pomyśleli, że to jakiś podstęp, i trącili się łokciami porozumiewawczo.

Nauczyciel rzekł łagodnie:

— Chcę was, kochane chłopaki, nauczyć wielu dobrych i pożytecznych rzeczy. Chciałbym jednak wiedzieć, jak się który z was nazywa. Który z was jest Jacek, a który Placek?

Wtedy Jacek od razu pomyślał:

„Jeżeli ja mu powiem, że jestem Jacek, wtedy on pomyśli, że ja skłamałem, jak zawsze, i że ja jestem Placek. Więc ja mu powiem prawdę, że jestem Jacek, a Placek mu powie, że jest Placek, a on pomyśli wszystko na odwrót, a jutro znowu powiemy inaczej”.

Potem powiedział głośno:

— Ja jestem Jacek, a ten drugi to jest Placek!

Nauczyciel spojrział mu w oczy, bardzo długo patrzył, potem się uśmiechnął i rzekł:

— Powiedziałeś prawdę. Tak, ty jesteś Jacek.

— Ja skłamałem! — zawołał Jacek, po raz pierwszy w życiu przyłapany na prawdzie.

— Wcale nie skłamałeś — odrzekł nauczyciel. — Chciałeś mnie wywieść w pole<sup>49</sup> i dlatego nie skłamałeś.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał zdumiony chłopiec.

— Patrzyłem w twoje oczy — odpowiedział, uśmiechając się, nauczyciel.

Jacek z rozpaczą zamknął nagle oczy, bardzo zły. Nauczyciel jednak, wciąż się uśmiechając, pogłodził go po głowie, potem ujął jego rozmierzwiony łeb w swoje ręce i długo mu się przyglądał. Potem to samo uczynił z Plackiem.

— Teraz już wiem wszystko — rzekł.

Chłopcy byli bardzo niespokojni, nie wiedząc, co on takiego wie, ale nie mogli niczego zrozumieć. Od tego dnia wciąż chcieli wprowadzić go w błąd i ile razy wywoływał on z ławy Jacka, wtedy umyślnie podnosił się Placek albo czynili to odwrotnie, jednakże nauczyciel patrzył wtedy długo na ich głowy i mówił:

— Nie kłam, moje dziecko, bo ty jesteś Jacek.

Wszyscy bardzo się zdumiewali nad mądrością nauczyciela, bo jak już raz to mówiłem, nikt nie mógł ich od siebie odróżnić. Oni nadaremnie myśleli całymi dniami, jakim cudem on to czyni, i nie mogli tego zrozumieć w żaden sposób. Tak byli zamyśleni, że nawet nie czynili zwyczajnego wrzasku i na czas niejaki ludzie w mieście odetchnęli. Nauczyciel zaś znalazł bardzo prosty sposób odróżnienia tych dwóch urwipolciów: oto kiedy się pilnie przyglądał ich straszliwie uwłosionym głowom, szybko policzył, że Jacek ma na głowie trzysta tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt cztery włosy, a Placek ma o sto sześć włosów mniej, bo mu tych sto sześć włosów Jacek wydarł niedawno ze łba, kiedy się pobili o zdechłego kreta. Ten nauczyciel był zaś tak mądry, że wystarczyło, aby tylko spojrział i szybko policzył włosy, i od razu wiedział, który jest który. Oni zaś nigdy się nie

<sup>48</sup>nabożny — odnoszący się do czegoś z powagą i szacunkiem. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>wywieść w pole — oszukać. [przypis edytorski]

dowiedzieli, jak się to działo, i byli bardzo przygnębieni z tego powodu. Patrzyli jednak na nauczyciela z podziwem, uważając go za wielkiego czarownika. Gdyby bowiem znali prawdę, wydzielaliby sobie codziennie włosy całymi garściami, aby mu pomylić rachunek.

Jednakże uczyć nie chcieli się za żadną cenę, wciąż myśląc podczas nauki tylko o tym, co by gdzie można zdobyć do jedzenia. Dziwnym wzrokiem patrzyli ustawicznie na jednego ze szkolnych kolegów, syna organisty. Chłopiec ten był jedynym tłustym stworzeniem w całym miasteczku, toteż Jacek i Placek patrzyli na niego łakomie, bardzo z tego niezadowoleni, że w Zapiecku nie ma zwyczaju zjadania tłustych chłopców. Syn organisty przeczuwał zapewne, o czym to oni myślą, bo chudł z wielkiego strachu. Zamiast niego zjedli natomiast kredę, gąbkę i wypili atrament z wielkiego kałamarza<sup>50</sup> nauczyciela. Chociaż pożarli przedmioty służące do szerzenia mądrości, nie stali się przez to mądrzejsi. Przez cztery lata uczęszczania do szkoły, mimo ciężkich wysiłków mądrego nauczyciela, nauczyli się odmawiać *Ojcze nasz*, ale w ten sposób, że Jacek umiał od „Ojcze nasz...” do „...jako w niebie, tak i na ziemi”, a Placek od: „Chleba naszego...” aż do... „naszym winowajcom”, za to jednak, kiedy się modlił o chleb powszedni, to tak krzyczał, jakby tysiąc lat nic w ustach nie miał i jakby się bardzo obawiał, że Pan Bóg go inaczej nie usłyszy.

Szkoła, Uczeń, Nauczyciel

Jeszcze gorzej było z rachunkami, gdyż po długich mozołach Jacek nauczył się liczyć do pięciu, i to na palcach lewej ręki, a Placek od pięciu do dziesięciu na palcach prawej. To jednak było dziwne, że mimo tak znikomych wiadomości rachunkowych obaj doskonale doliczyli do czternastu, kiedy cztery drzewa w Zapiecku urodziły czternaście jabłek, pożartych przez nich z pestkami i ogonkami zanim dojrzały.

Cierpliwy nauczyciel zużył przez cztery lata wiele trudu i męki, aby nauczyć ich sztuki pisania i czytania. Próbował tego na wszystkie sposoby i dokonał tylko tego, że Jacek nauczył się abecadła od „a” do „l”, a Placek od „l” aż do końca. Wychodziły z tego straszne rzeczy, bo Jacek umiał napisać całe swoje imię, wszystkie bowiem litery, z których się składa to wesołe imię, znajdują się na początku abecadła, Placek natomiast był mniej szczęśliwy, gdyż ze swego imienia znał tylko pierwszą literę „P”, reszta zaś znajdowała się po stronie jego brata. Toteż kiedy się chciał podpisać, wtedy jeszcze śmieszniejsze imię Placek, wyobrażone<sup>51</sup> tylko przez jedną literę, wyglądało tak, jakby z placka został rodzynek, a ciasto gdzieś znikło.

Nie było żadnego sposobu, aby rozszerzyć ich wykształcenie. Nauczyciel załamywał ręce z rozpaczy, która była tym większa, że Jacek pisał prawą ręką, a Placek lewą i na to też nie można było znaleźć rady. Byli oni z tego powodu pośmiewiskiem całej szkoły, bo inni chłopcy umieli doskonale wszystkie litery i znali rachunki, a jeden to był tak mądry, że liczył do stu, a potem na odwrót, co było wielką i niezwykłą sztuką. Jacek i Placek nie mieli jednak żadnej ambicji i nie wstydziło się tego, że ich powszechnie uważano za bęcwałów<sup>52</sup>.

Jednak nie to było ich wielkim nieszczęściem; największym było to, że byli chłopcami złymi i bez serca. Nigdy nikomu nie pomogli, a każdemu dokuczili, nigdy żadnemu towarzyszowi szkolnemu nie powiedzieli dobrego słowa, lecz z każdym szukali zwady i powodu do bójki. Nie wiedzieli o tym, że nie ma w szkole większej hańby nad tę, jeśli się jest złym i nieuczynnym kolegą.

Nadszedł wreszcie taki nieszczęsny dzień, że mądry nauczyciel pomylił się i kiedy zamiast zawołanego Jacka stanął przed tablicą Placek, nie poznał się na tym, co się po raz pierwszy zdarzyło i co te urwipolcie od razu spostrzegły. Bowiem przez długi czas odrósł Plackowi włosy i nauczyciel nie mógł już użyć swojego sposobu, aby ich nieomylnie rozpoznać. Od tej chwili powstało wielkie zamieszanie i nauczyciel bardzo posmutniał, widząc, że chłopcy wciąż go oszukują, i choć mu było ich bardzo żal, odprowadził ich do domu i powiedział, aby już nigdy nie powracali do szkoły.

Ich radość była ogromna. Jeszcze większa była radość tłustego syna organisty, który odetchnął i znowu zaczął bardzo szybko nabierać ciała.

<sup>50</sup>kałamarz — pojemnik na atrament. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>wyobrażać — przedstawiać. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>bęcwał (pogard.) — głupiec. [przypis edytorski]



## ROZDZIAŁ CZWARTY, W KTÓRYM OPISANE SĄ SPRAWY TAK SMUTNE, ŻE KROPKA PO OSTATNIM SŁOWIE ZE ŁZY JEST ZROBIONA

Ponieważ mili synkowie zjedli ojcu pasek od spodni, zmartwiony starowina nie miał ich nawet czym ukarać, a samej ręki było mu szkoda, gdyż mógł sobie ją zwichnąć na ich twardych kościach. Zmartwił się jednak bardzo i chodził smutny, rozmyślając, dlaczego inni ludzie mają dzieci dobre i poczciwe, jemu zaś Pan Bóg dał takich urwisów, jakich ani boży świat, ani Zapiecek nigdy nie widział. Najbardziej bolało go to, że matka popłakiwała cicho po kątach, a czasem gorzko, choć cichutko płakała przez sen albo wstawiała wśród nocy i kiedy wszyscy spali, przykłękała na twardej glinie izby i modliła się gorąco, pewnie o to, aby na Jacka i Placka przyszło opamiętanie. Oni zaś próżnowali<sup>53</sup> bez końca i hasali gdzieś po całych dniach, nie wiadomo gdzie, choćby jednak oddaleni byli o dziesięć mil od domu, zawsze od razu poczuli, że u nich rozpalono na kominie i gotuje się jakąś smaczną strawę. Wprawdzie łatwo było ją poczuć nawet z największej odległości, gdyż codziennie na wieczór ich poczciwa matka gotowała zupę z czosnku, który, jak wiadomo, odznacza się silnym zapachem. Oni jednak mieli węch nadzwyczajny i gdyby nawet gotowano czystą wodę, też by ją poczuli, choć niezbyt by się śpieszyli z powrotem do domu.

Wreszcie zabrakło nawet czosnku.

Zima była bardzo sroga, a u tych ludzi tym srogsza, że ciemna. Bowiem Jacek i Placek tuż przed świętami Bożego Narodzenia wypili wszystek<sup>54</sup> olej przeznaczony do lampy, bowiem w owych czasach oświetlano izby za pomocą oleju. Zimno było tak wielkie, że ziemia zamarała na kość i popękała z mroźnej rozpacz. Świat całymi nocami jęczał pod śniegiem i lodem, a ludzie nie wychodzili z domów. Podczas długiej zimy zjedzono wszystko, co było do zjedzenia, tak że na wiosnę przyszedł do Zapiecka żarłoczny głód i zgrzytając zębami, chodził od domu do domu i szukał choćby jakiejś kości do ogryzienia, nigdzie jednak nie było nawet kości.

Nie przetrzymał tej srogiej zimy poczciwy pies Łapserdak. Odzwyczał się on wprawdzie od jedzenia, czymś jednak żył: czasem udało mu się jednym kłapnięciem szczęki schwytać zabłąkaną muchę, czasem ktoś się z nim podzielił łupinami kartofli. Teraz jednak i tego zabrakło. Na muchy w zimie jest nieurodzaj, a łupy kartoflane zjedli ludzie, smakując je jak ananasy.

Na biednego psa przyszła z wiosną ostatnia godzina. Resztką sił powłókł się pomiędzy domy, spojrzął na każdy z rozczuleniem, przyjaźnie i z niema<sup>55</sup> wiernością patrzył na spotykanych po drodze ludzi, otarł się nosem o smutnego barana, wdzięcznie merdnął ogonem w stronę nieszczęsnego koguta, potem wyszedł chwiejnym krokiem poza miasto, przystanął na wzgórzu i długo, długo patrzył. Wielkie, ciepłe łzy napęliły mu poczciwe, mądre oczy. W tym miasteczku się urodził, tu spędził młodość wśród wesołych dzieci, a kiedy się stał psem statecznym, przysłuchiwał się z powagą rozmowom poważnych ludzi. Nie brał w nich udziału, bo tylko mówić nie umiał, rozumiał jednak wszystko. Martwił się w swoim poczciwym sercu, jeśli kogoś spotkało nieszczęście, radował się sercem, uszyma, ogonem i całym sobą, jeśli ktoś z ludzi się radował. Nikt jemu nie uczynił krzywdy ani on nie skrzywdził nikogo. Miał wielu przyjaciół i sam był przyjacielem wiernym. Gdyby trzeba było oddać życie w obronie jakiegoś dziecka, byłby je oddał bez wahania. Smutno mu się uczyniło w tej chwili, że tyle lat żył, a nie miał sposobności oddać tego swojego życia dobrym ludziom. Musiał umierać, więc płakało zacne psisko, smucąc się bardzo, bo mu się wydawało, że ciche miasteczko zostanie teraz bez obrony, a dobrzy ludzie, jego przyjaciele, zostaną bez opieki. Gdyby się umiał modlić, to modliłby się, przypadłszy do steranej<sup>56</sup>, znękaney zimą ziemi, aby nie spotkała ich znikąd żadna krzywda, aby na nikogo nie padło nieszczęście.

W tej chwili stanęli mu przed siwymi, dobrymi oczyma dwaj straszni chłopcy, Jacek i Placek. Zadrzał i poczuł gniew w dogorywającym sercu. Ale tylko przez jedną

Dziecko, Matka, Ojciec,  
Lenistwo

Głód, Zima

Pies, Śmierć

<sup>53</sup>próżnować — marnować czas. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>wszystek — cały. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>niemy — niedający się wyrazić słowami. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>sterany — zmarniały, zniszczone. [przypis edytorski]

króciutką chwilę. Nacierpiał się strasznie z ich powodu, wył boleśnie za ich sprawą. Zatruli mu ostatnie lata spokojnego życia. Ale i im przebaczy i nawet ich wspomni z żalnością w godzinie śmierci. Trzeba wszystkim przebaczyć, a im przede wszystkim, bo są to chłopcy nieszczęśliwi, zły człowiek bowiem jest najbardziej nieszczęśliwy. Przymknął więc na chwilę mglisto patrzące oczy, aby zapomnieć o wszystkim. Wtedy dopiero poczuł w sercu wielką ulgę i spojrzął jaśniej dookoła. Słońce było śliczne, wiosenne, wykąpane w porannych rosach, młode i rześkie; jechało po niebie złociste, a jego poczciwym oczom zdawało się, że to jedzie ogromny wóz, pełen złotego zboża. Od dalekich pól wiał miły, ciepły wiatr, który z radosnej pustoty<sup>57</sup> zjadał resztki śniegu, co białął jeszcze w bruzdach i chciał się ukryć przed wiosną. Ziemia pachniała przecudownie upajającym zapachem, mocnym i dziwnym; tylko świeżo upieczony chleb pachnie równie mocno, choć inaczej. Gdzieniedzie wypełzły już kwiatki, smutne i jakby bardzo zatrwożone, nie wiedząc, czy ich błękitne i modre<sup>58</sup> szczęście potrwa długo.

Kondycja ludzka

Stary pies patrzył na te wszystkie cudy rzewnym i mokrym wzrokiem. Odsłonił zęby, jakby w radosnym uśmiechu, kiedy jak doświadczony gospodarz powiódł wzrokiem po dalekich polach i poznał, że ozime<sup>59</sup> żyta pięknie rosną. Raz jeszcze spojrzął w słońce, raz jeszcze na swoje ukochane miasteczko, potem, jakby nagle powziął postanowienie, skulił się w sobie, ogon pod siebie podebrał i z łbem nisko ku ziemi przychylnym poszedł gdzieś w pustkę, aby umrzeć. Tak już jest, że to stworzenie, wśród wszystkich stworzeń najpoczciwsze, nawet swoją śmiercią nie chce nikomu sprawiać kłopotu.

Pies

Rzewnie wspomniano Łapserdaka, choć nikt w miasteczku nie wiedział, co się z nim stało. Jacek i Placek zawzięli się, aby go znaleźć, ale go nigdy nie znaleźli. Widać, że dobra ziemia go ukryła.

Kwitła ona coraz piękniej, była coraz piękniejsza i tak uwieńczona jak panna młoda na wesele, ale głodne to było wesele. Ze schowków wygrzebywano ostatnie ziarenka, a długo jeszcze trzeba było czekać, zanim się nowy chleb narodzi. Najsmutniej jednak było z tego powodu w domu Jacka i Placka. Głód tam był taki, że aż skwierczało, a znikąd nadziei. Stary ojciec, aż szary na twarzy, chmurny jak nieszczęśliwy dzień i smutny śmiertelnym smutkiem, chodził do dalekich lasów i wygrzebywał korzonki, z których jakimś cudem matka piekła coś podobnego do chleba, który w przeważnej części zjadali Jacek i Placek. Sami nigdy nie poszli na tę smutną wyprawę i nigdy nie pomogli ojcu. Toteż więcej niż głód i niż te czarne czasy martwili go oni. W oczach, wciąż wbitych w ziemię, rozpacz widniała jak czarne, głębokie jezioro. Został z niego już tylko cień i jednego dnia ten człowiek umarł tak cicho, jak żył.

Głód, Rozpacz, Śmierć

Pochowano go w czarnej ziemi, która nigdy nikomu nie odmówiła schronienia, a im kto biedniejszy był za życia, tym go serdeczniej przytuła. Jacek odmówił na jego grobie połowę pacierza, Placek drugą połowę i wrócili do domu nie bardzo rozumiejąc, że są sierotami. Wiedzieli, że ich matka nakarmi.

Ziemia, Pogrzeb

Kobiecina nie widziała świata przez łzy, ale nieszczęśliwi ludzie nie mają czasu nawet na wylewanie łez, toteż dlatego płaczą najczęściej pośród ciemnej nocy, kiedy inni odpoczywają, bo tylko wtedy mają chwilę dla siebie. Otarła więc swoje dobre oczy, aby jej łzy nie przeszkadzały, i rozejrzała się po swoim nieszczęsnym gospodarstwie. Dookoła była nędza, rozpacz i ruina. Złośliwe wiatry grudniowe, z głodu wyjące, nadgryzły słomę na strzecie<sup>60</sup> i w gniewie, że się najeść nie mogą, pochyliły domek tak, że się omal nie zwałił. Jednak najstraszniejsze było to, że kawałek roli, która ich żywiła, był niezaorany. Ojciec nie miał na to czasu, zajęty szukaniem pożywienia, a czas był najwyższy, aby zasiać tę odrobinę ziarna przechowywaną jak największa świętość w skrzyni zamkniętej na kłódkę. Jakżeż ona uprawi teraz tę ziemię, twardą i kamienistą? Czy skropić ją łzami, aby zmiękła? Czy ma ją zorać własnym sercem?

Łzy

Uklęka przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, która od wielkich trosk i zgrzytot, i od serdecznej męki ma twarz szerniałą, i tak się modliła:

— Ratuj mnie, Najświętsza Panienko! Cóż ja pocznę sama bez Twojej pomocy? Daj mi tak wielką siłę, abym mogła poruszyć twardą ziemię i abym mogła nakarmić moje

<sup>57</sup>pustota — lekkomyślność. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>modry — ciemnoniebieski, granatowy. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>ozimy — wysiany jesienią. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>strzecha — pokrycie dachu wykonane ze słomy lub trzciny. [przypis edytorski]

dzieci. Nie dla siebie ja się modłę o chleb, bo stara jestem i wiele mi nie potrzeba, ale modłę się o chleb dla nich.

Zdawało jej się, że Matka Boska, usłyszawszy pierwsze słowa jej gorącej prośby, uśmiechnęła się do niej, ale kiedy zaczęła prosić o chleb dla swoich synów, przymknęła oczy. Toteż smutna matka podniosła się z ziemi i przeżegnawszy się, poszła na pole. Nie było ono wielkie, lecz twarde i kamieniste; rodziło zboże z wielkim trudem, jakby nie chciało karmić dwóch darmozjadów, Jacka i Placka. Matka rozejrzała się dookoła i zaczęła głośno wołać, ale nikt jej nie odpowiedział. Synowie hasali gdzieś daleko po polach i lasach. Ujęła więc w drżące ręce wyszczerbiony rydel<sup>61</sup> i zaczęła odwalać ziemię. Złamana w krzyżu<sup>62</sup>, zwiędła, umęczona, szukając nadludzkiej siły w radości, że swoją straszliwą pracą nakarmi dzieci, pracowała od rana do wieczora. Perlisty pot zalewał jej oczy i zlepiał jej na skroni siwe włosy. Wzdychała przy tym ciężko i boleśnie, aż zmiękło serce kamienistej ziemi, która zaczęła się poddawać, jakby chciała powiedzieć: „Obie jesteśmy matkami, nieszczęśliwymi matkami: ja rodzę osty i kamienie, a ty złe dzieci, co mają serca z kamienia. Ale Bóg jest ponad nami”.

Wiatr wiosenny, dobry i łagodny, ujrawszy mękę starowiny, smutno westchnął, potem poleciał gdzieś daleko nad morze i stamtąd, wśród turkotu grzmotów, przyciągnął opasłą beczkę chmury, pełną wody. Chmura wylała ją na twardą ziemię i pomogła kobiecie, a wiatr zatoczył się z radości i śmiał się, i tańczył po polach. Nikt inny nie mógł jej pomóc, bo wszyscy ciężko pracowali, nawet starzy i dzieci. Jednak robota nieszczęśliwej matki nie była skończona; poruszyła ona wprawdzie ziemię, ale nie można było zasiać ziarna wśród tych odwróconych ziemnych brył. Trzeba było albo porozbijać grudy, albo przewlec po nich zębiastą bronę<sup>63</sup>, co kruszy wszystko w swoich żelaznych zębach i zamienia w urodzajny miał. Była to jeszcze cięższa praca. Toteż biedna starowina spojrziała z głuchą rozpaczą na to pole żywiące, ale żywiące za cenę potu i łez, bo dziesięć kropel potu płaci tylko jednym ziarnem. Jednak potężne i bohaterskie serce miała ta kobieta: jak gdyby w uniesieniu i zapomnieniu wyciągnęła ciężką bronę i nałożywszy sobie na piersi parcianą<sup>64</sup> uprząż, wygięła grzbiet w okropnym wysiłku i usiłowała powlec bronę po grudzie. Serce jęknęło od przeraźliwego trudu, zdrząły nogi pod nieszczęsną. Nie ma jednak dość ciężkiego trudu dla człowieka, który pragnie dokonać bohaterstwa. I oto ta starowina, pobita nędzą i głodem, idąca ostatkiem sił do schyłku swego życia, zaprzężona do brony jak koń, znalazła w swoim najcudowniejszym sercu tyle sił, że poruszyła ciężką bronę, zaczepiając zębiskami o każdy kamień i o każdą wyrwę. A ona wlokła ją, stąpając miarowym, uporczywym krokiem człowieka, który przysięgł swojemu sercu, że dokona nawet niemożliwej rzeczy. Przewlokła ją raz i drugi, dysząc ciężko. W głowie jej huczało, a serce, śmiertelnie znużone, zamieniło się w ciężki młot, którym ktoś ciężko uderzał w jej pierś.

Od czasu do czasu szeptała:

— O Boże, pozwól, abym nie umarła, zanim dokończę... Daj mi jeszcze pożyć, choćby do wieczora, aby dzieciom moim nie zabrakło chleba...

Słowa te zjawiały się na jej spieczonych ustach jak rubinowe kropelki krwi.

Ludzie opodal, również orzący ziemię w wielkim trudzie, płakali na jej widok, bo choć każdy ciągnął pług lub rydłem wzruszał ziemię, jednak czynili to społem<sup>65</sup> i każdy kogoś miał do pomocy. A ona była sama, matka sieroca, śmiertelnie sama. Tylko wiatr czasem chłodził litościwie jej zbladłe czoło, a czasem chmura, ulitowawszy się nad ludzkim nieszczęściem, zakrywała słońce, aby jej nie paliło.

Już się miało pod wieczór, bo w zachodniej stronie zaczęły na niebie kwitnąć lilie, a ona nie dokonała nawet dziesiątej części swojej pracy. Nagle rozpromieniły się jej oczy, których spojrzenie zmienione było w siwy popiół, gdyż ujrzała swoich synów powracających z włóczgi. Serce w niej zabiło radośnie, bo już nie będzie sama i już nie sama będzie wlokła tę bronę straszliwą i tak ciężką, tak ciężką... Wyprostowała zgięty krzyż

<sup>61</sup>rydel — rodzaj wąskiej łopaty o zaokrąglonym ostrzu. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>krzyż — część kręgosłupa w okolicach miednicy. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>brona — narzędzie do spulchniania i wyrównywania zoraną ziemi. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>parciany — wykonane z grubego płótna lnianego bądź konopnego. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>społem (daw.) — wspólnie. [przypis edytorski]

i z trudem chwyając oddech, aby skrzydła przypiąć swoim słowom, zawołała głosem serdecznym i tak gorącym jak najgorętsza łza:

— Pomóście mi, synkowie moi!

Nie słysząc odpowiedzi, pomyślała, że jej nie dosłyszeli, tak więc jakby sobie serce wyjęła z piersi i zamieniła je w wołanie, prosiła:

— Na rany Chrystusowe! Pomóście mi, synkowie moi!

Nagle zakręciła się z nią wszystka ziemia, a niebo upadło z trzaskiem na ziemię. Serce w niej struchlało i przestało bić. Dusza w niej zmartwiała i z jękiem głęboko oniemiała. Usłyszała głośny śmiech, a przez krwawe plamy na oczach ujrzała, jak jej synowie pokazują ją sobie rękoma jak dziwowisko<sup>66</sup>. Jakby z daleka, jakby gdzieś z końca świata dobiegł ją głos:

— Jacek, popatrz, nasza matka zamieniła się w konia!

— Ach, jak śmiesznie wygląda! Hej, matko, ciągnij dalej!

Śmiejąc się, pobiegli. Ona jednak już ich nie widziała ani nie słyszała. Jakby złamana, padła twarzą na ziemię, która poddała jej się miękko i pieszczotliwie. Kiedy zaś po długiej chwili poczuła jej palące łzy, sama zaczęła płakać wieczorną rosą.

Niebo zaczęło szarzeć i gasnąć.

Nagle spod jego firmamentu oderwała się szara kuleczka; jakby z gniazdka dalekiej gwiazdy, co niedługo zablęśnie, wyleciał mały ptaszek. To mieszkający w niebiosach skowronek zjawił się w powietrzu o liliowej porze wiosennego zmierzchu i spłynąwszy ponad leżącą na grudzie ziemi kobietą, zawisnął, jakby uwieszony za skrzydła na srebrnym promyczku. I zaczął śpiewać tak rzewnie, tak serdecznie i tak cudownie, że wiatr ucichnął, a obłoki przystały w locie. Kwiaty zapachniały mocniej, mocniej zapachniała ziemia.

A skowronek tak śpiewał:

— Otrzyj łzy, matenku, otrzyj łzy! Ukój swoje serce brylantowe! Otrzyj pot z czoła, co takie jest poorane jak twoje pole! Odpocznij, bidulko, odpocznij! Jutro, kiedy rozkwitną głogi<sup>67</sup>, przyniosę ci najpiękniejszą gałązkę. Wody ci w dziobku przyniosę, gdy na listkach zbiorę rosę. Skrzydełkami twarz ochłodzę, oczy twoje ucałuję. Pomógłbym ci, gdybym był wielki i mocny, lecz cóż ja poradzę, nieszczęsna ptaszyna? Śpiewaniem cię pocieszę, łzy twoje zbiorę i Panu Bogu pokażę. A sam Pan Bóg zapłacze, kiedy Mu powiem o twojej niezmierniej męce. Lilie na niebie dla ciebie dziś kwitną. Chmurki na niebie do ciebie się śmieją. Rosa niebieska nad twoją płacze niedołą. Gwiazdy dla ciebie się palą złościście. Dla ciebie jutro słońce powróci i ucałuje twoje oczy zapłakane, twoje ręce najukochańsze, twoje nogi poranione. Wszystkim powiem, wszystkim powiem, że ty jesteś cudowna matka, a twoje serce mało nie skonało z bólu. Odpocznij sobie, odpocznij! A ty, wietrze, uspij ją. A skowronek, z nieba dzwonek, będzie śpiewał, będzie dzwonił, zanim znów zablęśnie dzionek.

Serdeczny płacz wstrząsnął starowiną.

Noc płynęła cicho, na takich skrzydłach bezszelestnych, jakie mają sowy. Zapaliła na niebie sto tysięcy i siedem gwiazd, aby tej matce nie było straszno wśród nocy na smutnym polu. Nakazała szeptem nietoperzom, aby jej który nie tknął swoim zimnym skrzydłem. Nakryła ją miękkim, aksamitnym płaszczem ciemności, sama zaś usiadła opodal, na łące, z palcem na ustach na znak milczenia.

Wtedy od jednej złotej gwiazdy oderwał się świetlisty pająk, taki, co ze złotej przędzy przędzie sen. Zbiegł szybko po migotliwych i drżących promieniach i z nieba sprowadził cichy i kojący sen.

Śmiertelnie znużona, matka zasnęła. Czasem jej usypiające serce zrywało się jak spłoszony w gnieździe i zalekły ptak: zakwiliło cichutko i znowu zapadło w słodką niemoc.

Kiedy zaś na ziemi uczyniło się tak cicho, że słyhać było jedynie szelest obłoków, co szukając zaginionego słońca, odlatywały jego złotymi śladami za morze, kiedy, oprócz gwiazd, nie było widać żadnych światel, wtedy stała się rzecz najdziwniejsza z dziwnych: jak wielki, śnieżnobiały ptak spłynął od niebiosów wspaniały anioł, okrążył półko szerokim lotem i zstąpił na ziemię. Podszedł cichutko do śpiącej, słuchał bacznie przez chwilę jej

<sup>66</sup>dziwowisko — coś wywołującego zdziwienie. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>głóg — dzika róża. [przypis edytorski]

oddechu i uśmiechnął się dobrotliwie. Przymknął niebieskie oczy i wyglądał tak, jakby coś sobie przypominał. Rozejrzał się potem ciekawie po ziemi i witał ją słodkim uśmiechem. I tak uśmiechnięty, leciutko, aby nie zbudzić śpiącej, zdjął z niej postronki<sup>68</sup>, założył je sobie na piersi i jak skrzydlaty, biały rumak począł wlec po grudzie bronę, mocny i potężny...

Noc patrzyła złotymi oczami gwiazd.

Przystanąły w locie obłoki.

Ucichł zdumiony wiatr...

Nagle śpiąca zawołała cichutko przez sen:

— Pomóście mi, synkowie moi!

## ROZDZIAŁ PIĄTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK ROZPOCZYNAJĄ POSZUKIWANIA TAKIEGO KRAJU, W KTÓRYM LUDZIE NIE PRACUJĄ

Kiedy świt złotym promyczkiem zadźwięczał nad staruszką, obudziła się, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nią dzieje. Wnet jednak ostry ból w sercu wszystko jej przypominał. I to jej też przypominał, że czeka ją znowu ciężka praca: bronowanie kamieniami nabijanych grud. Spojrzała na pole i nie uwierzyła własnym oczom; przetarła je ręką, myśląc, że jeszcze zasnęła je resztką mętnego snu, i spojrzała po raz drugi: pole było gładkie, przepysznie uprawione, jakby uśmiechnięte ze szczęścia, że jest gotowe na przyjęcie ziarna. Stu pilnych i pracowitych oraczy nie mogłoby tak spulchnić ziemi: kamieniste półko wyglądało tak, jakby je uprawiono w bogatym ogrodzie, aby zasadzić na nim kwiaty. Biedna kobieta poczuła wielkie, wielkie szczęście, nie dlatego, że nie będzie już łamać krzyża i ranić bosych nóg, lecz jej serce napełniło się gorącym rozrzewnieniem, kiedy pomyślała, że to jej dzieci, chcąc uczynić jej radosną niespodziankę, dokonały tej ciężkiej pracy pośród nocy. Uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu, wielu lat takim uśmiechem, od którego nawet w najbardziej chmurny dzień czyni się jasno na świecie. Potem, pochyliwszy steraną głowę, ucałowała ziemię, bo myślała, że zroszona jest potem jej synów.

— Nikt inny — mówiła sama do siebie — nie mógł tego uczynić, tylko oni, moje chłopaki najdroższe! Umyślnie udawali, że się naśmiewają ze mnie, bo nie chcieli, abym się zmęczyła zanadto, a kiedy usnęłam, dokonali w mig tak wielkiej i ciężkiej pracy. O, czy mi teraz Bóg przebaczy, że byłam złą matką, bo kiedy upadłam bez sił, źle pomyślałam o moich słodkich dzieciach? Jakże ja teraz spojrzę im w oczy? A muszę pójść do nich i ucałować ich, i podziękować za to, co uczynili.

Poszła w stronę domku, uśmiechnięta z wielkiego szczęścia. Chciałaby śpiewać z radości, lecz sił nie miała nawet na śpiewanie, głodna i umęczona ciężką nocą na gołej ziemi, ale nie czuła ani głodu, ani zmęczenia, tylko szczęście. Weszła do izby cichutko, aby ich nie zbudzić, przypuszczała bowiem, że spracowawszy się okrutnie, śpią teraz słodko. Istotnie, spali smacznie i Jacek trzymał Placka we śnie za nos, a Placek Jacka dzierżył za czuprynę, tak jakby zapadał w głęboki sen i chwycił się ręką byle czego.

Matka przystanąła nad nimi, patrząc tak tkliwie, że z jej spojrzenia uczynił się promień, co padł na ich piegowate gęby. Musieli poczuć ciepło tego najcudowniejszego na świecie spojrzenia, bo otwarli oczy równocześnie, gdyż wszystko czynili jak na komendę.

— Jeszcze wcześniej — krzyknął Jacek. — Dlaczego nas budzisz?

— Aby was ucałować! — rzekło matczyśko takim słodkim głosem, jakiego nikt na świecie oprócz matki wydobyć z serca nie umie.

— A cóż to dziś za święto, że nas chcesz całować? — zapytał niechętnie Placek.

— O, tak, wielkie dzisiaj jest święto, bo w moich synaczkach zbudziły się serduszka. Niech wam Bóg zapłaci, dzieci najdroższe, za to, coście uczyniły dla waszej matki. Niech wam to stokrotnie nagrodzi! Oby wszyscy ludzie tacy byli dla was, jak wy jesteście dobrzy dla matki...

Zaczęła ich ścisnąć i całować, a gorące lzy padały na ich głowy.

Nie rozumiał niczego Jacek ani Placek niczego nie mógł pojąć. Widać coś się takiego stało, za co im przypisują zasługę. Jacek mrugnął prawym okiem na Placka, Placek lewym

<sup>68</sup>postronek — mocny, gruby sznur. [przypis edytorski]



na Jacka i od razu wiedzieli, że trzeba przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego zostali bohaterami, a następnie zażądać za to słusznej nagrody.

— O, jak ciężko napracowaliście się dziś w nocy! — radowała się matka. — O, jak bardzo musicie być zmęczeni!

— Nie warto o tym mówić — rzekł chytrze Jacek.

— Troszkę tośmy się zmęczyli — dodał Placek — ale nie tak bardzo.

— Pan Bóg w dzisiaj zapisał w wielkiej księdze — mówiła matka. — W niebie was dzisiaj błogosławią za to, żeście pomogli biednej matce zaorać pole.

Jacek spojrział ze zdziwieniem na Placka, a Placek z jeszcze większym na Jacka.

— To my zaoraliśmy pole? — zapytali równocześnie.

Matka roześmiała się szczęśliwie i rzekła:

— Ach, urwisy, znowu udajecie, że to nie wy! Cha! Cha! Wszystkim ludziom to opowiem, bo źle o was mówili, a teraz to radość będzie w całym Zapiecku. O, dzieci moje! Nikt na całym świecie nie ma takich synów jak ja.

— Co prawda, to prawda! — zaśmiał się Jacek. — Takich to chyba nikt nie ma.

A Placek na to:

— Kiedy to się nie dało ukryć, to już nie ma co, Jacku, trzeba się przyznać.

— Trudno! — zawołał Jacek. — Chcieliśmy ci, matko, zrobić niespodziankę, ale przed tobą nic się nie ukryje.

— Więc to wy?

— Przecie nie anioł z nieba — rzekł Jacek.

— Bardzo wam było ciężko? — spytała matka z niepokojem.

— Z początku tylko było ciężko — mówił Placek — ale potem coraz łatwiej. Ale sroga to była robota. Nie dziw się więc, matko, że jesteście trochę zmęczeni, a więcej jeszcze głodni. Czy masz co do jedzenia?

Matka zatroskała się bardzo.

— Mam — rzekła smutno — ostatni bochenek chleba. Musi nam wystarczyć na długo. Dzisiaj, ponieważ to uroczysty dzień, zjemy po kawaleczku, a od jutra będziemy go drobić<sup>69</sup> na okruszyny. Nie chcę was trwożyć, moje słodkie dzieci, lecz czeka nas jeszcze wiele pracy. Ale już mi ona nie straszna, kiedy wy nauczyliście się pracować. Teraz pewnie naprawicie dach, a potem będziemy razem wydzierać kamienie, aby powiększyć rolę. Będziemy to robić z radością, a Pan Bóg się nad nami zmiłuje, że nie pomrzemy z głodu.

— Pewnie, pewnie... — bąknął Jacek.

— A gdzie ten chleb? — zapytał Placek.

— Chleb jest ukryty w komórcie za belką. Napoczniemy go niedługo... Poczekajcie tu, moje drogie dzieci, a ja pójdę do tego źródła, co jest o milę stąd, aby wam przynieść świeżej, zimnej wody. Własną krwią bym was napoiła za to, że jesteście tacy dobrzy.

Wzięła dzbanki i uśmiechając się do nich, poszła powolnym krokiem przez pola.

Jeszcze im nie zniknęła z oczu, kiedy Jacek zaczął mówić szybko:

— Słuchaj no, Placek. Z tym polem to jest jakaś awantura<sup>70</sup>, ale to wszystko jedno. To jest gorsze, że nam każą teraz pracować, naprawiać głupi dach i wydzierać z ziemi jeszcze głupsze kamienie.

— Nikt nas nie zmusi! — wykrzyknął Placek.

— Zmusić, to nie zmusi, ale przez dziurawy dach będzie ciekło nam na głowy. Co to jest za urządzenie na tym świecie, abyśmy musieli pracować! Ja nie mam najmniejszej ochoty. A ty?

— Ja mam taką samą ochotę. Ale co robić?

— Musi być — mówił Jacek — taki kraj na świecie, gdzie nikt nie pracuje, bo wszystko samo rośnie. Ja słyszałem, że jest.

— Ale gdzie?

— Tęgo to ja nie wiem, ale wszystko można znaleźć, a w Zapiecku zawsze będzie bieda i nędza. To jest paskudne miasteczko: albo człowiekowi każą się tutaj uczyć, albo pracować. Wiesz co, Placek? Wbijmy stąd!

<sup>69</sup>drobić — kruszyć. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>awantura (daw.) — niezwykle zdarzenie. [przypis edytorski]

— Bardzo chętnie! Ale dokąd?  
— Przed siebie! Gorzej niż tu to i w piekle być nie może.  
— Doskonale, ale co będziemy jedli?  
— Na początek zabierzemy matce ten bochenek chleba, a jak zajdziemy daleko, to coś znajdziemy. Nauczyciel mówił, że świat jest bardzo wielki i że są na nim miasta większe od Zapiecka.

— Czy to możliwe?  
— Pewnie to prawda, bo on nigdy nie kłamał. Nie wiem dlaczego, ale nie kłamał, może dlatego, że nie umiał. Gdyby się u nas uczył, toby umiał, ale nie chciał.

— Więc uciekajmy! A matkę zostawimy?  
— A cóż z nią zrobisz? Na plecach ją będziesz niósł? Zabierajmy chleb i w nogi!  
— Zostawimy jej wodę. Nie martw się tym, bo tak będzie po nas płakała, że nawet nie zauważy, że zabraliśmy chleb. Tak nas kocha, że jej będzie tylko nas żal.

— Za co ona nas tak kocha?  
— Czy ja wiem? Starzy ludzie tacy są dziwni, że nigdy nie wiadomo, co w nich siedzi. Może dlatego nas tak kocha, że jesteśmy bardzo piękni. Więc dajemy nogę, Placek?

— Jazda! Gdzie ten chleb?

— Zaraz będzie!

Wleźli do ciemnej komórki i nawet nie patrząc, od razu znaleźli chleb, samym węchem. Jacek ukrył go za koszulą; obejrzeni szybko izbę, szukając, co by się jeszcze dało zabrać, i wyrzawszy przez drzwi, czy matka nie wraca, wybiegli na pole. Puścili się pędem przez łąki i nawet się nie obejrzeni. Umieeli biec z wiatrem na wyścigi jak zające. Skakali przez rowy i rozpadliny, przedzierali się przez leszczyny i głogi. Uciekali z tym mizernym bochenkiem chleba, jakby unieśli skarb. Gnali, nie wiadomo po co i nie wiadomo dokąd.

Ubiegli tak wiele mil i znaleźli się w głuchym pustkowiu. Nagle Jacek zwolnił biegu i zatrzymał się zdumiony, obok natychmiast przystanął Placek.

— Co się stało? — zapytał. — Czemu stanąłeś?

— Nie wiem — odrzekł Jacek. — Sam dobrze nie wiem. Zdawało mi się, że ktoś nas woła...

— Zdaje ci się, to las szumi...

— Zdawało mi się, że ktoś płacze.

— Nie powiadaj głupstw. Kto by płakał w tym pustkowiu?... To wiatr tak zawodzi...

— O, nie! Posłuchaj!... Cicho!... Słyszysz?

— Coś słyszę... Słyszę głos podobny do głosu naszej matki!...

— Naszej matki?

— Ale to śmieszne... Żaden człowiek na świecie nie potrafi tak płakać, aby go było słychać na dziesięć mil. Zresztą nasza matka zawsze cicho płakała. Chodźmy dalej!

— Chodźmy! — rzekł twardo Jacek.

Szli znowu nieumęczeni, bo mieli doskonałą wprawę. Śpieszyli się tak, jakby czym prędzej pragnęli się znaleźć w tym błogosławionym kraju, w którym praca jest nieznaną, gdzie zamiast kartofli rosną ananasy, a zamiast żywicy najśłodszy miód ciecze po pniach sosen. Jacek jednak szedł z większą trudnością niż Placek i kilka razy potknął się na nierównej ziemi, pełnej wyrw i rozpadlin.

Otarł pot z czoła i rzekł:

— Trudno mi iść, bo ten chleb zaczął mi od niejakiego czasu dziwnie ciążyć.

— Zjedzmy połowę, to ci będzie lżej.

— Pierwej nie był taki ciężki — mówił Jacek zamyślony.

— Zmęczyłeś się, więc ci się tak wydaje. Dobiegnijmy do tego wielkiego dębu, który stąd widać, tam odpoczniemy i tam przełamiemy chleb.

Znowu zaczęli iść i po godzinie doszli z wielkim trudem na szczyt wzgórza, nad którym jak olbrzymi, wspaniały parasol rozpostarł się odwieczny dąb. Legli na trawie, ciężko dysząc.

Kiedy cokolwiek<sup>71</sup> odpoczęli, Placek nagle roześmiał się głośno.

— Co się stało? — zapytał Jacek. — Czego rżysz jak koń?

<sup>71</sup>cokolwiek — tu: trochę. [przypis edytorski]

— Śmieję się, bo sobie pomyślałem, jaką minę miała nasza matka, kiedy nie znalazła ani nas, ani chleba... Cha! Cha! Cha!

— Może nas przeklina? — zapytał Jacek.

— O, głupi Jacku! Ona nie przeklełaby nawet muchy. Zresztą jesteśmy już tak daleko, że żadne przekleństwo nie doleci. Dawaj chleb!

Jacek sięgnął za koszulę i zaczął z dziwnym trudem wydobywać bochenek.

— Czemu tak marudzisz? — wołał Placek zniecierpliwiony.

— Sam nie wiem — odrzekł Jacek bardzo zmieszany — ale ten chleb coś dziwnie uczynił się ciężki. Pomóż mi!

Placek sięgnął i z trudem wydobył obiema rękami chleb. Stał się on tak ciężki, że upadł na ziemię.

— Przełammy go — rzekł Jacek.

Podnieśli bochenek z ziemi i usiłowali go przełamać.

— Co to jest? — zawołał Placek. — Nie był on tak czerstwy, kiedyśmy go znaleźli. Spróbujmy zębami.

Rozwarł szeroko usta i chciał ugryźć bochenek, lecz nagle krzyknął boleśnie, bo omal nie wylał wszystkich zębów.

Spojrzeni na siebie z przerażeniem.

— Ten chleb jest z kamienia! — wykrzyknął zdumiony Placek. — Ach, ta nasza zła matka tak sobie z nas zakpiła!

Jacek zamyślił się i rzekł ponuro:

— A może to nie ona? Matka nas nigdy nie oszukała... To niemożliwe... Ten chleb odmienił się przez czary. Kiedy go ukradłem, był piękny, popękany i rumiany i nie był wcale ciężki. Spójrz, jak wygląda teraz: jest szary i bardzo ciężki. To dlatego nie mogłem go udźwignąć... Żle, Placku! Ktoś nas prześladuje...

— To kara boska! — krzyknął ktoś ponad nimi.

Z przerażeniem zadarli głowy i ujrzeli na dębowej gałęzi olbrzymiego kruka, który był zupełnie biały i patrzył na nich mądrymi oczyma z pogardą i lekceważeniem.

— To ty przemówiłeś do nas? — zapytał drżący z trwogi Jacek.

— Ja! — odrzekł kruk.

— A czegoś ty od nas chcesz?

— Gdybym był młodszy, tobym wam wydziobał oczy i wyjąłbym wam serce. Nie uczynię tego jednakże, bo to by była zbyt mała dla was kara! Nie! Nie tknę was, bo oczy macie złe, a serca robaczywe.

— Nie boimy się ciebie! — krzyknął Placek.

— Wy się też mnie nie bójcie, lecz Pana Boga! Ukradzony głodnej matce chleb zamienił się wam w kamień, ale najlepiej by było, abyście wy się zmienili w kamienie. Jesteście źli i wstrętni. Ziemia wstydzi się, że po niej chodzicie...

— A skąd ty o tym wiesz? Czyś taki mądry?

— Jestem mędrzy od siedmiu mędrców. Pióra moje są białe od starości, bo narodziłem się wtedy, kiedy słońce było jeszcze dzieckiem, a gwiazdy jeszcze się nie narodziły. Znam wszystkie mowy tego świata i przeczytałem wszystkie księgi. Byłem w arce Noego<sup>72</sup> i na wierzchołku góry Ararat<sup>73</sup>. Widziałem wszystko i wiem wszystko. Jestem tym krukiem, który nosił chleb Danielowi<sup>74</sup> w lwiej jamie.

— A cóż ty takiego wiesz?

— Wiem, że przekleństwo ścigać będzie dziecko, co skrzywdziło matkę. Wiem, że pierwszą osobą po Bogu jest matka. Wiem, że zginiecie marnie, jeśli Bóg wam nie przebaczy i jeśli wam nie przebaczy matka wasza. Kra! Kra!

— Nie kracz tak strasznie! Nie wierzymy w to, co mówisz. Nasza matka myśli, żeśmy pobiegli w pole i że niedługo wrócimy.

Chleb, Kradzież, Kara,  
Czary

Ptak, Mądrość

Matka

<sup>72</sup> *arka Noego* (rel.) — według Biblii statek, na którym Noe wraz z rodziną został uratowany przez Boga z potopu; na pokładzie arki znalazły się także zwierzęta wszystkich gatunków. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *Ararat* — góra w dzisiejszej Turcji, na jej szczycie wg *Biblii* wylądowała arka Noego po potopie. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *Daniel* — starotestamentowy prorok; uprowadzony do Babilonu, nie dał się nakłonić do porzucenia swej wiary i został za karę wtrącony do jaskini lwa, skąd cudem wybawił go Bóg. [przypis edytorski]

— Wasza matka leży w tej chwili na progu domu jak nieżywa. Widzę ją ze szczytu dębu. Jej serce wszystko wie, więc wie i o tym, żeście ją zostawili na głód i na poniewierkę.

— Jeśli jesteś taki mądry, to nam powiedz, czy bardzo nas przeklinała.

Krukowi, kiedy to usłyszał, oczy zapłonęły szkarłatnym blaskiem.

— Chłopcy niegodziwi! — zakrzakał potężnym głosem. — Wasza matka, zanim legła jak nieżywa, modliła się gorąco o to, aby was nic złego nie spotkało. Tylko dlatego was nie zabiję was. Precz, precz z moich oczu!

Wykrzyknął to takim chrapliwym i groźnym głosem, że chłopcy pobledli. Udawali dotąd, że się wcale nie lękają tego sędziwego ptaka, jednak naprawdę serca w nich zamarły, kiedy do nich zagadał ponuro. Kiedy więc kazał im iść precz, porwali się z ziemi i pobiegli w dół ze wzgórza przez gąszcz krzewów. Głogi chwyciły ich kolczastymi palcami za suknie, giętkie leszczyny smagały ich dotkliwie. Poza sobą długo słyszeli przeraźliwy głos kruka, biegnący za nimi jak grzmot. Myśleli też, że za nimi wali szumiąca burza, a to dąb wspaniała i z sercem wzniosłym, usłyszawszy o ich sprawach, rozszumiał się w wielkim gniewie i musiał załamać ze zgrozy potężne ramiona konarów, tak że aż trzeszczały.

Ziajani, głodni i przerażeni biegli długo, nie przemówiwszy do siebie ani słowa. Pędzili bezdrożem, okolica bowiem była pusta i bezludna. Za nimi biegł niewidzialny i niesłyszalny strach, ale czasem czuli na plecach zimne mrowie, jakby jego lodowaty oddech. Czupryny mieli zlepione mokrością potu, suchość w gardłach i ogień w żołądkach. Biegli już resztkami sił, a to było najgorsze, że biegli bez tchu, byle przed siebie, byle jak najdalej.

Tymczasem zapadała noc. Niebo pobladło, jakby z rozpaczy, że za kilka chwil nie ujrzy już słońca. Mrok, przez dzień śpiący w komyszach<sup>75</sup> jak dzikie zwierzę, budził się już ze snu, przeciągał leniwie i wypełzał powoli ze swoich ciemnych kryjówek. Zerwał się wiatr i jak pies tropiący po śladach biegał tam i sam<sup>76</sup> wśród zarośli, które zakwitały dziwnymi kwiatami cieniów, zanim je noc nie zakryła. Pod nogami chłopców zachlupotała czasem woda i bulgotała jakby w gniewie, że ktoś ją rozprysnął ciężką stopą. Noc zaczęła gadać dziwnymi głosami: mruczeć i szeleścić, jęczeć i wzdychać. Ciężkimi, jakby wzdychającymi głosami zaczęły się nawoływać jakieś strachy czy wilkołaki. Czarne nietoperze śmigały szybko wykrętym lotem, jak myśli złego człowieka. Wiatr zwęszył pierwszą gwiazdę i myśląc zapewne, że to jest złoty ptak, uganiał po chaszczach i piął się z piskiem i skowytem po pniach wysokich drzew, aby pożreć złotego ptaka. Drzewa zmieniały się w strasznych olbrzymów, a krzaki w jeszcze straszniejszych karłów. Wszystko było dziwne i przerażające...

Chłopcy patrzyli dokoła z trwogą i gnali przed siebie, straciwszy wszelką drogę i kierunek. Trwożył ich każdy krzak, a każdy zwalony pień zdawał się po nich wyciągać macki; nadaremnie wyglądali jakiegoś światełka, nadaremnie nasłuchiwali ludzkiego głosu. Chcieli odpocząć, odpocząć za wszelką cenę, lecz trwoga niosła ich wciąż naprzód, a lęk podcinał ich jak biczem.

Nagle Jacek krzyknął. Zdawało mu się, że ujrzał dwa czerwone światełka.

— To pewnie ludzkie mieszkanie! — zawołał radośnie Placek, który też je dojrzał.

Skręcili w bok i zaczęli bieć w tę stronę, gdzie się jarzyły dwa czerwone ogniki. Biegli z nadzieją, że ich ktoś przygarnie, nakarmi i napoi.

Wtem ogniki znikły, a po chwili znowu zapaliły się w dalekości.

— Biegnijmy! — krzyknął z rozpaczą Jacek.

— Tam, tam na lewo! — wołał zamierającym oddechem Placek.

Nadzieja dodała im sił. Zbiegli na jakieś moczary<sup>77</sup>, bo woda, bita ich nogami, bulgotała coraz częściej i opryskliwiej.

Kiedy się znaleźli w jakimś wilgotnym pustkowiu, dostrzegli, że otacza ich mętna, zimna, ciężka mgła. Wpadli w jej zgniętą toń jak w stęchlą wodę i nie widzieli nic prócz tych migotliwych światełek. Zbliżali się do nich z coraz większym trudem, płynąc raczej wśród tego mglistego jeziora, niż idąc.

Nagle strach chwycił ich za gardło, tak że nie mogli schwytać oddechu. Na jakiejś

Noc, Strach

Strach, Potwór

<sup>75</sup>komysze (reg.) — zarośla na wilgotnym terenie. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>tam i sam (daw., gw.) — tu i tam. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>moczary — bagnisty teren. [przypis edytorski]

wyniosłości stało, mgłami owite, straszliwe widmo przypominające psa. Czerwone światła to były oczy potwora, teraz już tak wielkie jak dwa czerwone księżycy. On sam zaczął rosnąć i olbrzymieć. Bura mgła tworzyła jego splątane kudły, głowa, zdawało się, sięga chmur. Kiedy patrzyli zlodowaciały od lęku, rozległo się po bagniskach przeciągłe wycie i potoczyło się aż po najdalsze krańce nocy: wycie bolesne, pełne rozpaczy i grozy. Widmo skierowało na nich swoje przerażające oczy.

Wtedy oni krzyknęli z wysiłkiem:

— Ratunku!

Nikt im nie odpowiedział, tylko widmo psa zawył jeszcze boleśniej, potem się rozwinęło we mgle. Zgasły straszne oczy, przebrzmiał przejmujący głos.

Chłopcy dygotali ze strachu i zimna. Jacek pochylił się do ucha Placka i wyszeptał:

— To był duch Łapserdaka!

— I mnie się tak zdaje — szczęknął zębami Placek.

— Jakie to szczęście, że był to pies łagodny za życia — szeptał Jacek. — Ale gdzie my jesteśmy?

— Nie wiem... Musimy wyjść z tego bagna... Chodźmy!

Uszli z trudem kilka kroków i nagle zapadli w jakąś czeluść.

— Ssssss!... Ssssss!... — usłyszeli ciche, jadowite syczenie.

— Wężę! — krzyknęli z rozpaczą. — Uciekajmy!

— Nie uciekajcie! — odezwał się syczący głos. — Odpocznijcie sobie... Sssss! Nie zrobimy wam nic złego... Sssss! Są tu złe węże i jadowite żmije, które zabijają każdego...

Śmierć! Śmierć! Ale wam nie zrobimy nic złego... Sssss!

— Czemu? — zapytał ostatnim tchem Jacek.

— Bo wy jesteście nasi bracia... Sssss! My jesteśmy nakrapiane i wy też jesteście nakrapiani... Sssss! My jesteśmy węże i wy też jesteście węże...

— My jesteśmy ludzie! — krzyknął Placek.

— Nie, braciszku! Sssss! Ty jesteś wężem, a twój brat jest żmiją... Matka wykarmiła was i wychowała na własnej piersi... Ssssss! A wy ukąsiliście ją w samo serce... Nic złego wam nie zrobimy... Jesteście żmije... Żmije... Ssss...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK SPOTYKAJĄ WIELKIEGO FILOZOFA PATAŁŁACHA

Jacek i Placek straszną noc przebyli w trzęsawisku. Nie rozumieli dobrze dlaczego, ale wstyd ich palił, że jadowite żmije i oślizgłe węże nazywały ich swymi braćmi. Pojąć nie mogli, dlaczego najlepszy pies na świecie czy też jego upiór był smutno ponad nimi, zawiódłszy ich przedtem na bagna, gdzie łatwo mogli utonąć. Bolała ich straszna wzgarda mądrego, starego kruka.

Bali się poruszyć, aby nie zbudzić kłębowiska syczących węzów. Leżeli w jakimś wilgotnym wykrocie<sup>78</sup>, przytuleni do siebie i mocno zastrachani. Zasykali od czasu do czasu z wielkiego zmęczenia, ale spali krótko, snem niespokojnym i gorączkowym. Ile razy sen skleił im oczy, budziły ich po chwili jakieś dzwonięcia i jękliwe westchnienia. Wciąż im się zdawało, że gdzieś z wielkiej oddali goni za nimi poprzez mgły tęskny, rozplakany głos, który już przedtem słyszeli na pustkowiu.

Często wśród tej mokrej, mgłami otulonej nocy padało na nich coraz to nowe przerażenie. Przed samym świtaniem ujrzeli w lepkiem, drżącym od zimna mroku nowe widmo, biegnące ku nim olbrzymimi krokami. Ogromny potwór zbliżał się cicho i tylko czasem słychać było bulgotanie wody pod jego nogami. Miał straszliwy łeb, nisko zwieszony ku ziemi, a na nim rogi, szerokie jak łopaty; ból<sup>79</sup> nimi gęstą mgłę i zbliżał się coraz bardziej. Nagle przystanął i począł wietrzyć chrapami, jakby ich poczuł w pobliżu; wtedy prychnął w wielkim gniewie i pocałował przez bagna. Nie wiedzieli, że to był łoś, ale wedle tego, co ich dotąd spotkało, byli przeświadczeni, że jakiś piekielny upiór przybiegł z daleka, aby im okazać swój gniew i wzgardę.

Jeden drugiemu tego nie powiedział, ale obaj myśleli o tym równocześnie, jak by im było dobrze i bezpiecznie w tej chwili w domu, przy matce, która zawsze budziła się ze

<sup>78</sup>wykrot — dziura po korzeniach przewróconego drzewa. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>ból — uderzać czymś ostrym. [przypis edytorski]



snu, niespokojnie nasłuchując, ile razy który z nich westchnął przez sen. Gdzie ona teraz, ta matka? Mieli żal do niej, że tu po nich nie przyszła i nie wydobyła ich z legowiska wężów.

Skoro<sup>80</sup> słońce zegnało znad moczarów siwe mgły, jak pasterz spędza ciężkie i leniwe krowy z pastwiska, znowu wstąpiła w nich odwaga. Ujrzeni, że przebyli noc w zapadłej dziurze, na jakiejś kępie. Węże znikły, dookoła nie było żadnej żywej istoty. Wydostali się szybko ze wstrętnego legowiska i skacząc z kępy na kępę, wydostali się na suchą ziemię. Wyglądali żałośnie. Obłoceni i sponiewierani, znużeni i zgłodniali, odarci przez chaszczę, pobici przez leszczyny i podrapani przez głogi wlekli się z trudem przed siebie. Pod samotnym dębem znaleźli opadłe żołędzie i poczęli je pożerać łapczywie. Schwytali kilka spokojnie wędrujących ślimaków i połknęli je na surowo. Widać, że duch tych urwipolciów mieszkał w żołądku, bo kiedy się najedli, zaraz nabrali ducha<sup>81</sup>: zapomnieli o wszystkim, przespali się, poszli dalej. Tuż koło dębu szemrał strumyk, nie umyli się jednak, uważając ten zabieg za zbędny.

Szli znowu bez celu, w ciągłej nadziei, że dokądś kiedyś zajdą.

Około południa ujrzeni z radością żywe stworzenie. Na środku łąki stał osioł, wcale się nie poruszając. Rozparł się wygodnie, jedno ucho podniósł w górę, drugie opuścił ku ziemi. Wyglądał jak martwy, od czasu do czasu jednakże kiwnął ogonem, co było niewątpliwym znakiem, że żyje. Chłopcy obejrzeni go ciekawie, gdyż dotąd widzieli takiego zwierza jedynie na obrazku. On wcale nie zwrócił na nich uwagi.

— Dzień dobry panu! — zawołali.

Osioł machnął lekceważąco ogonem.

— Co pan tu robi? — zapytał Jacek.

Osioł nie odpowiedział, tylko ucho wzniesione do góry opuścił wdzięcznie na dół, a opuszczone podniósł w górę.

Myśląc, że albo ich lekceważy, albo też jest głuchy, zaczęli go tarmosić za uszy. Trudno było tego nie zauważyć, toteż osioł odezwał się niecierpliwie:

— Proszę mi nie przeszkadzać.

— A cóż ty takiego robisz? — zapytał Placek.

— Rozmyślał! — stęknął osioł.

— Nad czym rozmyślasz?

Osioł obejrzał ich uważnie i stał się mniej mrukiwy.

— Czy wy jesteście ludzie? — zapytał.

— Przecie widzisz, więc dlaczego pytasz?

— Widzę, ale pytam, bo chociaż chodzicie na dwóch nogach, mało jednak podobni jesteście do ludzi. Przy tym, chociaż jestem niezmiernie mądry, nie mogę zrozumieć, dlaczego przede mną stoi jeden tylko, a ja widzę dwóch? Ilu was jest właściwie?

— Dwóch!

— Jak to może być? Jeden jest zupełnie taki sam jak drugi. Stroicie jakieś psie figle, ale ja się nie dam otumanić. Albo też w tym wszystkim jest jakaś głęboka tajemnica... Czy to tajemnica?

— Tak jest! — odrzekł Placek. — Jest nas dwóch, ale jest jeden. Gdybyśmy chcieli, toby nas było czterech, ale nie chcemy.

— Bardzo słusznie, nawet dwóch to już za wiele. Ja jestem jeden!

— To także za wiele — rzekł Jacek. — Czy nad tym rozmyślasz, żeby z jednego osła zrobić dwa osły?

— Wcale się nie zajmuję tą sprawą, bo osłów i bez tego jest na świecie niezliczona ilość. Ja rozmyślam nad potężną tajemnicą, bo jestem tak bardzo mądry, że mi rozum ciąży i wciąż muszę myśleć o sprawach głębokich i zawitych. Czy mnie rozumiecie?

— Rozumiemy, bo ryczysz bardzo głośno.

— Jest to w zwyczaju u szlachetnego narodu osłów, że lubią przemawiać dobitnie. Czy nigdy nie słyszeliście o mnie?

— Dotąd nigdy!

<sup>80</sup>skoro (daw.) — gdy tylko, kiedy. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>nabrać ducha — nabrać chęci do działania. [przypis edytorski]

— Musicie zapewne pochodzić z obcego kraju, bo w tym kraju sława moja jest niezmierna. Skąd wy pochodzicie?

— Z Zapiecka.

— Nie byłem nigdy w tej sławnej stolicy. Bardzo mi przyjemnie, że was spotkałem.

— Czy długo tu tak stoisz?

— Przystanąłem na tej pięknej łące przed tygodniem, bo mi przyszło do głowy jedno zagadnienie, na które nie mogę znaleźć odpowiedzi. Dręczy mnie jedna wielka tajemnica.

— Jakaż to tajemnica?

— Nad tym rozmyślałem — zaryczał osioł — dlaczego mogę wszystko widzieć z przodu, a zupełnie nie widzę z tyłu?

— To bardzo ciekawe.

— Tak, to jest bardzo ciekawe zagadnienie. Stoję tu od tygodnia i usiłuję dojrzeć, co się dzieje poza mną, ale nic nie widzę. Trudzę się więc bardzo i rozmyślam, co należy uczynić, aby ujrzeć to, co się dzieje za moim ogonem. Czy macie na to jaką radę?

— Zastanowimy się — rzekł Jacek.

Odeszli na ubocze i udawali, że się głęboko namyślają. Kiedy powrócili po dłuższej chwili, Jacek rzekł:

— Jesteśmy tak mądrzy, że wymyśliliśmy niezawodny sposób.

— Jakiż to sposób? — zapytał niedowierzająco osioł.

— Jeśli pragniesz zobaczyć, co się dzieje w okolicy twojego ogona, musisz uczynić zwrot w tył.

— Nie rozumiem tego wyrażenia, musi to być wyrażenie naukowe. Co mam uczynić?

— Musisz się odwrócić i stanąć tak, aby twoja głowa była tam, gdzie jest twój ogon.

— I wtedy będę widział?

— Spróbuj!

Osiół odwrócił się powoli i nagle ryknął z wielkiej uciechy.

— To nadzwyczajne! — zawołał. — Że też mi to nie przyszło do głowy!

— Tak — rzekł skromnie Jacek — wielka to była i niezrównana sztuka, aleśmy ją wymyślili!

— Czy jesteście mędrkami w swoim kraju?

— Mędrkami i czarownikami.

— To zaraz widać. Czy wolno wiedzieć, jak brzmią wasze czcigodne imiona?

— Nazywamy się: Jacek i Placek.

— Imiona wasze brzmią poważnie i dostojnie. Drugie jest nawet bardzo smakowite.

— A jak ty się nazywasz?

— Ja nazywam się Patałach. Uważajcie! Patałach, i to przez dwa „ł”. Istnieje młodsza linia Patałachów pisząca się przez jedno „ł”, ale to nie są nawet moi krewni, choć się chętnie do tego przyznają.

— Czy tak sławny jest ród Patałachów przez dwa „ł”?

Osiół przymknął oczy i ryknął przeraźliwie.

— Czego ryczysz, zamiast odpowiedzieć? — zapytał Jacek.

— Najpierw musiałem ryknąć z zachwyty nad tym sławnym rodem. A po raz drugi ryknąłem ze zdumienia, że wy nie wiecie o jego wspaniałości. Dowiedźcie się przeto, że jestem osłem-mędrkiem. Niezmierna mądrość mego rodu stąd pochodzi, że ze skóry mego prapradziada zrobiono pergamin, na którym napisano najmędrszą książkę świata: *O sposobie doskonałego gotowania bobu*, a ze skóry mego pradziada i dziada zrobiono grzbiety przy oprawie książek. Jak z tego widzicie, miałem w rodzinie samych filozofów.

— Czy ojciec twój także był wielkim uczonym?

Osiół opuścił oboje uszu ku ziemi i ryknął smutno:

— Nikomu bym o tym nie powiedział — rzekł — ale ludziom mądrym opowiem, choć z wielką żalnością. Ojca mego, który był melancholicznego<sup>82</sup> usposobienia, spotkała wielka zniewaga. Od czasu jak wynaleziono papier, nikt już nie chce pisać mądrych rzeczy na osłej skórze, toteż z mego znakomitego ojca zrobiono kielbasy, a z jego bielszej niż śnieg skóry zrobiono zwyczajny wór na wodę. Czy to nie wstyd?

— Straszne to jest zdarzenie! — rzekł Placek. — Ale co będzie z tobą?

<sup>82</sup>melancholiczny (daw.) — melancholijny. [przypis edytorski]

— Ja — zawołał osioł — mam wybitne zamiłowanie do filozofii, ale ponieważ obawiam się, że tak samo jak mój zarżnięty ojciec nie zrobię naukowej kariery, postanowiłem wzgardzić ludźmi, zerwać z nimi wszelkie przyjacielskie stosunki, i właśnie przed tygodniem uciekłem.

— A cóż na to powiedział twój pan?

— Młodzieńcze — ryknął osioł — cofnij czym prędzej to niebaczne<sup>83</sup> słowo. Wolny duch filozofa takiego jak ja nie uznaje przemocy. Mało mnie to obchodzi, co powiedział tyran, który mnie zadreślał pracą, a którego ty nazywasz moim panem.

— Patrzcie, patrzcie! A dokąd ty dążysz?

— Idę w świat na poszukiwanie takiego kraju, w którym nie potrzeba pracować. Mam już dość pracy!

Jacek i Placek spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— Patałachu! — wykrzyknęli.

— Za pozwoleniem — przerwał im osioł. — Nieuważnie wymawiacie moje nazwisko. Słyszałem tylko jedno „I”.

— Czy to nie jest wszystko jedno?

— Dla was może, ale nie dla mnie. Patałach z podwójną literą „I” oznacza, że pochodzę z mahometańskich<sup>84</sup> krajów, a jak rozmaici uczeni dowodzą, to nawet z książęcego rodu. Przepraszam, że wam przerwałem. Dlaczego wykrzyknęliście z radością moje piękne imię, choć bez drugiego „I”?

— Patałachu — rzekł Jacek — chcieliśmy ci powiedzieć, że to się przedziwnie składa...

— Za pozwoleniem — zawołał Patałach — ale chciałbym zobaczyć, co się dzieje od tyłu. Czy mogę się odwrócić?

— Odwróć się i słuchaj!

— Za pozwoleniem — rzekł znowu osioł, zmieniawszy pozycję — widzę, że się nic nie zmieniło w okolicach mojego ogona. Nie ma nic ciekawego na tym świecie... Ale co to chcieliście mi powiedzieć?

— Bardzo radosną wiadomość — rzekł Jacek. — Otóż dowiedz się, Patałachu...

— Za pozwoleniem! — wykrzyknął osioł. — Ale mnie zadziwiasz. Skąd mianowicie znasz moje imię?

— Przecież sam je nam powiedziałeś...

— Ach, prawda, przypominam sobie. Wtedy jednak głowę miałem tam, gdzie mam w tej chwili ogon, więc zapomniałem o tym. Chcecie mi tedy<sup>85</sup> ogłosić radosną wiadomość. Wybornie! Jakaż to jest wiadomość?

— Otóż dowiedz się, że ja i Placek...

— Za pozwoleniem! — ryknął osioł po raz siódmy. — Czy to, co mi macie powiedzieć, jest sprawą wielkiej wagi?

— Oczywiście!

— W takim razie muszę opuścić oboje uszu, aby lepiej słyszeć. Słucham zawsze bardzo uważnie, czego mnie nauczył mój dostojny ojciec.

W tym miejscu ryknął przeraźliwie.

— Czemu ryczysz?

— To z wielkiej żalości, bo znowu sobie przypomniałem, że z mojego ojca zrobiono kielbasy. Ale powiedzcie mi wreszcie, o co idzie, gdyż płonę z ciekawości!

— Słuchaj więc... Otóż ja i Placek...

— Za pozwoleniem — przerwał osioł — czy ty i Placek, czy Placek i ty?

— Czy to nie wszystko jedno?

— Być może, że wszystko jedno, ale wniosły umysł zawsze dostrzeże subtelną zawilść nawet tam, gdzie jej nie ma. Lubię być dokładny i ścisły w myśleniu. Ale zgódźmy się na ten porządek, jaki obrałeś; przeto ty i Placek...

— Ja i Placek chcieliśmy ci oznajmić, że się tak szczęśliwie zdarzyło...

— Za pozwoleniem — przerwał Patałach — ale dlaczego wciąż zaczynasz mówić, a nigdy nie kończysz?

<sup>83</sup>niebaczny — lekkomyślny. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>mahometański — muzułmański, islamski. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>tedy (daw.) — więc. [przypis edytorski]

— Bo mi ustawicznie przerywasz — rzekł zniecierpliwiony Jacek — ciągłymi zapytaniami i nie pozwalasz mi dojść do słowa.

— Jest to moda w rodzinie osłów: lubimy wiele mówić i o wszystko pytać. Jeden z moich przodków tym się na cały świat wslawił, że umiał zadawać tyle pytań, iż dziesięciu filozofów nie mogło na nie odpowiedzieć. Cóż więc takiego wydarzyło się szczęśliwego?

— Nadzwyczajna to jest rzecz — rzekł Jacek — ale my także szukamy tego kraju, w którym nikt nie pracuje!

— Więc to i wy uciekliście od swego pana?

— Uciekliśmy, a od kogo, to do sprawy nie należy. Jeśli będziesz mnie o to pytał, ugryzę cię w ucho. Dość, żeśmy uciekli i szukamy tego błogosławionego kraju. Nie chcemy pracować. Chcemy pić i tańczyć. Czy pragniesz tego samego?

— Za pozwoleniem — ryknął osioł — w naszych pragnieniach jest niejaka różnica: chcę jeść i pić, ale wcale nie myślałem o tańcu. Jestem zbyt poważnym uczonym na takie swawole.

— Ale jeść chcesz?

— Chcę bardzo, byle dużo, a nawet jeszcze więcej.

— Pić chcesz?

— Chcę, chociaż w mniejszym stopniu pragnę napoju niż jedzenia.

— A pracować nie chcesz?

— Gardzę pracą, gdyż jest to złośliwy wynalazek istot nierozumnych. Zawsze też doprowadzało mnie to do głuchego gniewu, że takiemu jak ja filozofowi kazano wozić wodę. Czy pozwolicie, że ryknę na znak protestu?

— Rycz zdrowo.

Patałach rozwarł paszczę i wydał głos tak straszliwy, że z drzew posypały się liście. Potem rzekł nieco niższym głosem:

— Cały świat musi zadrzeć, słysząc mój wspaniały ryk, ale wy się nie bójcie, bo jestem dla was bardzo łaskawy i uprzejmy.

— Więc pójdziemy razem?

— Cóż robić? W podróży nie jestem wybredny i byle jakim zadawałam się towarzystwem. Raz musiałem iść w zaprzęgu nawet z koniem, ale wtedy uległem przemocy. Pójdę z wami, ale stawiam jeden warunek.

— Jakiż to warunek?

— Od czasu do czasu nachodzą mnie niezmiernie głębokie myśli, które muszę wszechstronnie rozważyć. Wtedy przystaję w drodze i oddaję się rozmyślaniom.

— A czy to trwa długo?

— To zależy od rodzaju myśli. Przystaję czasem na dwa, czasem na trzy tygodnie, często jednak już po dwóch dniach namysłu rozwiązuję tajemnicę. Pewnego razu udało mi się rozwikłać bardzo trudne zagadnienie w ciągu jednego jedynego dnia.

— Nad czym wtedy rozmyślałeś?

— Nad tym, dlaczego mam cztery nogi...

— Trudne to było zagadnienie... I cóż wymyśliłeś?

— Rozwiązanie jest bardzo proste, jeżeli bowiem miałbym tylko trzy nogi, nie mógłbym chodzić.

— Wielkim jesteś mędrcom, Patałachu!

— W tej chwili dręczy mnie inna tajemnica, nad którą zastanowię się dopiero w przyszłości; tego mianowicie pojąć nie mogę, dlaczego nigdy w życiu nie widziałem mojego ogona. Wyrasta on przecie ze mnie, więc jest moją własnością. Musi istnieć przeto jakiś szczególny powód, że go nie mogę zobaczyć. Są to jednak sprawy tak zawile, że teraz nie chcę sobie nimi zaprzątać umysłu. W tej chwili należy nam myśleć o podróży. Dokąd się skierujemy?

— Tego właśnie nie wiemy...

— Jeżeli chcecie, to ja się zastanowię — rzekł Patałach.

— A jak długo to potrwa?

— Może miesiąc, może dwa. Dobrze jeszcze nie wiem, jest to bowiem trudne pytanie.

— To nieco za długo — odrzekł Jacek. — Chcemy zająć tam jak najprędzej, bo w tych okolicach prześladowają nas ustawicznie wielkie nieszczęścia. Najlepiej chodźmy przed siebie.

Praca

— Jest to ludzki sposób rozwiązywania sprawy. Osły doszły do przekonania, że czasem lepiej jest iść w tył.

— W tył? Za nic na świecie! — krzyknął Placek.

— Chodźmy więc naprzód, ale ja nie biorę odpowiedzialności za ten pomysł. W drogę, panowie!

— W drogę! — zawołali chłopcy.

— Precz z pracą!

— Niech głupi pracują!

— Idziemy na zachód.

— Chodźmy na zachód!

Osiół chciał ruszyć z kopyta, ale chłopcy, spojrzawszy na siebie porozumiewawczo, skoczyli mu niespodziewanie na grzbiet.

Patałach przystanął zdumiony, na chwilę oniemiał, potem ryknął z przerażenia i gniewu.

— Łotry! Precz z mojego grzbietu!

— Jesteśmy zmęczeni — zawołał Jacek — i pojedziemy na tobie.

— Złaźcie natychmiast!

— Ani nam się śni. Od tego jesteś osioł, ażebyś nosił ludzi.

— Nie jestem osioł, jestem filozof!

— Pojedziemy na filozofie...

— Słuchajcie — ryczał Patałach — nie chcecie pracować?

— Nie mamy tego zamiaru.

— A dlaczego każecie pracować mnie?

— Bo jesteś osioł!

— To jest oszustwo! Jesteście wstrętni ludzie! Ja też nie chcę pracować. Złaźcie natychmiast!

— W drogę, Patałachu przez jedno „P”!

Na tak ciężką obrazę gniew porwał oślego filozofa. Wierzgnął tak potężnie, że Jacek zleciał w jedną stronę jak gruszka, a Placek w drugą jak dojrzałe jabłko. Patałach kopnął jednego w brzuch lewą nogą, a drugiego, dla sprawiedliwości, też w brzuch, ale na odmianną prawą nogą.

— Gwałtu!<sup>86</sup> — ryknęli chłopcy oślim rykiem.

Patałach wierzał przez dłuższy czas, aby okazać, że jest zwycięzcą, i pogał przed siebie jak obłąkany, rycząc przeraźliwie:

— Precz z pracą! Do widzenia, łobuzy!

— Żeby z ciebie zrobili kielbasy! — krzyknął za nim Jacek. Placek nie mógł nawet krzyknąć, bo trzymał się za brzuch i jęczał.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY, W KTÓRYM LUDZIE I ZWIERZĘTA STARAJĄ SIĘ NADAREMNIEM PUSTE GŁOWY JACKA I PŁĄC- KA NAPEŁNIĆ OLEJEM MĄDROŚCI

— Gdybym kiedykolwiek dopadł Patałacha — mówił Jacek, wędrując z Plackiem piątą dzień przez bezdroża — marny byłby jego los.

— Wyrwę mu ogon — groził Placek — aby go mógł wreszcie zobaczyć.

Tak narzekając na nieuczynność zwierzaka, co nie chciał dla nich pracować, wywołując w nich tym nierozumnym postępkim wielkie zdumienie, wędrowali wciąż na zachód; żywili się mizernie, czym się zdarzyło, w każdym razie nie lepiej od swojego wroga Patałacha. Zbliżali się coraz bardziej do okolic zaludnionych, bowiem widzieli czasem z oddali ludzkie siedziby albo sine dymy z kominów. Bali się jednakże zbliżyć do ludzkich osiedli, zewsząd bowiem dobiegały ich naszczekiwanie psów, które przejmowały ich przeraźliwym lękiem od czasu, kiedy na bagnach ujrzeli widmo straszliwego psa.

Zapomnieli zupełnie o rodzinnym miasteczku, zapomnieli o matce. Człowiek, który wychodzi z domu na obczyznę, ciągnie za sobą przez cały świat cieniutką, niewidzialną

Dom

<sup>86</sup> *gwałtu* — wyraz używany przez osobę przestraszoną bądź zaskoczoną. [przypis edytorski]



niteczkę. Jej początek przywiązany jest do drzwi rodzinnego domu, a nić odwija się z serca jak z czerwonego kłębka. Czasem tylko śmierć, bardzo smutna, przecina nożycami tę purpurową niteczkę. Jednakże ci chłopcy zerwali ją tuż za progiem swojego domu. Włókła się za nimi niejaki czas, jak niteczka krwi, lecz już jej nie widać. Już by nie znaleźli powrotnej drogi, idąc jej śladem. Zdawało im się, po kilku zaledwie dniach, że całe lata minęły od chwili, kiedy uciekli z domu. Za nimi na przebytej drodze legła mgła zapomnienia, a w ziemi rozwarła się głęboka przepaść. Nie wiedzieli, jak bardzo nieszczęśliwy jest człowiek, który cisnął w odmet niepamięci wszystkie wspomnienia. Nie wiedzieli tego nieszczęśliwi chłopcy, że czasem dusza człowieka musi się napić ze świętego źródła wspomnień, aby się orzeźwić, kiedy jest zmęczona, aby ozdrowieć, jeśli jest chora. Nie wiedzieli o tym, że nawet kiedy trud życia okryje się siwizną, wtedy wśród samotnej nocy można znaleźć światełko w ciemności, wspomniawszy owe bezgrzeszne lata chłopięce, najcudowniejsze i najśodsze. Ten, co wydarł sobie z pamięci wszystkie święte wspomnienia, myśli, że jest wolny i że mu jest lekko na duszy, bo zbył ciężaru. O, nieszczęśliwy! Kiedyś poczuje, że jest sam, i poczuje, jak mu serce ziębnie, jakby znalazł się na lodowatej pustyni. Wtedy w wielkim smutku woła swojej matki, ale głos wyschłego serca niedaleko doleci.

Nie myśleli o tym wszystkim ci dwaj włóczędzy. Na razie było im dobrze, choć głodno, ale słońce świeciło bujnie, ziemia kwitła, szumiały wody. Nikt ich nie zmuszał do pracy, nikt od nich niczego nie żądał. Szli przez kraj piękny i bogaty. Pomyśleli, że tu się chyba zaczyna ta ziemia obiecana, w której nie potrzeba pracować. Z wielkim tedy zdumieniem przystanęli jednego razu z boku lasu, ujrawszy maleńką mrówkę, co z ogromnym trudem wlokła krętymi ścieżynkami wśród traw gałązeczkę dziesięć razy większą od niej. Ciężka to musiała być praca, ponad siły tego owada, mrówka bowiem często przystawała w drodze albo wywracała się pod brzemieniem<sup>87</sup>, jednak na chwilę nie przerywała swojego trudu, bardzo się śpiesząc i gramoląc się pod ciężarem, jeśli ją przygniótł.

Jacek rzekł:

— Widziałem obłąkanego barana, który oszalał ze strachu przed nami, widzieliśmy osła, który głupio oszalał od nadmiaru mądrości, ale nie widziałem jeszcze obłąkanej mrówki. Patrz, Placek, przecie ona dźwiga całe drzewo.

— Nerozumna istota! — zawołał Placek z pogardą.

— Ma na własność ogromny las, a dźwiga w upale gałązkę. Widać, że w tych okolicach panuje jeszcze szaleństwo pracy. Ach, cóż to za przebrzydły owad! — krzyknął Jacek.

Mówiąc to, nadeptał nogą biedne stworzenie.

— Teraz sobie odpoczniesz — zawołał, śmiejąc się.

Jeszcze nie skończył mówić, a już inna mrówka zjawiała się nie wiadomo skąd na drożynce<sup>88</sup> i poczęła wlec gałązkę z taką zapamiętałością, jakby jej życie zależało od tego, czy ją dowlecze tam, gdzie powinna. Chłopcy przypatrywali się ze wzgardą temu straszliwemu trudowi, po czym Placek przydeptał ją. Zabili tak trzecią, czwartą i dziesiątą. Mrówki, nie zważając na rzeź, przerażone, lecz bardziej pracowite, wyległy całym tłumem. Bose nogi Jacka i Placka wgniatały je w ziemię, bowiem chłopcy uczynili sobie straszliwą zabawę z mordowania niewinnych stworzeń. Śmiejąc się głośno, skakali jak opętani, szerząc zniszczenie. Jednakże w jednej chwili ogarnął ich niepokój i poczuli, że coś po nich łązi, po plecach, po nogach i po rękach. Krzyknął wreszcie przeraźliwie Jacek, krzyknął jeszcze przeraźliwiej Placek. Sto mrówek usiłowało wydrzeć sobie tragiczną gałązkę, a tymczasem tysiące uczyniły wyprawę na Jacka i Placka. Dotąd skakali wesoło, teraz jednak zaczęli skakać jeszcze wyżej, ale nieco smutniej. Zaczęli biegać, wyjąc jak opętanci<sup>89</sup>: kiedy Jacek drapał się po brzuchu, Placek począł tarzać się po ziemi, ległszy na plecach. Nic to jednak nie pomogło. Pracowite zwierzątka dopiero teraz pokazały swą sumienną pilność, jak gdyby postanowiły nie pominąć najmniejszej cząsteczki na ich skórkach. Gdyby w tej chwili odbywały się zawody sportowe, Jacek otrzymałby pierwszą nagrodę za skok wzwyż, a Placek za skok w dal. Jeleń nie czyni takich susów, jakie czynili oni; najdziwszy India-

Wspomnienia

Dusza

Starość, Wspomnienia,

Dzieciństwo

<sup>87</sup>brzemie — ciężar, ładunek dźwigany na plecach albo przed sobą. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>drożynka — wąska ścieżka. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>opętaniec — człowiek niespełna rozumu. [przypis edytorski]

nin tańcząc taniec wojenny, nie wydaje tak straszliwych okrzyków, jakie oni wydawali. Poczeli płakać, skomleć i wyć. Wreszcie Jacek wydobył z siebie jaki taki ludzki głos:

- Skaczymy w wodę! — krzyknął.
- Gdzie jest woda? — zawył Placek.
- Nie wiem... — płakał Jacek. — Nie widzę...
- Uciekajmy! — darł się Placek.

Zaczęli biec na złamanie karku, a mrówki jechały na nich, zupełnie nie przerywając swojej wesołej pracy i ciesząc się zapewne, że bez wielkiego trudu zwiedzą dalekie okolice. Wreszcie ukazała się rzeczulka, w którą Jacek i Placek skoczyli jak dwa szczupaki. Zanurzyli się kilka razy z głową i tkwili w wodzie, nie śmiejąc z niej wyjść. Nagle zadrżeli, bo coś obok nich strzeliło jakby z pistoletu. Rozległ się mocny głos podobny do kłaśnięcia. Obejrzeni się ze strachem i ujrzeli dziwne stworzenie, które z wielkim gniewem tukało płaskim ogonem o wodę, jak czasem kobiety bielące płótno biją w nią kijanką<sup>90</sup>. Wiele innych stworzeń siedziało na grobli, która przecinała rzeczulkę, tworząc sztuczną zatokę, i mądrymi oczyma przypatrywało im się z niesmakiem. Ten zaś zwierz, który zrobił sobie strzelbę z ogona, klasnął jeszcze kilka razy, wreszcie wrzasnął:

- Precz z wody, kocmołuchy<sup>91</sup>!
- Zaraz wyjdziemy — rzekł Jacek, szczękając zębami — ale pokasały nas mrówki i musimy uśmierzyć ból.
- Mało mnie to obchodzi! Wyłaście z wody natychmiast!
- Ale czemu tak zaraz?
- Bo potrujecie ryby, brudasy!
- A czy to wasze ryby?
- Nasze czy nie nasze, wam nic do tego! Zmyjcie z siebie brud i precz z wody! Chłopcy zanurzyli się kilkakrotnie w wodzie i wyleźli na brzeg, aby się osuszyć.
- Hej, wy tam! — krzyknął zwierzak. — Czemuście się nie obmyli?
- Owszem! — zawołał Jacek. — Jesteśmy już czyści.
- Zwierzak pacnął gniewnie ogonem o wodę.
- Wcale nie jesteście czyści, na gębach macie jeszcze ślady błota.
- To nie jest błoto, to się nie da zmyć!
- A cóż to takiego?
- Piegi!
- Co to znaczy „piegi”?
- To taka nasza uroda... Ale jakim prawem tak nas wypytujesz? Coś ty za jeden?
- Ja jestem król bobrów! — odkrzyknął z dumą zwierzak. — A to są moi bracia, bobry. Niecierpliwą się, bo przeszkodziliście im w pracy...
- W czym? — zapytali chłopcy ze zdumieniem.
- W pracy. Czy się wam woda wlała do uszu, że nie słyszycie? Pracujemy ciężko i nie mamy czasu na niemądre gadania.
- A nad czym wy pracujecie?
- Budujemy tamę i domy. Tniemy drzewo i spławiamy<sup>92</sup> je umiejętnie, bo chcemy umocować groble, bowiem woda w tym miejscu była zbyt bystra, a my lubimy wody spokojne i głębokie, aby nikt nie ujrzał drzwi wiodących do naszych domów.
- Ależ to straszliwa praca — zawołał Jacek. — Po co to robicie?
- Stary bóbr spojrział na niego z podziwem.
- Jak to: po co? Widzę, że woda nalała ci się nie tylko do uszów, ale do głowy, bo bredzisz. Pracujemy, bo musimy.
- A któż wam każe?
- Nikt nie ma nam nic do rozkazywania. Nasi ojcowie pracowali, pracujemy my i pracować będą nasze dzieci. Kochamy naszą pracę, gdyż chociaż jest ciężka, jest mądra i pożyteczna. Czy wy nie pracujecie?
- Gardzimy pracą!
- Uff! Uff! — stęknął bóbr w niewypowiedzianym zdumieniu.

Praca

<sup>90</sup>kijanka — drewniana łopatką do prania bielizny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>kocmołuch — człowiek brudny lub zaniedbany. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>spławić — przemieścić coś drogą wodną. [przypis edytorski]

— Właśnie wędrujemy do kraju, w którym nikt nie pracuje. Chodźcie z nami, bobry! Będzie wam rozkosznie i wesoło... Będziemy jeść i pić...

— A kto będzie dla nas budował domy? — zapytał bóbr.

— Dom jest to głupi wynalazek. Tam, dokąd idziemy, stoją same pałace, których nikt nie budował. Chodźcie z nami!

Stary bóbr spojrział na nich z gniewem i ze smutkiem równocześnie.

— Z wami? — rzekł, sapiąc. — Z wami? W najbliższym mieście zdarlibyście z nas skóry i sprzedali na futra. Hej, wy oberwańcy, zdechłe żaby, nakrapiane jaszczurki, glisty ziemne, czerwonoportkie basalyki<sup>93</sup>! Byłbym wam przebaczył, żeście nam zmacili wodę, choć widzę, że już kilka ryb, oczadziały<sup>94</sup> z powodu waszego zapachu, pływa po niej brzuchami do góry. Tego wam jednak nie przebaczę, że gadacie obmierzłe<sup>95</sup> głupstwa nam, zwierzętom mądrym i pracowitym. Jak śmiecie obrażać bobry? Dość tego! Bóbr umie przegryźć gruby konar drzewa, a wy się zaraz o tym przekonacie. Złapiemy was i obetniemy wam zębami chude patyki waszych nóg. Hej, bracia bobry! Złapać mi tych drapichrustów<sup>96</sup>!

Jeszcze nie skończył swojej głośnej przemowy, a Jacek i Placek już byli daleko: gnali tak, jakby im kto piętę przypiekał żelazem. Słyszeli poza sobą od strony wody wesoły śmiech i ucieszne klaskanie wody bitej ogonami.

— To są jakieś straszne figury<sup>97</sup> — mówił, odpoczywając, zadyszany Jacek.

— Budują domy — rzekł Placek z mimowolnym podziwem.

— I ciężko pracują — dodał Jacek. — Pomyśl, jak straszliwie zepsuty jest cały świat: czy wszystek świat pracuje? I jeszcze się taki zwierzak obraża, kiedy mu zaproponowałem życie bez pracy!

— Z tego widać, że musimy być jeszcze bardzo daleko od błogosławionego kraju.

— A Patałach może już tam dobiegł?

— Nie wspominaj mi tego bydlaka. Gdyby tam był, już byśmy o tym wiedzieli, bo ryczałby z nadmiernej uciechy na sto mil.

— Osły mają zwykle szczęście!

— Patałach istotnie ma szczęście, bo mu nie oberwałem na pożegnanie ucha. Oj, jak mnie swędzi skóra!

— Przekłete mrówki!

— Nie mów o nich, bo mi się znowu zaczyna zdawać, że łążą po mnie. Ale słuchaj no, Jacku, może by tak kogo zapytać o drogę? Nie może być, aby nikt nie słyszał o takim kraju, w którym nikt nie pracuje.

— Kogo zapytać? Każdy jest dla nas tak nieuprzejmy albo zajęty pracą...

— Spójrz, coś leci!... O, siada na kwiatach!... Co to takiego?

— Nie wiem, jakieś małe stworzenie i widać łagodne, bo lubi kwiaty.

— Czy ten, co lubi kwiaty, jest łagodny?

— Tego nie wiem, ale myślę, że tak jest, bo nasz nauczyciel lubił kwiaty. I nasza matka, pamiętasz...

— Daj mi pokój<sup>98</sup>, niczego nie pamiętam... Po co przypominasz matkę?

— Tak mi jakoś się przypomniało... Już tego nie uczynię... Ale zagadaj no do tego stworzenia!

Jacek nachylił się nad kwiatem, na którym usiadło złote stworzonko.

— Kto ty jesteś? — zapytał.

— Pszczoła — ozwał się brzękliwy głosik.

— Cieszymy się, że cię spotykamy — rzekł Jacek przymilnie. — Czy nie możesz nam powiedzieć, jak daleko jest do takiego kraju, w którym nie pracują?

Pszczola zerwała się z kwiatka i przeleciała na drugi.

— Czy nie słyszałaś, pszczoło, że cię grzecznie pytam?

— Słyszałam!

<sup>93</sup>basalyk (daw.) — nicpoń. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>oczadzić — zatruć się szkodliwą substancją. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>obmierzły — budzący wstręt. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>drapichrust — łobuz. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>figura — ktoś dziwny, podejrzany. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>pokój — tu: spokój. [przypis edytorski]

— Więc czemu nie odpowiadasz?  
— Daj mi pokój, nie mam czasu!  
— Musisz nam odpowiedzieć — krzyknął Placek — bo jeśli nie odpowiesz, to cię zabiję!

Pszczola, nie zwróciwszy nawet uwagi na jego słowa, przeleciała na inny kwiat.

— To jakieś głupie stworzenie — szepnął Jacek — wciąż tylko wacha kwiaty. Należy z nim rozmawiać spokojnie. Hej, pszczoło — krzyknął — dlaczego nam nie odpowiadasz?!

— Bo po co mam odpowiadać na niemądre pytania? — zabręczała pszczoła.

— Więc nigdy nie słyszałaś o takim kraju?

— Owszem, słyszałam. Niedawno przebiegał tędy straszliwy zwierz kłapouch i ryczał o tym na cały świat. Podobno był to osioł. Taki kraj nie istnieje...

— Ej! — rzekł Jacek. — A ja myślę, że ten kraj już chyba niedaleko. Przecie ty lataśz sobie, wesoło brzęcząc, i nic innego nie robisz, tylko wachasz kwiaty.

Pszczola musiała się bardzo zdumieć, tak że aż zachwiał się ten kwiat, na którym siedziała.

— Ja wacham kwiaty? Czy jesteście obrani z rozumu? Przecież ja jestem pszczoła!

— Cóż więc z tego, że ty jesteś pszczoła?

— To znaczy, że nie znam chwili wytchnienia i pracuję, pracuję bez końca. Odbywam dalekie podróże, aby znaleźć pracę. Przestaję pracować wtedy dopiero, kiedy umieram.

— A cóż ty takiego robisz?

— Robię wosk, z którego buduję spichrze, a w nich przechowuję miód, aby miało się czym żywić nowe pokolenie.

— Miód?! — szepnął Jacek. — Placku, słyszysz?

Placek nie mógł odpowiedzieć, bo na sam dźwięk tego słodkiego słowa wywalił język, jakby czekał, że mu nań spadnie kropla miodu.

Wtedy Jacek rzekł chytrze:

— Wiemy o tym wszystkim, pracowita pszczoło, i bardzo jesteśmy uradowani, że cię widzimy przy twojej ciężkiej pracy. Czy teraz masz w swoim domu miód?

— Mam, cudowny, świeży i pachnący.

— A gdzie jest twój dom?

— Tam, gdzie stoją te trzy drzewa; w dziupli tego, co rośnie w środku, jest mieszkanie moje i moich sióstr.

— A wiele ty masz sióstr?

— Tyle, ile jest na niebie gwiazd.

— A ile jest gwiazd?

— Tyle, ile pszczół. Gwiazdy to są pszczoły Pana Boga i zbierają miód na łące nieba. Ale żegnajcie mi! Nie mam czasu... Przed zachodem słońca muszę jeszcze sto dziewięć razy odbyć drogę do ula i z powrotem.

— Szczęśliwej drogi — zawołał Placek.

— Powinieneś wykrzyknąć to sto dziewięć razy — brzęknęła pszczoła i jak złota okruszyna zginęła w słonecznej mgle.

Jacek spojrział na Placka i mrugnął wesoło:

— Placku — rzekł — będziemy mieli miód!

— Placek powinien być z miodem, jeśli mam się ucziwie nazywać — rzekł Placek.

— Chodźmy czym prędzej do mieszkania pszczoły.

— Głupie to jest stworzenie — śmiał się Jacek. — Gdybym miał w domu miód, nie powiedziałbym tego nikomu, ale te wszystkie pracujące stworzenia są naiwne i łatwowierne.

Pobiegli wesoło do trzech drzew, obejrzeni je starannie i w jednym z nich ujrzeli w rozwidleniu konarów czarny otwór, przy którym odbywał się brzękliwy i nieustanny ruch. Setki pszczół miały się w locie; te, które wlatywały do ula, leciały lotem ciężkim, wylatujące zaś jak gdyby płynęły na lekkich skrzydłach.

— To jest bardzo zabawne — rzekł Jacek. — To są śmieszne stworzenia.

— Ale spośród pracujących jedyne roztropne, bo przygotowały dla nas miód. Nigdy nie jadłem miodu, słyszałem jednak o nim wiele dobrego. Właż, Placek! Jazda!

Placek tak drżał z radości, że wdrapał się na drzewo jak wiewiórka.

Praca

— Wsadź tam rękę i wyciągaj miód!  
— Zrobione! — wołał z góry Placek. — Ratunku!  
— Czego się drzesz?  
— Ratunku! — ryczał Placek, padając jak gruszka na ziemię.  
— Co ci się... — zaczął mówić Jacek niespokojnie, ale nie skończył, bo zawył, jak by sam Patallach nie potrafił.

Porwali się do ucieczki, ale nad nimi i dookoła nich brzęczał rój pszczół w wielkim, straszliwym i sprawiedliwym gniewie; zapamiętały się i cięły, gdzie się dało. Bzykały i szemrały, atakując ich głowy, te zaś, które z powodu zbyt dużego tłoku nie mogły się do nich dostać, uważały, że ręce i bosa noga nie są też najgorszym terenem do bitewnych operacji, a jeśli idzie o stopień wykształcenia, to i głowy, i nogi na tej samej stały wysokości. Jacek i Placek darli się wniebogłosy; napad mrówek był zaledwie zabawką wobec napadu tej rozgniewanej chmury fabrykantów<sup>99</sup> miodu. Był to potężny i zapamiętały w gniewie wróg, zajadły i bitny<sup>100</sup>. Widać, że praca dodaje takich sił do walki i do obrony tego, co się w trudzie wypracowało. Łatwo to było spostrzec każdemu, ale ani Jacek, ani Placek nie mieli czasu do rozważań, pragnęli tylko uciec z życiem. Żał było patrzeć na tę nierówną walkę, któż jednak miał się nad nimi użalić, choć ich płacz i jazgotliwe narzekanie słychać było na dziesięć mil dookoła.

— Ratunku! — krzyczał Jacek.

— O matko!... — płakał z wielkim szlochem Placek.

Zaledwie wezwał matki, zdawało im się, że słyszą głos.

— Do mnie! Do mnie! — wołał ktoś ku nim; ktoś, kogo nie widzieli, bo oczy mieli zapuchłe.

Biegli jednak ku temu głosowi, z trudem i ostatkiem sił, bo ciała mieli poranione i pokłute, i czuli, że brzękną i przedziwnie tyją. Potoczyli się jak bezwładne kule z jakiegoś wzgórze i poczuli, że ktoś ich chwycił w ramiona. Otwarli z wysiłkiem oczy i patrząc jak przez szparki, ujrzeli, że są w małym brzoźowym gaju i że jakiś staruszek, chroniąc ich od pszczół, przemawia do straszliwych owadów słodkim głosem. Pszczoły huczały, wciąż gniewnie i niespokojnie, lecz coraz ciszej, jakby je ukoili ten dobry głos.

Staruszek mówił śpiewnie:

— Odlećcie, odlećcie już, siostry moje. Kwiaty pachną i nie czas na wojnę... Ci chłopcy nie chcieli wam uczynić krzywdy, ale młode to i lekkomyślne... Uspokójcie się, siostrzyczki, i zgaście swój gniew... No, cicho już, cicho!... Wracajcie do domu, bo królowa się niepokoi... Patrzcie, jak strasznie pocięci są ci chłopcy. Już dość, już dość! Nigdy nie należy karać śmiercią... Cicho, cicho, cicho... Niech wam kwiaty pachną, niech się czerwienią i błękitnią... Ludu pracowity, odlatuj, odlatuj...

Kara

Kiedy tak mówił, jak gdyby śpiewał starodawną pieśń, coraz ciszej czyniło się dookoła, a po dłuższej chwili nie widać było ani jednej pszczoły.

Chłopcy siedzieli, wciąż jeszcze przerażeni, rękoma wodząc po swoich nabrzmiałych twarzach; chudzi dotąd, teraz wyglądali jak dwa księżycy w pełni albo jak owe kukły, które dzieci robią z okrągłych arbuźów. Całe ciało gorzało<sup>101</sup>, jakby przypiekane ogniem, tylko lzy strumieniem płynące przynosiły im niejaką ulgę, chłodząc rozpalone twarze.

Staruszek, szybko się uwijając, narwał wiele ziół i ich sokiem natarł im spuchnięte miejsca, co im bardzo pomogło. Nakarmił ich i napił, pocieszył dobrymi słowami, potem rzekł:

— Wielkie to szczęście, że was pszczoły na śmierć nie zagryzły. Wiedziałem, że są straszne w słusznym gniewie, nigdy jednak nie widziałem ich w takiej furii. Dziwna to jednak rzecz! Byłbym wam dawno przyszedł z pomocą, bo mam nad nimi władzę, niczego jednak nie widziałem ani nie słyszałem. Nagle ktoś krzyknął: „matko”, i to słowo zagrzmięło wielkim głosem, tak że się obudziłem z głębokiego zamyślenia i pobiegłem do was z ratunkiem. Który z was, chłopcy moi, wołał matki?

Żaden mu nie odpowiedział, a staruszek mówił w zamyśleniu:

<sup>99</sup>fabrykant — producent. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>bitny — waleczny. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>gorzeć — palić się. [przypis edytorski]

— Dobrze ten uczynił, gdyż jest to niezmierne zaklęcie. Wasza matka was ocaliła, dzieci moje. Ale ułóżcie się teraz w mojej chatce na spoczynek. Obok jest przeczyste źródółko i cieniste drzewa.

Wziął ich za ręce i zbiedzonych<sup>102</sup> zawiódł do szałasu, jaki sobie klecą<sup>103</sup> pasterze, ułożył ich do snu, sam zaś poszedł spędzić noc pod drzewami.

Chłopcy, od których odleciały pszczoły, ale od których strach dotąd nie chciał odlecieć, nie mogli zasnąć, rozmyślając nad swoją złą przygodą. Poprzysięgli pszczolom zemstę, nie wiedząc, jak jej dokonać. Ciągły ból i ustawiczne pieczenie przypominały im groźne owady. Skłęśły<sup>104</sup> im cokolwiek twarze, leczone sokiem ziół, ale jeden na drugiego nie mógł patrzeć bez zdumienia; Jacek nie poznawał pызatego na gębie Placka, nagle zgrubiały Placek dziwił się, że chudy Jacek stał się opasły i gruby. Wciąż mieli takie uczucie, jakby im ktoś nalał za skórę płynnego ognia. W ich sercach wciąż się burzył gniew i tak gotował jak woda w garnku, bulgocąc i szumiąc.

Leżeli długo w bolesnym i piekącym milczeniu; wreszcie Jacek szepnął:

— Słuchaj no, Placek, co ten stary bredził o tym, że nas ocaliła nasza matka?

— Gadał coś podobnego — odrzekł Placek — ale, widać, uszy mi spuchły, więc niedobrze słyszałem.

— On chyba sam nie wie, co mówi — szepnął powoli Jacek, jakby się namyślając — bo jakże nas mogła uratować matka, która jest o sto mil stąd.

— I ja tak myślę. Ten stary jest śmieszny!

— Śmieszny on nie jest, ja myślę, że jest to raczej zły i przewrotny człowiek.

— Przecież nas wyratował...

— Tak, ale dlaczego pszczoły, które chciały nas zamordować, jego natychmiast uszły? Może on jest z nimi w zмовie?

— Ciszej mów, żeby nas nie usłyszał. Poczekaaj, zobaczę, czy już usnął.

Rozchylił ostrożnie gałęzie tworzące ścianę szałasów i spojrzał na polanę. Księżyc świecił jasno i srebrzyście. Rozparł się szeroko wśród dwóch brzoź i tak wyglądał jak dziwny ptak, co przysiadł w podróży na gałęziach. Jasno było jak w dzień, tylko stokroć piękniej. Noc była jakby zaczarowana, mieniąca się i połyskująca srebrem i złotem; strumień był ze srebra, drzewa były srebrzyste, mchy błyszczwały, jakby były uczynione ze srebra, a w powietrzu jakby drżał złocisty pył. Tak bardzo było cicho, że słychać było drżenie brzożowych listków i ich cichuteńki szelest, choć nie było najłżejszego powiewu, ale brzoży, widać, kapały się w miesięcznej<sup>105</sup>, srebrnej wodzie z lubością<sup>106</sup> i drżeniem zachwyty.

Placek patrzył opuchniętymi oczyma i nic nie widział przez dłuższą chwilę, bo zaczęły mu się majaczyć srebrne cienie. Musiał jednak dojrzeć coś dziwnego, bo chwycił Jacka za rękaw i pociągnął silnie.

— Jacku! — szepnął z trwogą i zdumieniem.

— Co się stało? — zapytał cicho Jacek.

— Oczom własnym nie wierzę! — mówił Placek cicho. — Spójrz tylko!

Rozchylili szerzej gałęzie i patrzyli bez słowa.

Na polanie, pełnej blasków, na srebrnym pniu po umarłej brzozie siedział staruszek w srebrnym łachmanie i ze srebrną brodą. Księżyc tak wszystko wysrebrzył, że powietrze lśniło migotliwym, drżącym, ślicznym blaskiem. Przed starym człowiekiem przysiadł na zadzie ogromny wilk, łapy ku niemu wyciągnął i patrzył mu żebrzącym wzrokiem w oczy, a stary człowiek, cicho i łagodnie przemawiając, wyciskał na wilczą łapę, widać zranioną, sok z ziół. Poglądził potem wilka po kosmatym łbie, a wilk polizał go językiem po ręce, po czym jak duch cicho i bez szelestu zniknął wśród drzew.

— To czarownik! — szepnął Jacek.

— Boję się! — kłapnął zębami Placek.

— Nie bój się, przecie nas jest dwóch...

— Patrz, patrz, co to idzie?

<sup>102</sup>zbiedzony — wyglądający niezdrowo. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>klecić — budować coś pośpiesznie, niestarannie. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>skłęsnąć (daw.) — przestać być opuchniętym. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>miesięczny (przestarz.) — księżycowy. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>lubość (daw.) — przyjemność. [przypis edytorski]

Z drugiej strony wtoczyła się do brzozonego gaju ogromna bryła mięsa. Olbrzymi zwierz szedł na dwóch łapach ku staremu człowiekowi, kosmaty i kudłaty.

— To niedźwiedź! — szepnął Jacek.

— Coraz bardziej się boję! — kłapał Placek.

Potężny zwierz podszedł do siwego człowieka, przysiadł przed nim i coś mruczał. Człowiek patrzył na niego pilnie, potem rzekł:

— Ostatni raz cię poratuję, bo widzę, że znowu masz miód na pysku. Znowu narobiłeś szkody pracowitym pszczołom. Zapomniałeś, żeś mi przyrzekł nie kraść miodu. Och, niedźwiedziu, nic dobrego z ciebie nie wyrośnie!

Niedźwiedź mruczał bardzo pokornie i pochylił łeb, zapewne zawstydzony. Stary człowiek zaczął mu z kudłów wydierać osty i ciernie, narzekając dobrotliwym głosem:

— Włóczyz się nie wiadomo kędy<sup>107</sup>, nie pilnujesz skóry, a potem ja muszę ciężko pracować. Nie płacz teraz i nie przeprasza... No, no, dość tego: wiesz, że nie lubię, jak się tak mażesz<sup>108</sup>. Lepiej, abyś przedtem pomyślał, a potem nie płakał, niż odwrotnie. O, biedaku, jakże sobie wydarłeś skórę... Ale już dobrze, dobrze. Nie całuj mi ręki, bo mnie oblepisz miodem, śmieszny niedźwiedziu. Idź już, idź! Jeszcze muszę opatrzeć wiewiórkę, która sobie zwichnęła nogę, i pocieszyć sarnę, która od wczoraj płacze, bo jej orzeł porwał dziecko. Gdybyś go gdzie spotkał, powiedz mu, niech mi się nie pokazuje na oczy... Teraz idź! Ach, wyrócisz mnie, bo jesteś nieco za ciężki na pieszczoty!

Niedźwiedź pochylił wielki swój łeb i widać chciał polizać człowieka po nogach, bo się staruszek zaczął opędzać<sup>109</sup>, śmiejąc się głośno. W świetle miesiąca<sup>110</sup> nawet ten śmiech stał się srebrny. Zwierz potoczył się potem, wielki jak stóg siana, drogą, którą przedtem przebiegł wilk.

Chłopcy patrzyli z zastrachanym zdumieniem. Widzieli, jak przykucnęła z trudem wiewiórka, widzieli w świetle miesiąca wielkie i takie serdeczne, jakby ludzkie łyzy nieszczęśliwej sarny, słyszeli narzekania jakiegoś zabiedzonego psa, który ginął z głodu, i rzewne skargi innych rozmaitych zwierząt, które przybiegły tu, jak do dobrego lekarza, po radę i pociechę. Dopiero późno w nocy staruszeczek, ułożywszy się na srebrzystych mchach, słodko usnął.

Chłopcy nie spali, lecz zbliżywszy ku sobie nakrapiane z przyrodzenia, a przez pszczoły pocętkowane twarze, długo ze sobą szeptali.

Wreszcie Jacek rzekł, jak gdyby coś postanowił:

— Doskonale! Zamieszkamy w tej chałupince i przepędzimy<sup>111</sup> tu lato. Musimy odpocząć i nabrać sił po tych wszystkich nieszczęściach, które nas spotkały. Mamy mieszkanie, las i wodę.

— A co będzie z pożywieniem? — zapytał Placek.

— Pożywienie łatwo dostaniemy, bo przede wszystkim każemy pracować temu staremu człowiekowi: będzie dla nas szukał jagód i owoców.

— A jeżeli nie zechce?

— Niechby spróbował nie chcieć. On jest jeden, a nas jest dwóch, on ledwie włóczy ze starości nogami, a my jesteśmy silni. Musi pracować!

— Tak, ale niewielka to zabawa jeść tylko jagody i owoce!

— Nie bój się, Placek, będzie i mięso!

— Skąd tu można wydostać mięso?

— Już o tym pomyślałem. Na pierwsze danie pójdzie kulawa wiewiórka, a potem zabijemy tę rozplakaną sarnę. Najłatwiej ją będzie uderzyć kamieniem w głowę, kiedy położy łeb na kolanach starego człowieka.

— A kiedyż to się wszystko stanie?

— Zaraz jutro! Zrobimy tak...

Zaczął znowu szeptać, pochyliwszy się nad uchem Placka, który uśmiechał się z zadowoleniem.

<sup>107</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie, dokąd. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>mażać się — płakać. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>opędzać — odganiać, przepędzać. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>miesiąc (przestarz.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>przepędzić — spędzić czas. [przypis edytorski]

Zasnęli potem i długo spali. Słońce już przewędrowało kawał nieba, kiedy się obudzili, cokolwiek już chudsi i mniej obrzękli. W tejże chwili, jak gdyby usłyszawszy szelest w chatce, zjawił się staruszek, przywitał ich wesoło, zapytał o zdrowie i rzekł:

— Chodźcie ze mną, chłopcy mili, napijcie się wody ze źródła, a potem pójdziemy zbierać poziomki. Pan Bóg, który mnie samego dotąd karmił, nakarmi nas trzech.

Chłopcy spojrzeli na niego ponuro, a Placek rzekł:

— Chętnie napijemy się wody i zjemy poziomki, ale nie chce się nam chodzić. Ty pójdziesz sam i przyniesiesz nam, co trzeba.

— Uczynię to — rzekł łagodnie staruszek — jeżeli jesteście zmęczeni.

— Nie jesteśmy zmęczeni, a ty będziesz to czynił codziennie, jak długo nam się będzie podobało. Odtąd nie będziesz mieszkał w tej dziurawej chatce, bo my ją zajmiemy dla siebie, a ty za to naprawisz jej dach!

— A gdzie ja będę spał? Chętnie się z wami podzielę wszystkim, mogę nawet spać w lesie w pogodne noce, cóż jednak uczynię w noce burzliwe i niepogodne?

— Czyń, co ci się podoba! My postanowiliśmy nie pracować i nic nas nie obchodzi. Idź natychmiast po jedzenie, a potem znajdź sobie legowisko...

— Dzieci moje... — zaczął mówić staruszek.

— Nie mów tyle — krzyknął Jacek — nudzisz nas i niecierpliwisz!

— Na Boga! — rzekł staruszek zdumiony. — Czy jest to możliwe, abyście mieli takie niewdzięczne serca? Gdyby się matka wasza dowiedziała o tym...

— Zamilknij! — krzyknęli oni dzikimi głosami.

— Ach, boli was wspomnienie matki? Jeszcze jest w was iskierka...

Chłopcy porwali się, czerwoni z gniewu, a Jacek chwycił kamień i krzyknął:

— Rzucę w ciebie tym kamieniem, jeśli natychmiast nie odejdziesz i nie spełnisz tego, cośmy ci rozkazali! Precz z moich oczu!

Stary człowiek spojrział na niego spojrzeniem długim i smutnym. Westchnął potem ciężko, a w jego oczach ukazały się wielkie łzy.

— Odchodzę — rzekł słodko. — Niech wam Bóg przebaczy.

Powłókł się ciężkim krokiem i usiadł nieopodal na kłodzie. Wtedy Placek zawołał:

— Ten las od dzisiaj do nas należy! Nie masz prawa siadać w jego cieniu, wynoś się stąd i pamiętaj, abys przyniósł jedzenie!

Stary człowiek powstał i odszedł powoli. Wyszedł z lasu i bardzo znekany usiadł na kamieniu w szczerym polu, gdzie słońce piekło i gdzie nie było przed nim żadnej ochrony.

— Cha! Cha! — śmiał się Jacek. — Mamy własny dom i własny las, a ten stary uwędzi się na słońcu!

Legli w szalasię i cieszyli się hałaśliwie.

Nagle oczy rozszerzyły się im z wielkiego przerażenia, stało się bowiem coś takiego, co się nie zdarzyło od początku świata. Dzień był ciepły, pogodny i bezwietrzny. Wtem zawiął potężny wiatr, drzewa boleśnie zaszumiały, a potem poruszyła się ziemia i drzewa zaczęły poruszać się, i cały las zaczął iść przed siebie; brzozy szły, jak ubrane dziewczęta idą w procesji, dąb szedł posuwicie, a krzaki biegły szybko jak dzieci. Chłopcy patrzyli w obłąkanym strachu, jak drzewa ich mijają i idą, idą, idą... aż doszły tam, gdzie na kamieniu siedział uśmiechnięty i jakby wcale niezdziwiony stary człowiek. Wtedy otoczyły go leśnym kręgiem, białą brzozową gromadą i przystały, zwieszając ponad nim gałęzie, aby go nakryć chłodnym cieniem, a krzaki lasyły się u jego stóp. Chwilę potem źródło, z którego wypływał wesoły strumień, znikło, tak jakby się zapadło w ziemię, a strumień zaczął się wic zygzakiem, jak srebrny wąż, i począł wędrować za lasem. Po niedługim czasie źródółko wychyńło spod ziemi tuż przed siwym człowiekiem, strumyk się z nim połączył i wszystko było jak dawniej. Tam zaś, gdzie przed godziną jeszcze był las, na gołym łysym polu stała chatka, a przed nią Jacek i Placek patrzyli rozszerzonymi oczyma na zdarzone cuda.

Skamienieli, stali bez ruchu i nie widzieli, że gdzieś z oddali wielkimi krokami zdąża niedźwiedź. Ujrzeni go dopiero wtedy, kiedy ich owionął jego gorący oddech, jak żar z piekarskiego pieca. Nie mogli nawet krzyknąć, bo brakło im oddechu. Ujrzeni własną śmierć. Niedźwiedź, ryknawszy z gniewu, porwał ich w objęcia i już miał ich zdusić śmiertelnym uściskiem, kiedy nagle rozległ się nadspodziewanie donośny głos:

— Nie zabijaj!

Las, Czary



To staruszek, dojrawszy z lasu, co się dzieje, prosił wielkim głosem o litość dla tych, co nie znali litości.

Niedźwiedź mruknął niechętnie, wahał się przez chwilę, a potem odrzucił ich od siebie jak ulegalki<sup>112</sup>, ze wstrętem i obrzydzeniem. Chłopcy potoczyli się daleko, ledwie żywi. Błdzi jak płótno patrzyli, jak niedźwiedź, mocno wparłszy się w ziemię tylnymi łapami, objął przednimi szalasa, podniósł go z ziemi i niósł lekko, aż go przyniósł do lasu i postawił przed starym człowiekiem.

Potem przypadł do jego nóg i zaczął je lizać pokornie.

A staruszek położył drżącą rękę na jego straszliwym łbie i gładził go, cudownie uśmiechnięty.

## ROZDZIAŁ ÓSMY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK NIE MOGĄ WYJŚĆ ZE ZDUMIENIA, ALE WCHODZĄ DO NIEZNANEGO MIASTA

— Wszyscy się na nas zawzięli! — mówił Jacek. — Chcą nas zgubić i zamordować!

— To chyba dlatego, że nikomu nie uczyniliśmy nic złego — odrzekł Placek. — Może gdybyśmy byli źli i złośliwi, wszyscy by się nas bali.

— Jesteśmy biedne i opuszczone sieroty — żalił się Jacek.

— I znowu musimy wędrować na głodno. Bodaj pchły zjadły tego niedźwiedzia: omal mi kości nie pogruchotał, tak że iść nie mogę. Wstyd i hańba, żeby taki ogromny bęcwał rzucał się na dwoje niewinnych dzieci.

— A to wszystko przez starego człowieka, bo nikt inny, tylko on namówił tego głupiego niedźwiedzia, aby nas pobił. Cóż mu to szkodziło nocować na polu, a nam pozwolić mieszkać w szałasie? Zły to musi być człowiek i bez serca. Ale dokąd my idziemy, Placku?

— Czy ja wiem? Nigdzie ani drogi, ani ścieżki.

Bardzo zgłodniali, pożywili się opadłą z dębów żołądzą i garścią jagód, kwaskowatych i niesmacznych.

Tymczasem zaczęło szarzyć.

— Nie podoba mi się ta okolica — rzekł Jacek — pusto tu i niemiło. Wolałbym zresztą pójść dalej, bo jesteśmy jeszcze zbyt blisko tego niedźwiedzia, a nie wiadomo, czy nie zechce nas ścigać. Widzę daleko stąd jakieś lasy i wody, trzeba będzie tam dojść i znaleźć na noc poślanie.

— Nie wiem, czy dojdę — biał Placek. — To coś bardzo daleko.

— I ja też ledwie poruszam nogami, ale nie ma rady, w lesie zawsze lepiej.

— Chodźmy! — stęknął Placek.

— Chodźmy! — westchnął Jacek.

Szli w milczeniu, niespokojnie spozierając<sup>113</sup> na boki, bo zapadała coraz gęstsza i coraz bardziej wilgotna ciemność: zdawało się, jakby ktoś wywrócił ponad nimi olbrzymią kadź<sup>114</sup> czarnego atramentu. Nie było widać żadnej gwiazdy ani nie było księżyc, choć jeszcze wczoraj pysznił się swoim srebrnym kręgiem. Niebo musiało być zawalone chmurami.

— Daleko jeszcze do tego lasu? — pytał Placek.

— Już nic nie widać — odrzekł Jacek — ale zdaje mi się, że las jeszcze daleko.

— W takim razie jest to głupi las!

— Czemu głupi? Czy widziałeś kiedy mądry las?

— Mądry, niemądry, ale widziałem taki, co sam chodzi. Mógłby ten las, do którego idziemy, podejść ku nam.

— Z takim lasem to była jakaś nieczysta sprawa i czarodziejska sztuka. Czego wyjesz?

— To nie ja zawyłem — odrzekł niespokojnym głosem Placek. — Myślałem, że to ty...

— Ja też nie. Słuchaj!

Daleko, z lewej strony, coś zawyło głucho i przeciągle.

<sup>112</sup>ulegalka — owoc dzikiej gruszy nadający się do spożycia po ułożeniu się. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>spozierać (daw.) — spoglądać. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>kadź — kocioł. [przypis edytorski]

— Co to może być?

— Nie wiem! To są jakieś diabelskie wycia. Uciekajmy na prawo!

Zmienili kierunek i pobiegli na prawo. Stamtąd jednak dobiegł ich po chwili straszny, głęboki bek.

— Ktoś nas ściga! — mówił gorączkowym szeptem Jacek. — Nie widzę cię, gdzie jesteś?

— Ani ja nie widzę ciebie — odpowiedział strwożonym głosem Placek. — Podaj mi rękę. Boję się!

— I ja się boję! Tak, dobrze, trzymajmy się za ręce...

— Chodźmy! Coś wyje z lewej strony i coś beczy z prawej, ale przed nami wolna droga.

— A za nami?

— Za nami? Przystańmy, trzeba zobaczyć.

Obejrzeni się i zdrętwieli: poza nimi patrzyły z ciemności ogromne, zielone ślepie.

— Uciekajmy! — krzyknął Jacek.

Zaczęli gonić po bezdrożach, przez jakieś puste pola. Wciąż słychać było wycia i beki, a ile razy obejrzeni się poza siebie, widzieli te tajemnicze ślepie. Duch już w nich zamierał, kiedy nagle ujrzeli przed sobą na jakiejś wyniosłości lunę ogniska.

Odetchnęli na widok żywego ognia; sił im przybyło, więc jak pływak, co pruje zawzięcie czarne wody, tak oni płynęli przez tę czarną i ciemną noc, pełną złych głosów, szumów, dzwoniń, westchnień i beków. Ogień płonął coraz jaskrawiej jak purpurowy kwiat, co coraz pełniej rozkwita. Wiatr chwiał nim na wszystkie strony, jakby chciał z korzeniem wyrwać ten krzew ognisty. Blask ognia był silny i barwił szeroką przestrzeń.

W pewnej chwili zdawało się chłopcom, że biegną wąską ścieżyną, a po jej stronach płami się jakieś czarne bagno i jakaś topiel połyskująca wodą. Gdyby nie ten blask, co naprzeciw nich wybiegł, i gdyby nie ta krwawa latarnia ognia, byłiby weszli na zdradzieckie trzęsawiska. W jej zbawczym rozbłysku widzieli jednak coraz wyraźniej jak gdyby groble, lekko wznoszącą się ku górze, ku ogniowi. Kiedy już byli blisko niego, ujrzeli zarys jakiejś niewielkiej postaci, co jedną rękę podniósłszy ku twarzy, jakby chcąc przytłumić jaskrawy blask ogniska, patrzyła nieruchomo w tę stronę, z której przychodzili.

Chłopcy przystanęli zadyszani, jakby chcąc wyrozumieć<sup>115</sup> wzrokiem, kogo mają przed sobą.

— Widzę człowieka — szepnął Jacek. — Kto to może być?

— Może to ktoś, co zastawia na nas pułapkę — rzekł cicho Placek. — Bądźmy ostrożni...

Wtem od ognia przypłynął do nich głos. Brzmiał tak ciepło, jakby się nagrzał w gorącej czerwieni ogniska. Głos zapytał:

— Czy to ty nadchodzisz, mój synu?

— To jakaś kobieta! — rzekł pewnym głosem Jacek. — Chodźmy ku niej.

Placek jednakże, usłyszawszy ten głos, zmartwiał i nie ruszał się z miejsca, wlepiwszy oczy w mówiącą kobietę.

— Czemu stoisz jak słup? — zapytał Jacek.

— Jacku — mówił cicho Placek — to dziwne...

— Co dziwnego?

— Przypatrz się dobrze, bo mnie się zdawało, kiedy usłyszałem ten głos...

— Co ci się zdawało?

— Że to przemówiła... że to przemówiła... nasza matka...

— To nie może być!

— Nie wiem, ale ten głos... kiedy powiedziała: „czy to ty nadchodzisz, mój synu?”...

Jacek spojrział pilnie ostrym wzrokiem i niedowierzająco pokręcił głową.

— To nie może być nasza matka, bo i skąd by się tu wzięła?

— Ale ten głos!...

— Łudzi cię tylko głos. To jednak z pewnością nie jest nasza matka.

— Skąd masz tę pewność?

<sup>115</sup>wyrozumieć (daw.) — zrozumieć. [przypis edytorski]

— A stąd, że nasza matka zapytałaby: „czy to wy nadchodzicie, synowie moi?”, a ta czeka na jednego tylko.

— Tak, tak, to prawda. Nas jest dwóch... Ale zbliżajmy się ostrożnie.

— Kogóż się boisz, kobiety?

— Nie boję się, ale jest mi jakoś dziwnie...

Kobieta u ogniska powtórzyła tęsknym, pełnym drżenia głosem:

— Czy to ty nadchodzisz, mój synu?

Oni zbliżyli się ku niej niepewnie, baczni na wszystko, bowiem widzieli już takie dziwne i czarodziejskie rzeczy, że nie dowierzali nikomu.

— Ach, to nie jest mój syn! — westchnęła kobieta.

Była stara, zwiędła, siwa i biedna. Nie wiadomo, jaki kolor miała jej twarz, bardzo pomarszczona, gdyż ogień malował ją mocnym rumieńcem, który dziwnie wyglądał wobec siwych włosów. W tej zgrzybiałej postaci jedno było młode i żywe: jej oczy. Spojrzenie miała jastrzębie, mocne i przenikliwe, jakby w oczach mieszkała jej dusza i jakby w nich skupiło się całe życie; zdawać się mogło, że nic innego ta kobieta nie czyni, tylko wciąż patrzy i wciąż czegoś wygląda, tak że oczy jej zaprawiły się w patrzeniu przenikliwym i dotkliwym. Przygasły one, kiedy ujrzały, że to nie ten oczekiwany się zjawił, lecz jacyś nieznajomi, dziwnie wyglądający chłopcy: oberwani, umazani błotem, zastrachani i zmęczeni.

Kobieta zapytała łagodnym głosem:

— Kto wy jesteście, moje dzieci?

Jacek trącił nieznacznie Placka łokciem, a ten, przybrawszy żałośliwą<sup>116</sup> minę, rzekł:

— Jesteśmy biedne sieroty, co nie mają ani ojca, ani matki.

— A dokąd dążycie przez ten straszny kraj?

— Sami nie wiemy, w świat...

— O, biedne sierotki! A cóż wy myślicie znaleźć na dalekim świecie?

— Pragniemy znaleźć jakąś pracę! — zęgał Jacek.

— Ale nigdzie nie możemy jej znaleźć — dodał Placek.

Kobieta zamyśliła się, potem rzekła:

— Po co macie szukać tak daleko, znajdziecie pracę u mnie. Sama jestem bardzo biedna, ale jakoś wyżyjemy.

— A cóż my tu będziemy robić?

— To co ja, dzieci drogie. Będziemy palić ogień.

— Palić ogień? Po co się on pali?

— O, dzieci! Ten ogień was zbawił! Dookoła są bagna i straszliwe trzęsawiska, a na to suche wzgórze prowadzi jedna jedyna ścieżka, na którą trafiliście szczęśliwie, bo mój ogień pokazał wam drogę. Jest to święty i dobroczynny ogień, który palę dla mojego syna.

— A kiedy on wróci?

— Nie wiem. Odszedł szukać dla mnie pożywienia przed dziesięciu laty, kiedy był wielki głód i niczym nie mogliśmy się pożywić. Biedactwo: małe było i słabe. Poszedł i od dziesięciu lat wyglądam go we dnie, a w nocy rozpalam ogień i podtrzymuję go aż do świtu, aby mój synaczek nie zbłądził.

— I długo zamierzasz to czynić?

— Aż do dnia mojej śmierci. Kiedy zaś nie będę mogła nakarmić ognia drzewem, kiedy nie będę mogła przywlec i rzucić go w ognisko, wtedy sama rzucę się w ogień, aby go podtrzymać jeszcze przez chwilę, bo może właśnie wtedy syn mój będzie wracał do mnie przez trzęsawiska.

— A jeśli on już nie wróci?

Kobieta spojrzała z rozpaczą.

— Jak to być może, aby dziecko nie wróciło do swojej matki?

Chłopcy odwrócili oczy.

— Wróci — mówiła kobieta — choćby był na końcu świata.

— A czemuż nie powraca tak długo?

— Nie wiem. Może go król wziął na żołnierza albo może jęczy w niewoli u zbójców?

<sup>116</sup>żałośliwy (daw.) — żalony. [przypis edytorski]

— A jeśli zginął?  
— O, nie! — zawołała kobieta. — Moje dziecko żyje!  
— Skąd wiesz o tym?  
— Bo gdyby umarł, to moje serce dałoby mi o tym znać, a zaraz potem by pękło. Mój syn żyje! Dlatego nie przestanę rozpalać ognia aż do ostatniego tchnienia.

— Straszna to jest praca!

— Nie ma takiej pracy, której by matka nie dokonała dla swojego dziecka.

Chłopcy po raz drugi nakryli powiekami oczy, aby przy blasku ognia nie dojrzała w nich fałszu.

— Palę ten ogień — mówiła kobieta — dla niego, palę i dla innych. Wielu zabląkanych ten ogień uratował, wielu tonących i grzęznących w bagnie wyprowadził na to bezpieczne wzgórze. Myślę, że za to Pan Bóg pomoże powrócić mojemu synowi i wskaże mu drogę. Strasznie, strasznie już jestem zmęczona. Od dziesięciu lat nie zaznałam snu w nocy, a we dnie wciąż się budzę, bo mi się zdaje, że słyszę wołanie. A to tylko na tych trzęsawiskach coś woła.

— I my słyszeliśmy dziwne głosy. Co to tak woła?

— Nie wiem. Może to woła zły duch, aby zabląkanych sprowadzić ze ścieżki, albo może to płaczą ci, co się tu potopili.

— A czy jest stąd inna droga?

— We dnie można przejść na zachód.

— A co jest na zachodzie?

— Powiadali kiedyś ludzie, że jest tam wielkie miasto. To bardzo daleko stąd i długo by trzeba wędrować, dlatego zostańcie u mnie. Drzewa tu jest dość, więc będziemy palić wieczysty ogień i będziemy czekać na mojego syna. Pomóżcie mi, dzieci ukochane, och, pomóżcie! Lękam się wciąż, czy ogień nie jest zbyt słaby, lecz już więcej gałęzi nie mogę przywlec, własne serce cisnęłabym do ogniska, aby zajaśniało większym blaskiem, lecz mam tylko jedno serce, które musi żyć i być gotowe na przyjęcie mego dziecka. Czy mi pomożecie?

— Oczywiście! — rzekł niepewnie Jacek.

— Niech wam Bóg zapłaci! Szkoda, że nie macie już matki, boby się uradowała swoimi dziećmi. Pozwólcie, że was ucałuję!

Wzięła w swoje spracowane ręce głowę Jacka i ucałowała ją serdecznie, po czym to samo uczyniła z Plackiem, który poczuł na swojej twarzy coś ciepłego. Była to gorąca lza tej kobiety. Placek zadrżał i poczuł w sercu jakąś nieznaną rzewność. Ocknął się jednak szybko i spojrział pilnie na Jacka, badając, czy on tego nie dojrzał. Jacek jednak nie mógł tego widzieć, gdyż odwrócił głowę i patrzył gdzieś w ciemność. Coś się i z nim jednak musiało dziać, gdyż głowę wtulił w barki i czasem drżał całym ciałem.

A kobieta mówiła:

— Idźcie odpocząć, moje drogie dzieci, a ja będę czuwała. Jutro zaś uradzimy, co mamy począć, i na noc jutrzejszą taki we troje rozpalimy ogień, aby go było widać na sto mil.

— Gdzie mamy spocząć?

— W tej chacie pod drzewem: znajdziecie tam chleb, wodę i posłanie. O brzasku ja powrócę, aby odpocząć, a wy stańcie na szczycie i patrzcie daleko, dookoła, a gdybyście ujrzeli gdziekolwiek człowieka, wołajcie i zbudźcie mnie. Usłyszę was nawet wtedy, gdybym umarła.

Chłopcy odeszli, powoli stąpając przez czerwony krąg. Nie rzekli do siebie ani słowa, nawet wtedy, kiedy znaleźli się w biedniutkiej chacie. Coś się w nich działo, ale nie wiedzieli co; coś im ciągle szemrało w sercach, ale nie rozumieli tych głosów.

Widzieli przez małe szybkie okna, jak stara kobieta wlecze z wysiłkiem wielkie gałęzie i karmi nimi ognisko, buzujące i krwawe, potem znowu oczy w dal wytyża, przesyłania je ręką i patrzy, patrzy, patrzy...

Rumiany brzask spływał ze wzgórza i jak zaróżowiona woda lał się po jego stokach, aż ku granicy bagnisk, na których buczały dziwaczne głosy i słychać było wciąż postękiwania i zawodzenia. Czasem ozwało się dalekie wołanie; może to wołał wodny ptak, może zwierz jaki, zapadający się w bagno, prawie ludzkim głosem wołał pomocy. Wtedy kobieta, drżąc, wołała:

— Czy to ty nadchodzisz, mój synu?

Nikt jednak nie nadchodził. Wtedy mdlało w niej serce i ogień, jakby zawiedziony, przygasał i chwał się żałością, jakby czując, że tej nocy trawił się na próżno, sercem na próżno gorzał i na próżno krwawym rozbłyskiem czerwonego oka patrzył w noc i mrok. Po chwili jednak chwycił nowe drzewo przyniesione przez staruszkę, żywił nim przygasłą moc i znowu gorzał, jak człowiek, w którym duch zamarł na chwilę, żywi się nadzieją i blaskiem rozbłyśniętych na nowo oczu wygląda cudu. Kiedy zaś począł szarzyć świt, ogień zaczął umierać powoli i układać się na szarym i beznadziejnym popielisku; serce tej kobiety gasło też jak jej nieumęczony ogień, oczy, śmiertelnie znużone, zaledwie tliły się spojrzeniem, a na jej twarzy, też szarej i nagle spopielalej, zjawiała się bolesć zawodu. Wtedy pocieszała się cichym szeptem nadziei:

— Słońce jest jaśniejsze niż moje ognisko.

Patrzyła potem, czy na wysokiej żerdzi<sup>117</sup> widnieje czerwona chusta, z daleka widna, we dnie wskazująca drogę, i szła ciężkim krokiem do chaty na sen pełen przywidzeń.

Kiedy chłopcy się obudzili, ujrzeli ją śpiącą. Na białych ustach miała lekki uśmiech. Pewnie się jej śniło, że syn powraca ścieżką wśród bagnistej topieli, wpatrzony w matczyną czerwoną chustę, którą wiatr radośnie łopecie.

Oni wyszli z chaty i przez chwilę patrzyli ciekawie dookoła. Było tu smutno i pusto. Ogień przygasał, mizerny wobec słońca, nad bagniskami wałęsała się mgła; było cicho i spokojnie.

— Strasznie tu jest — szepnął Jacek.

— Smutno bardzo — rzekł Placek.

— Czy zostaniemy tu?

— O, nie! Pójdziemy na zachód... Tam jest miasto...

— Żal mi tej kobiety... — rzekł nieśmiało Jacek.

Placek spojrział na niego z podziwem i szepnął z trudem:

— Dziwna rzecz: i mnie jej żal... Ale co my tu będziemy robili?

— Czy myślisz, że jej syn powróci?

— Chciałbym, żeby powrócił... Ale śpieszmy się, idziemy na zachód. Patrz, tam biegnie ścieżka!

— Dobrze, ale chciałbym ci coś powiedzieć... Nie będziesz się śmiał?

— Tu jest tak smutno, że nie można się śmiać.

— Tym lepiej... Oto wiesz co, zanim odejdziemy...

— Mów śmiało!

— Zanim odejdziemy, chciałbym tej kobiecie pomóc.

Placek spojrział na niego z nagłym zdumieniem.

— I ja — rzekł nieśmiało — miałem tę samą myśl. Ale jak jej pomóc?

— Myślałem o tym... Przygotujemy jej drewno na ognisko.

Placek skinął głową z uznaniem.

— Śpieszmy się! — rzekł.

Nie wiedzieli sami, dlaczego zbieranie gałęzi i wleczenie wielkich konarów szło im łatwo i szybko. Uśmiechali się, jakby czynili jakąś psotę, i radowali na myśl, jak się kobiecina zdziwi, ujrawszy stos drewna, nie minęła bowiem godzina, a oni zwlekli chyba pół lasu; ułożyli drwa porządnie, ciężkie najbliżej ogniska, opodal lekkie gałęzie. Obejrżeli swoje dzieło z zadowoleniem, po czym uśmiechnięci spojrzeli na chatę, w której spała staruszka.

Zaczęli schodzić wąską ścieżką, wijącą się wśród bagien, bardzo zadowoleni. Kiedy już uszli kawał drogi, Jacek rzekł nagle:

— Słuchaj no, Placek, ale to, cośmy zrobili, to nie była praca?

— Oczywiście — zaśmiał się Placek — to był figiel. Pomyśl sobie, jak się kobiecina zdumieje!

— Tak, chciałbym to zobaczyć... Śmieszna to była kobieta! Ale dlaczego ona nas pocałowała?

— Nie wiem — odrzekł Placek zamyślony.

— I ja tego nie mogę zrozumieć...

<sup>117</sup>żerdź — cienki pień drzewa lub prosta gałąź. [przypis edytorski]

— Ja myślę, że kobiety czynią to dla swojej przyjemności. Ta kobieta jednak bardzo mi się podobała, bo nie zrobiła nam najmniejszej krzywdy.

— Ale chciała nas zatrzymać, abyśmy pracowali!

— Dlategośmy odeszli. A za to, że nas nakarmiła, nazbieraliśmy jej drzewa.

— O, nie! — zawołał Jacek. — Ja nie dlatego to uczyniłem.

— A ja myślałem...

— W takim razie myślałeś jak Patałlach. Ja to zrobiłem dla nas.

— Dla nas? A cóż nam z tego drzewa?

— Bardzo wiele! Pomyśl, że idziemy przez bagna, a nie wiemy, jak długo trzeba będzie przez nie wędrować, więc jeśli nas noc zaskoczy, będzie nam jasno, bo ognisko dzisiaj będzie tak wspaniałe jak nigdy.

— Nie pomyślałem o tym...

— Tak, a myślałeś, że uczyniłem to z wielkiej miłości do tej kobiety. Cha! Cha!

Nie doczekali tej nocy na bagnach, gdyż około południa weszli już na suchą ziemię. Przeszli las, który tak obrzeżał<sup>118</sup> trzęsawiska jak rzęsy oko, i zaczęli wędrować wesołym krajem, pełnym zieleni i przyjaznych głosów. Spotykali coraz częściej ludzi, których chcieli rozpytać o drogę do wielkiego miasta, jednak nic o nim nie słyszeli, inni byli tak zajęci ciężką pracą, sącząc z siebie wielkie krople potu, że nie chcieli rozmawiać z dwoma obdartusami. Byli i tacy, co ujrawszy dwóch dziwnych chłopaków, tak nakrapianych na głębie, jakby im kto tuż przy twarzach wystrzelił z pistoletu, tak że niespalone ziarnka prochu upstrzyły<sup>119</sup> im skórę, uciekali ze strachem, nie mogąc sobie wyobrazić, aby bez czarów ludzkie istoty mogły być tak bardzo do siebie podobne.

— Co to jest — mówił do Placka strapiony Jacek — czy wszędzie na całym świecie ludzie tylko pracują?

— Tak jakoś wygląda — mówił Placek. — Są to, widać, sami obłąkańcy. I ludzie, i zwierzęta... A cóż to czyni ten człowiek?

Patrzyli z podziwem, jak ogromny, ciężki chłop z sękatymi ramionami odbywał dziwną wędrowną z dolinki na wzgórze; stali długo, ukryci w krzakach, on zaś niezmiernie odbywał długą drogę, niosąc zawsze coś w rękach.

Kiedy się zbliżyli zaciekawieni, chłop przystanął, otarł pot z czoła i patrzył na nich z uśmiechem jasnymi, niebieskimi oczyma.

— Witajcie — rzekł wesoło — czy jesteście zdrowi?

— Owszem, bardzo zdrowi! — odrzekli zdumieni tą miłą troskliwością.

— No to chwała Bogu — mówił spracowany chłop — bo byłbym niepokieszony, gdyby wam cokolwiek dolegało.

— Dlaczego? Przecie nas nie znasz.

— Pewnie, że nie znam, ale się zawsze smucę, jeśli komukolwiek jest źle na świecie. Wszystkim ludziom powinno być dobrze i wszyscy powinni być szczęśliwi. O, jakże się cieszę!

— A ty jesteś szczęśliwy?

— Ja jestem najszczęśliwszy.

— Jak możesz tak mówić, kiedy jesteś obdarty i spełniasz jakąś dziwną pracę?

— Cha! Cha! — zaśmiał się chłop wielkim, szerokim i szczerym śmiechem. — To jest praca ciężka, ale wcale nie dziwna.

— A cóż ty robisz?

— Noszę w garściach ziemię! To bardzo przyjemna robota.

— A po cóż ty nosisz ziemię? Przecież wszędzie jest jej takie mnóstwo, że możesz jej mieć, ile tylko zechcesz!

Chłop zaśmiał się jeszcze weselej.

— Ziemi jest dużo — rzekł — ale to nie jest moja ziemia, tylko królewska. Król tu wprawdzie nigdy nie był i pewnie nawet nie wie o tym, że to jego. Nie wiem, na co mu tyle ziemi, bo nikt na niej nie orze ani nie sieje. A ja dostałem w dziedzictwie pustą skałę, na której nic nie rośnie. Nikt tego nie chciał brać, więc mnie to dali. Poszedłem do królewskiego rządcy i powiedziałem mu, że zginę z głodu, a on zaśmiał się i powiada:

<sup>118</sup>obrzezać — otaczać coś. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>upstrzyć — pokryć coś plamkami. [przypis edytorski]

„Weź sobie z królewskiej ziemi, ile tylko potrafisz w garściach przenieść na swoją skałę”.  
„Dobrze!” — rzekłem. I jak widzicie, noszę tę ziemię i będę miał wielkie pole.

— A długo już tak nosisz?

— Już dwadzieścia lat od świtu do nocy, a jak jest miesięczna noc, to i w nocy. Rządca królewski przyjeżdżał tu przed niedawnym czasem, bardzo się dziwił, kręcił głową i powiedział, że on żartował tylko, ale widzi, że chłop to by sobie ziemię przyniósł nawet z piekła.

— To ty przeniesiesz aż tyle ziemi?

— Cha! Cha! — zaśmiał się chłop.

— Czemu się śmiejesz?

— Ja się śmieję, bo ten rządca to będzie jeszcze płakał, że zrobił taki żart. Jeszcze ze dwadzieścia lat, a ja będę miał wspaniałą rolę, a król będzie miał skałę.

— A jeżeli umrzesz, to się nie będziesz bardzo cieszył?

— Dlaczego by nie? Nie ja będę używał roli, to będzie jej używał mój syn.

— A syna masz?

— Nie mam jeszcze, bo ziemi za mało, ale za jakie pięć lat to już będzie można wyżywić ze trzy gęby. To dobra ziemia.

— A co będzie, jeśli ci królewski rządca odbierze swoją ziemię?

Chłop spojrział na nich ze zdumieniem.

— Jak mi może odebrać, kiedy to moja praca? Moja praca i moje prawo. To już jest moje na wieki wieków. Musiałby mnie przedtem zabić.

— A czy ten rządca mieszka w wielkim mieście?

— Tak! To niedaleko stąd.

— Nareszcie! — zawołał Jacek.

— To wy aż tam wędrujecie?

— Tak, do tego miasta. Znasz drogę?

— Sam tam nigdy nie byłem, ale trafić to bym trafił.

— Powiadasz, że to niedaleko. Będzie mila?

— Mila to będzie.

— A może dwie?

— Dwie, powiadacie?... Może być, że i dwie.

— A nam mówili, że dziesięć — rzekł chytrze Placek.

— Dziesięć? Tak mi się coś widzi, że będzie dziesięć mil.

— A może sto?

— Przysięgać to bym nie przysięgał, ale coś mi się tak zdaje, że będzie ze sto z okładem<sup>120</sup>.

— To trzeba długo iść?

— Ej, nie bardzo.

— Ze dwa dni?

— Za dwa dni zajdzie.

— A może za miesiąc?

— Można i za miesiąc.

— To jakaś dziwna droga! — rzekł Jacek.

— Nie bardzo — odrzekł chłop — ale długa.

— A jak trzeba iść?

— Prosto jak strzelił, a potem na lewo.

— A kiedy trzeba iść na lewo?

— Skręćcie tam, gdzie zawsze pasą się barany.

— A jeżeli nie będzie baranów?

— To ich trzeba poszukać, bo od baranów idzie się na lewo.

— A jeżeli ich nie znajdziemy?

— To już nie wiem jak. Jakby były barany, tobym wiedział.

Nagle Jacek, który przypadkiem spojrział przed siebie, wykrzyknął:

— Co tam widać?

— A to właśnie to wielkie miasto! — odrzekł chłop.

<sup>120</sup>z okładem — więcej, ponad. [przypis edytorski]

— Czemuś tego od razu nie powiedział?  
— A bo pytaliście o drogę! Ale kiedy widać miasto, to już pewnie traficie.  
— Z pewnością! Chodź, Placek!  
— Niech was Bóg prowadzi.  
— Do widzenia!  
— A bądźcie zdrowi — wołał za nimi chłop. — Zamartwiłbym się, gdyby wam się przygodziło co złego.

I zaśmiał się bardzo serdecznie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK ZDOBYWAJĄ WIELKĄ NAGRODĘ I JESZCZE WIĘKSZE LANIE

Było to wielkie i wspaniałe miasto, a zwało się dźwięcznie: Psia Górka. Rządził w nim namiestnik<sup>121</sup> królewski, mąż bardzo dostojny, hrabia Mortadella, który miał taki dziwny zwyczaj, że na wszystkie sprawy przymykał jedno oko i udawał, że nie bardzo widzi, co wyprawiają królewscy poddani. Ponieważ ciągle przymykanie oka było uciążliwe, przeto hrabia nosił na oku czarną przepaskę, przez jeden tydzień na lewym, a kiedy mu się to znudziło, przez drugi tydzień nosił ją na prawym. Nie szpeciło go to wcale, bowiem był to mąż przedziwnej piękności, najpiękniejszy w całym królestwie, chociaż był łysy, miał zajęczą wargę<sup>122</sup>, krzywy nos, spiczastą brodę, kulawą nogę, bardzo długie ręce, był nieco garbaty i miał tylko trzy zęby, które bardzo się chwiałały. Dworzanie jednak głosili, że jest niezmiernie przystojny, więc i on sam w to wierzył, i wszyscy poddani wierzyli w to święcie. Był z tego tylko jeden kłopot. Ponieważ nie chciano, aby potężny namiestnik zmartwił się tym, że nie jest tak bardzo piękny, jak to głoszono i jak o tym w dzień jego urodzin pisano w państwowej gazecie, władze nakazały potłuc w całym mieście wszystkie zwierciadła, co zostało wykonane bardzo ściśle, tak że nie było ich nawet u golibrodów. Korzystali oni z tego w niesumienny sposób, gdyż czasem golili mieszkańców tylko z jednej strony, wiedząc, że ci nie mogą przejrzeć się w zwierciadle.

Nie wolno też było używać polerowanych naczyń, które wybornie wyczyszczone kredą mogą zastąpić zwierciadło, nie wolno było myć okien z tego samego powodu i nie wolno było butom nadawać wspaniałego połysku. Z nadmiernej przezorności nie wolno było wobec królewskiego rządcy odsłaniać głowy ludziom nadmiernie łysym, była bowiem obawa, że przejrzeć się może i w połyskliwej łysinie. Ten wielki dostojnik nigdy w swoim życiu nie widział zwierciadła wody, bowiem nigdy mu jej nie pokazano, aby się w niej nie mógł przejrzeć. Był on też bardzo szczęśliwy i dumny ze swojej urody, tym bardziej że wszystkie damy w tym wielkim mieście otrzymały srogi rozkaz, aby na widok królewskiego zastępcy natychmiast wpadały w omdlenie z okrzykiem: „Ach, jaki przystojny jest hrabia Mortadella!”. Hrabiego nękał z tego powodu wielki smutek, martwił się bowiem, że swoją nadludzką urodą sprawia tak straszliwe wrażenie. Jedno go tylko dziwiło niepomiernie: to mianowicie, że każdy pies na jego widok albo zaczynał wyć, albo podkuliwszy pod siebie ogon, zmykał jak szalony. Dworzanie wyjaśnili mu to dziwne zachowanie blaskiem bijącej od niego potęgi, która jest tak wspaniała, że działa nawet na nierozumne zwierzęta. Słyszając to, hrabia Mortadella uśmiechał się łaskawie i z nadmiernego zadowolenia gładził brodę, w której było jedenaście włosów, a kiedy rok był urodzajny, to nawet dwanaście.

Był to pan łaskawy, choć możny. Ponieważ sam słyszał z zadziwiającej urody, pragnął więc w wielkiej dobroci serca, aby wszyscy królewscy poddani byli choć w nikłej mierze do niego podobni, dlatego rozkazał, aby się we wszystkie świąteczne dni w niego wpatrywano. Siadał wtedy na czerwonym, podobnym do tronu fotelu i siedział tak nieruchomo przez cały dzień, a poddani siadali przed nim w wielkim ścisku i patrzyli w niego jak sroka w kość, cmokając z wielkiego zachwyту; że jednak trzeba było długo czekać, ażeby tym sposobem wszyscy się stali do niego podobni, więc chcąc przyśpieszyć ten dzień, w którym lud stanie się zadziwiająco piękny, rozdawał mu tymczasem mocno pachnącą pomadę, którą sam się nacierał, wierząc, że jej zawdzięcza swoją nadludzką

<sup>121</sup>namiestnik — osoba sprawująca władzę w zastępstwie lub w imieniu panującego. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>zajęczą wargę — rozszczep górnej wargi. [przypis edytorski]



piękność. Toteż nad całym miastem unosił się przeraźliwy zapach, tak że muchy zdychały, a przelatujące ponad nim ptaki zataczały się w locie, jak gdyby były pijane.

Jednak najdziwniejszy widok miasto przedstawiało w dniu uroczyste, kiedy potężny namiestnik zjawiał się na ulicach, aby poznać życie mieszkańców, wysłuchiwać skarg i żalów. Ponieważ wtedy byłby zauważył, że zwyczajni ludzie mają proste plecy, podczas kiedy on ma na nich garb, i mógł z tego powodu wpaść w srogi gniew, przeto w owe dni wydawano rozkaz, aby każdy obywatel posiadał garb. Jego wszystka służba i dworzanie dobierani byli spośród garbatych, których czasem, z braku krajowego produktu, za drogie pieniądze sprowadzano z zagranicy, więc namiestnik nawet nie przypuszczał, że mogą istnieć ludzie prości. Przeto w owe uroczyste dni wszyscy mieszkańcy robili sobie sztuczne garby, a co gorliwsi kazali sobie wrywać nawet zdrowe zęby, aby się ich ilością nie wywyższać ponad dostojnika, który miał ich trzy. Był to zaiste piękny widok: garbaci ludzie nieśli namiestnika w lektyce<sup>123</sup>, on wdzięcznie uśmiechał się jednym okiem, dziewice mdlały z okrzykiem: „Ach! Umieram, on jest zbyt przystojny!”, psy wyły, a ludzie krzyczeli: „Niech żyje!”. Przed lektyką biegli garbaci laufrowie<sup>124</sup> i rozrzucali pomiędzy lud suszone ziarnka słonecznika, będące w tym kraju wyborym i ulubionym przysmakiem.

W takim dniu uroczystym, na znak wielkiej i wspańałości pana namiestnikowej łaski, darowywano więźniom resztę kary i wypuszczano ich na wolność; ponieważ jednak namiestnik był człowiekiem skąpym, nie chciał żywić więźniów i więzienia były puste, starano się tedy zapełnić je w przeddzień uroczystości, zamykając w nich byle kogo, aby go nazajutrz uwolnić wśród radosnych okrzyków. Jednego razu ten sposób przysporzył władzom wiele kłopotów, bowiem połowa nowo mianowanych więźniów, kiedy ich nazajutrz zwolniono, nie chciała opuścić wesołego więzienia, byli to bowiem bezdomni biedacy, którym udało się wreszcie znaleźć mieszkanie. Mimo próśb i lamentów wyniesiono ich jednak przemocą z więziennych komnat i na domiar goryczy kazano im dziękować na kolanach namiestnikowi za łaskę.

Hrabia Mortadella rządził w królewskim imieniu mądrze i sprawiedliwie. Kiedy dwóch poddanych wiodło spór o cenną rzecz, hrabia godził ich znakomitym wyrokiem, zabierając dla siebie przedmiot sporu i usuwając w ten sposób sprzed ich oczu to, co budziło ich namiętności. Nie uciskał zresztą swych poddanych i nie dręczył ich zbyt dużą ilością danin i opłat, bo — oprócz podatku od majątku, od ilości dzieci, od ilości przeżytych lat, od koni, krów, kóz, psów, kotów, kanarków, kur, kaczek, indyków, perliczek, gołębi i królików, od ilości spodni, od ilości wypitej wody, od snów, od kwiatów, od południowego wiatru, od miesięcznych nocy, od pogodnych dni, od chrzcin, od wesel, od pogrzebów, od trumny, od schodów, od kominów, od parasolów, od kapeluszy, od cienia, od śpiewania, od grania na trąbie, od imienin, od zezowatych oczu, od rudych włosów, od paraliżu, od sztucznych zębów, od rumieńców i od paznokci — żadnych innych podatków szczęśliwi mieszkańcy tego miasta nie płacili. Wyjątkowo płacił nadprogramowy podatek tylko jeden człowiek, który przez dziwny kaprys natury miał sześć palców u lewej nogi; długo to ukrywał, kiedy się jednak ujawniło to dziwo, musiał zapłacić karę za to ukrywanie i odtąd uiszczal daninę od zbytku<sup>125</sup>.

Wiodąc tak szczęśliwy żywot, mieszkańcy mieli wesołe i uśmiechnięte miny. Jedną tylko mieli słabość: do ćwiczeń sportowych. Namiętnie uprawiał je hrabia Mortadella, a za jego przykładem czynili to wszyscy inni. Ponieważ hrabia kulał na prawą nogę, więc jego najulubieńszym sportem było bieganie na długi dystans, choć i inne rodzaje sportu były w wielkiej cenie i bardzo lubiane. Bieganie jednak uważane było za ćwiczenie najdoskonalsze, toteż nikt w tym mieście nie stąpał zwyczajnym krokiem, lecz zawsze jak gdyby podrywał się do biegu, tak że można było czasem widzieć największych dostojników, którzy biegli jak obłąkani przez ulice miasta, wśród ogólnego zajęcia.

Namiętność do biegania stała się wreszcie powszechnym nałogiem. Było to raz powodem bardzo śmiesznego wydarzenia. Kiedy w tym mieście zmarł największy poeta, który marny wiodł żywot, gdyż miał kabłąkowane nogi, tak jakby przez sto lat siedział okrakiem na beczce, zginął przeto w zapomnieniu, postanowiono mu wyprawić piękną

<sup>123</sup>lektyka (z łac.) — łoże lub fotel na drążkach do przenoszenia ludzi. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>laufer — służa biegnący przed karetą i torujący jej drogę. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>zbytek — nadmiar czegoś. [przypis edytorski]

pogrzeb. W żałobnym pochodzie szedł sam hrabia, wszyscy dostojnicy i niemal wszyscy mieszkańcy, sześciu z nich niosło trumnę na ramionach. Kiedy pochód znajdował się w odległości mili od cmentarza, hrabia zagadnął szeptem dostojników, jaki jest rekord biegu na przelaj na milowej przestrzeni. Po niedługiej chwili, kiedy rozmowa na ten wspaniały temat stała się gorąca, nagle hrabia i dostojnicy zaczęli przyspieszać kroku, a za nimi ogromny tłum. Ludzie niosący trumnę również poczęli dreptać w przyspieszonym tempie, coraz większy zapal ogarniał całe żałobne zgromadzenie, wreszcie wszyscy zaczęli gonić na wyścigi. Widząc, co się dzieje, a nie chcąc zostać w tyle, żałobnicy zrzucili z ramion trumnę do przydrożnego rowu i pobiegli w wielkim wyścigu. Wielki poeta, który za życia miał krzywe nogi, niedaleko uszedł i po śmierci i leżał samotny przy drodze w swojej biednej trumnie przez trzy dni, bo wszyscy, zajęci rekordem, zapomnieli o nim, a gazety tak były pełne wiadomości o wspaniałym biegu, że nie miały miejsca na wiadomości, co się dzieje z dostojnym nieboszczykiem. Dopiero Towarzystwo Ostatniej Posługi zaniósło go na cmentarz, dlatego tylko bez wypadku, że jego członkowie odbywali powolny bieg na wytrzymałość z niezwykle obciążeniem.

Nie dziw przeto, że wśród takich miłośników sportu rosły wielkie ambicje i pożądanie rekordów. Ustanowiono tam doroczne święto sportowe w dzień imienin Mortadelli, a największym zdarzeniem tego dnia był wyścig dookoła miasta, bieg ciężki i trudny, gdyż miasto było bardzo rozległe. Nagrodę stanowił kubek do jaj na miękko i scyzoryk, ofiarowany przez samego hrabiego, prócz tego zaś wieńczono zwycięzcę na rynku miasta i jego imieniem nazywano ulicę. Było to wielkie i uroczyste święto, na które przybywali zwolennicy z dalekich krajów i z nieznanych miast, a tym stawiano tylko jeden warunek: musieli sobie przyprawić garb. Bieg rozpoczynał się obok placu namiestnika, który dawał znak na jego rozpoczęcie donośnym wystrzałem z papierowej, nadętej powietrzem torby, potem odbywał się przez lasy i okoliczne pola, a kończył się również przed pałacem, gdzie zgromadzone były najpiękniejsze dziewczęta, uczeni i paralitycy<sup>126</sup>, bowiem wszyscy inni mieszkańcy brali udział w wiekopomnym wyścigu.

Kiedy Jacek i Placek przybyli pod wieczór do bram wielkiego miasta, ujrzeni na jego murach wielką płachtę papieru, na której garbatymi literami wypisane było zawiadomienie o tym właśnie wyścigu, mającym się odbyć nazajutrz. Ze wszystkich stron widzieli zmierzających ku miastu ludzi, z których każdy, odczytawszy z niejakim trudem to, o czym głosił papier, od razu umieszczał niesione zawiniątko na plecach i, dotąd prosty jak trzcina, wchodził do miasta garbaty.

— Co to wszystko znaczy? — rzekł Jacek.

— Odczytajmy, co tu napisane! — odrzekł Placek.

Wobec dość złożonego sposobu ich umiejętności czytania nie było to łatwą sprawą: Jacek odczytał wszystkie litery z pierwszej połowy abecadła, Placek z drugiej i w ten sposób udało im się wyłowić kilka słów z tej donośnej przemowy, która grzmiała z murów miasta. Tak się jakoś szczęśliwie zdarzyło, że wśród gromadki przybywających niewielu było takich uczonych jak oni, więc ktoś odczytał głośno orędzie królewskiego rządcy, wzywające cały świat do wielkiego biegu w dzień jego patrona, który, niewidzialny, miał biec na czele wszystkich współzawodników. W orędziu wymieniano nagrodę i przepisy wyścigów, ich niezmiernie znaczenie dla wszechświata i obiecano dla zwycięzcy łaskę hrabiego Mortadelli i zwolnienie od podatku od kubka do jaj na miękko i scyzoryka, bowiem dotąd zwycięzca musiał opłacać daninę od tych wspaniałych przedmiotów; natomiast w tym roku należało na odmianę opłacić takse<sup>127</sup> za uroczysty wieniec, co dotąd nie było w zwyczajach.

Jackowi i Plackowi zaświeciły się oczy, gdy usłyszeli o tak ponętnych przedmiotach, których nigdy nie widzieli i o których nie wiedzieli, do czego służą. Ponieważ myśleli jednakowo, od razu w ich obu głowach powstała myśl, aby zdobyć nagrodę.

— Biegamy doskonale — szepnął Jacek — można by spróbować.

Placek rzekł cicho:

— Nie damy rady, bo udział jest zbyt tłumny. Mógłbym wprawdzie stanąć gdzieś z boku i podstawiać nogę każdemu, co będzie obok mnie przebiegał, aby dać tobie czas do

<sup>126</sup>paralityk — osoba dotknięta paraliżem. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>taksa — ustalona opłata. [przypis edytorski]

osiągnięcia mety, mogą to jednak łatwo zauważyć. To trzeba zrobić jakoś inaczej. Pomyśl, Jacku.

— Właśnie myślę...

Po chwili rzekł:

— Czy nie dałoby się posypać całej drogi tłuczonym szkłem?

— To na nic — rzekł Placek — bo przede wszystkim nie mamy szkła, a następnie, to gorzej dla nas, bo jesteśmy bosy.

— Prawda i to...

— Trzeba pomyśleć!

— Pomyślimy...

Siedli w krzakach i myśleli przez długi czas; wymyślili tysiąc i jedno szachrajstwo<sup>128</sup>, ale żadne nie było do wykonania.

Nagle Jacek skoczył, jakby go ukąsiła tarantula.

— Mam! — krzyknął.

— Gadaj, co znalazłeś...

Jacek rozejrzał się pilnie dookoła, potem nachylił się do ucha Placka i szeptał w nie długo i roztropnie. Placek słuchał uważnie i rzekł z uznaniem:

— To się da zrobić.

— Chodźmy! — rzekł wesoło Jacek.

— Najpierw muszą nam wyrósć garby.

— Prawda! Po co oni wszyscy robią sobie garby?

— Widać, że tu taka moda. Porobimy sobie takie garby, jakich świat nie widział.

Rwij trawę, Jacek!

Nazbierali trawy i jeden drugiemu zmajstrował wspaniały, urodziwy garb, tak że wyglądali jak para młodych wielbłądów.

— Teraz — rzekł Jacek — wejdźmy ostrożnie do miasta. Jest już tak ciemno, że nikt nie zobaczy naszych twarzy, a jutro wieczorem spotkamy się w tym miejscu. Tylko ostrożnie. Ty idź pierwszy.

Placek wszedł w bramę, w której stał strażnik. Na widok Placka pochylił dzidę i rzekł:

— Dokąd śpieszysz, młodzieńcze?

— Na wyścigi — odrzekł Placek grubym głosem.

— Witam cię w imieniu hrabiego Mortadelli! Czy jesteś garbaty?

— Tak jest, dostojny panie!

— Racz tedy wejść i zdobądź wielką nagrodę!

Ta sama ceremonia powtórzyła się po chwili z Jackiem, który odpowiadał głosem cienkim.

Stąpając chyłkiem w cieniu domów, dziwowali się bardzo rozmiarom tego miasta i wielkiemu zbiegowisku w nim. Najbardziej zaś zdumiewało ich to, że wszyscy mieli garby, bardzo śmieszne, bo czasem taki garb zsuwał się i opadał na ziemię, wśród wielkiej i ogólnej radości.

Całe miasto przygotowywało się do niezwykłego święta, jedzono i pito, a przed każdą gospodą stał jej garbaty właściciel i zachwalał swoje jadlo potężnym głosem.

— W mojej gospodzie — wołał jeden — można zjeść pasztet z najprzedniejszych kotów, nadziewany ślimakami. Daje on siłę i moc! Jest zdrowy i pożywny. Wchodźcie, obywatele, i uczujcie za marne pieniądze!

— Potrawka ze szczurów! Potrawka ze szczurów! — wołał inny. — Sam hrabia takiej nie jada, panowie! Mam poza tym w spiżarni salceson z prawdziwego skórzanego buta i flaki z krokodyla!

— Kto u mnie zje wieszczę, ten jutro zwycięży! — wołał trzeci. — U mnie można zjeść makaron z robaków i marynowane ropuchy. Wchodźcie, panowie, czym prędzej, bo niedługo wszystkiego zabraknie.

— Sprzedają tu dobre i smakowite potrawy! — rzekł żalonym głosem Jacek. — Aż mi ślina idzie do ust.

— Słuchaj! — szepnął nagle Placek. — To ciekawe.

<sup>128</sup>szachrajstwo (pot.) — oszustwo. [przypis edytorski]

Inny oberżysta<sup>129</sup> darł się na całe gardło:

— Kielbasy! Wyborne kielbasy z największego filozofa świata, kielbasy z czcigodnego osła Patałłacha! Dopiero wczoraj zdechl z nadmiernej mądrości! Świeże kielbasy z szybkonogiego Patałłacha.

— Ha! — zawołał Jacek. — Oddałbym pół życia za tę kielbasę.

— Poczekaj, pogadam z tym człowiekiem — rzekł Placek.

Podszedł do oberżysty i przemówił z pokorną miną:

— Panie gospodarzu, przyszedłem tu z daleka i chciałbym się dowiedzieć, kim był ten Patałłach, z którego zrobił pan tak wyborną kielbasę.

— Chętnie ci odpowiem, młodzieńcze — odrzekł oberżysta — bo mam wrażenie, że cię zajmuje los twojego bliskiego krewniaka. Patałłach był to najgłupszy osioł, jakiego widziałem w życiu. Schwytałem go pod miastem, gdzie stał zamyślony od kilku dni i byłby zdechl z głodu, gdybym go nie był nakarmił. Chciałem go potem zmusić do pracy, ale nie było sposobu, bo tylko wierzgał i ryczał, że jest największym filozofem świata i że gardzi pracą. Dałem mu spokój, gdyż czekałem na takiego lekkomyślnego człowieka, który by go kupił za tanie pieniądze, zdarzyło się jednak, że do mojej oberży zajechał jakiś uczony mędrzec. Ponieważ nie miał czym opłacić noclegu, pozwoliłem mu się przespać w stajni. Skorzystał z tego Patałłach i zjadł wszystkie książki, które uczony nosił w węzélku<sup>130</sup>. Wtedy już dostał opętania i widać rozum pomieszał mu się jeszcze bardziej, bo zaczął ryczeć przeraźliwie od rana do wieczora, potem przez całą noc, z niezmiernej dumy, i gadał od rzeczy, że go powinni mianować królewskim rządcą, bo mędrca takiego jak on świat dotąd nie widział. Było z tego dużo zabawy, jak to zawsze z przemądrzałego osła, ale nikt nie mógł zmrużyć oka, więc go wczoraj musiałem zarznąć i zrobić kielbasy na dzisiejsze święto. Jeśli masz pieniądze i dobre zęby, to możesz je spróbować. W ten sposób możesz tanio zostać filozofem.

— Pieniądzy nie mam — odrzekł Placek — ale mam dobre zęby.

— Za zęby nie dam ci kielbasy, bo mam swoje, tani to towar. Ale co masz w swoim garbie?

— Garb — odrzekł Placek — mam z samego atlasu<sup>131</sup> i jedwabiu i chętnie oddałbym ci dwa łokcie<sup>132</sup> jedwabiu za łokieć kielbasy.

— Jest to godziwy interes — odrzekł oberżysta. — Chociaż w mojej kielbasie nie ma jedwabiu, ale jest w niej sama mądrość.

— Tak — odrzekł Placek — ale ponieważ wszyscy mają garb, więc i ja go muszę mieć. Dlaczego właściwie wszyscy w tym mieście noszą garby?

— Jaki pan, taki kram — rzekł cicho oberżysta. — Jego Dostojność hrabia Mortadella ma garb od urodzenia.

— Rozumiem — powiedział Placek. — Tym bardziej nie mogę dziś i jutro pozbawić się takiej wspaniałej ozdoby. Jutro jednak, po wielkich wyścigach, chętnie ci odsprzedam mój garb.

— W takim razie jutro dostaniesz kielbasę. Jesteś mądry jak sam Patałłach, ale ja jestem mądrzejszy.

— W istocie — rzekł z udanym zdumieniem Placek — jesteś nadzwyczajnie mądry. Ja jednak umiem robić takie czarodziejskie sztuki, jakich nawet ty nie widziałeś.

— Oho! A jakież ty umiesz sztuki?

— Pokażę ci za półtora łokcia kielbasy sztukę, jakiej nie zrobi największy czarownik.

— Cóż to takiego?

— Zrobię tak: stanę przed tobą, a ty na chwilę przymkniesz oczy, a kiedy zawołam „już!”, otworzysz je, a ja przez ten krótki czas rozdzielę się na dwoje i zamiast mnie jednego będzie nas dwóch, dwóch zupełnie takich samych, podobnych do siebie kubek w kubek<sup>133</sup>. Kiedy znowu przymkniesz oczy, znowu tak zrobię, że wejdę w siebie z powrotem i znowu będzie jeden.

— Takiej sztuki — rzekł z niedowierzaniem oberżysta — nie potrafi nikt na świecie.

<sup>129</sup>oberżysta (daw.) — właściciel karczmy. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>węzełek — pakunek, toboł. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>atlas — miękka tkanina, która ma jedną stronę błyszczącą, a drugą matową. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>łokieć — dawna jednostka miary, nieco ponad pół metra. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>kubek w kubek — identycznie. [przypis edytorski]

— Spróbuj, a zobaczysz! Jest to sztuka strasznie trudna, ale mój ojciec był wielkim czarodziejem i umiał się podzielić nawet na trzy części. Ja umiem tylko na dwie, ale i to dosyć.

— Jeśli to zrobisz, to dam ci dwa łokcie kielbasy i kawał salcesonu z oślich uszu. I nie tylko to. Jutro, po święcie, mógłbyś się produkować<sup>134</sup> w mojej gospodzie i zarobić razem ze mną wiele pieniędzy.

— Doskonale! Chcesz zobaczyć sztukę?

— Bardzo chcę!

— A ja chcę przedtem zobaczyć kielbasę.

— Niech i tak będzie!

Oberżysta wszedł do gospody, Placek zaś tymczasem skinął na Jacka, który słuchał z ukrycia całej rozmowy, aby był w pogotowiu. Po chwili oberżysta wyniósł szlachetne zwłoki uczonego Patałłacha w mizernym kształcie kielbasy i salcesonu.

— Widzisz — rzekł do Placka — że postępuję uczciwie, więc jeśli mnie oszukasz, to i z ciebie zrobię salceson.

— Bardzo dobrze! Zamknij teraz oczy i czekaj, aż zawołam: „już!”. Gdybyś chciał podejrzeć, jak się ta sztuka odbywa, to mógłbyś stracić jedno oko.

— Dobrze, zamykam oczy i nie będę podglądał.

— Nic nie widzisz? — zapytał Placek.

— Nic.

Placek zaczął szeptać tajemniczo:

— Rumberbarum! Rumberbarum!

A kiedy Jacek, podkradłszy się na palcach, stanął przy nim, wtedy krzyknął:

— Już!

Oberżysta otworzył oczy, które mu na wierzch wylazły ze zdumienia, gdyż przed nim stało dwóch, podobnych do siebie jak dwie krople wody, chłopców. Człowiek ten patrzył na nich z nabożnym lękiem i aż zaniemówił.

— Skąd jest ten drugi? — zapytał wreszcie z trudem.

— Wyszedł ze mnie — rzekł Placek. — To jest duch. Możesz go nawet dotknąć, ale ostrożnie, bo raz takiego, co go chciał dotknąć, ukąsił w rękę. Ciebie jednak nie ugryzie, bo trzymasz w rękę kielbasę, więc on wciąż w nią tylko patrzy, a ciebie nie widzi.

— Boję się takich sztuk — szepnął oberżysta. — Zrób tak, aby zniknął.

— Zamknij oczy!

— Zamknąłem.

— Huku! Puku! — zaklinał Placek. — Zmykaj duchu! Już!

Kiedy oberżysta otworzył oczy, stał przed nim Placek, wesoło uśmiechnięty.

— Zasłużyłeś sobie na tę kielbasę — rzekł z ulgą oberżysta. — Jeśli jutro pokażesz w mojej gospodzie tę potężną sztukę, obaj zrobimy majątek. Czy przyjdiesz jutro?

— Najlepiej będzie, jeśli mi pozwolisz przespać się w stajni po Patałłachu. Odpocznę, a jutro stanę do wyścigów.

— Prześpij się! — rzekł oberżysta.

— Ale o jednym pamiętaj! Niech się nikt przez noc nie zbliża do stajni, bo ja na noc wypuszczam z siebie mojego ducha.

— A cóż on robi?

— Czuwa nade mną i odgania mi z twarzy muchy, gdy kto jednak zbyt się do mnie zbliży, wtedy szczeka i gryzie.

— To straszne! — rzekł z drżeniem oberżysta. — Masz kielbasę i idź spać, ale nie wypuszczaj swojego ducha tak długo, zanim ja nie zasnę.

— Mogę to dla ciebie zrobić — rzekł Placek. — A jutro pokażę w twojej gospodzie jeszcze dziwniejsze sztuki.

— Dobrej nocy — powiedział, odchodząc, oberżysta — tobie i twojemu duchowi.

— Zaskarbiłeś sobie jego przychylność — rzekł z wielką łaskawością Placek. — Dobrej nocy!

<sup>134</sup>produkować się (pot.) — występować na scenie, prezentować swoje umiejętności. [przypis edytorski]

Za to wzniosły duch Patałłacha nie miał tej nocy spokoju i musiał ronić gorzkie łzy, widząc, jak ci, których zrzucił z grzbietu w słusznym gniewie, teraz śmiejąc się, pożerają kielbasę z jego doczesnych zwłok.

— Jest to kielbasa mądrości — rzekł Jacek.

— A ten salceson jest salcesonem filozofii — śmiał się Placek. — O Patałłachu, na co ci przyszło?!

W tej chwili rozległ się nad domem potężny, straszny ryk.

— To Patałłach się rozgniewał! — rzekł Placek. — Oberżysta jednak musi być w strachu, bo myśli, że to mój duch tak się wściekł. Ale chodźmy spać, ryczący duchu, bo musimy jutro być na wszystko gotowi. Zapamiętałeś, cośmy ułożyli?

— Wszystko zapamiętałem. Mądrzy to my jesteśmy.

— Wielka sztuka! Jemy kielbasę z największego uczonego.

Nowy ryk rozległ się przeraźliwie.

— Słyszysz? Ten zwierzak po śmierci zachował swoje zwyczaje. Trzeba dokończyć kielbasy, bo będzie ryczał przez całą noc i nie da nam spać.

Spali jednak doskonale na sianie, po raz pierwszy od wyjścia z domu. Skoro zaś tylko zaczęło szarzeć na świecie, powstali czym prędzej i wymknęli się na plac przed pałacem, gdzie już od wczesnego rana zbierali się współzawodnicy.

Plac był wspaniale udekorowany chorągwiami ze starych gazet i girlandami<sup>135</sup> z jodłowych gałęzi. Zaczął się szybko zapełniać tłumem współzawodników, starych, młodych i w średnim wieku. Porządek utrzymywali jacyś czcigodni ludzie, bardzo zatroskani; niektórzy z nich wysypywali drogi piaskiem albo podtrzymywali chwiejące się chorągwie żerdzie. Byli to uczeni, poeci, muzycy i malarze, których, jako że w wielkiej sztuce biegania na długi dystans na nic nie byli przydatni, używano do tych robót, jak to jest w powszechnym zwyczaju wśród ludzi, dla których nogi więcej znaczą niż głowa. Dlatego też czcigodne osoby miały na twarzy wiele smutku, o tym zapewne rozmyślając, że na nogach można przeskoczyć rów, ale nie można dostać się do nieba, gdzie mieszka mądrość. Może też i o tym myśleli, że koń jeszcze lepiej biega od człowieka, ale nigdy nie napisał mądrej książki ani też nie namalował pięknego obrazu, a wszyscy mieszkańcy tego miasta zapragnęli zmienić się w konie albo zgoła<sup>136</sup> w zające.

Wybiła wreszcie godzina ósma.

Ponieważ w tym mieście nie było zegara, przeto na wieży namiestnikowskiego pałacu wymalowano zegarową tarczę, na której wskazówki były poruszane ręką, a silny człowiek, uderzając młotkiem o dziurawy rondel, z ukrycia naśladował dostoyny dźwięk zegara. Czasem mylił mu się rachunek i po godzinie pierwszej wybijał po raz drugi dwunastą, ale nikt sobie nie brał tego do serca. Tego dnia jednakże człowiek-zegar starał się być punktualny i godzinę ósmą wybił donośnie i dźwięcznie. Kiedy zaś przebrzmiało ostatnie uderzenie, otwarto pałacowe podwoje<sup>137</sup>, z których wyszedł najpierw ciężki zapach pomady, a tuż za nim namiestnik we własnej osobie, za czym jego świta, wasale i rycerze, dziewice i matrony<sup>138</sup>, heroldowie<sup>139</sup> i sędziowie. Jeden z paziów<sup>140</sup> niósł na purpurowej poduszce kubek do jaj, a drugi, na błękitnej, scyzoryk.

Na widok namiestnika tłum zakrzyknął:

— Niech żyje hrabia Mortadella!

On skłonił się łaskawie, potem usiadł i zaczął spozierać po tłumie współzawodników. Ponieważ dzień uroczysty był wolny od rozpraw sądowych i od wydawania wyroków, hrabia nie był zmuszony do przymyknięcia jednego oka, więc ukazał się bez czarnej przepaski, tak że jego oczy były widoczne w całej okazałości. Wodził tedy łaskawym spojrzeniem, witając przybyszów z dalekich stron i obcych miast uśmiechem pełnym uprzejmości, aż wreszcie dojrzał Placka.

— Kto jest ten młodzieniec w czerwonych majtkach, który ma taką twarz jak indyckie jajo? — zapytał ciekawie.

<sup>135</sup>girlanda — ozdoba ze zwojów liści lub kwiatów podwieszonych z boków. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>zgoła — całkiem, zupełnie; daw.: wręcz, wprost. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>podwoje (przestarz.) — okazale, bogato zdobione drzwi. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>matrona — starsza kobieta. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>herold — urzędnik dworski, mistrz ceremonii. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>paż — chłopiec pełniący dawniej służbę przy określonej osobie na dworze. [przypis edytorski]

Placek pokłonił się i rzekł śmiało:

— Przywędrowałem tu, Wasza Dostojność, z dalekiego kraju, gdzie ludzie biegną tak szybko, że mogą w biegu pochwycić zająca i bez wielkiego trudu mogą dogonić wiatr.

— Ha! — zdumiał się hrabia.

— Ach! Ach! — zdumiały się dziewice z orszaku.

— O! O! O! — zdumieli się panowie i rycerze.

— No! No! No! — zdumieli się z niedowierzaniem współzawodnicy.

— Jeśli — rzekł hrabia — umiesz biegać tak szybko, to zdobędziesz nagrodę.

— Wasza Dostojność — rzekł Placek — uśmiech Waszej Dostojności będzie dla mnie najwyższą nagrodą.

— Och! — uradował się hrabia.

— Pi! Pi! Pi! — uradowały się dziewice.

— Hu! Hu! Hu! — uradowali się rozgłośnie panowie i rycerze.

— Fiu! Fiu! Fiu! — uradowali się niechętnie współzawodnicy.

— Cieszyłbym się — rzekł hrabia — gdyby tak skromny i przystojny młodzian zdobył nagrodę. Zapamiętam sobie twoją wdzięczną postać i będę cię szukał łaskawymi oczyma wśród tej dzielnej drużyny. Czy masz już jakie wybitne rekordy?

Placek nie wiedząc, co znaczy to słowo, odpowiedział na chybił trafił:

— Mam ich sto dziewięćdziesiąt dziewięć, potężny hrabio.

— A! A! — zakrzyknął hrabia.

— Ho! Ho! Ho! — zakrzyknęły dziewice.

— Hej! Hej! Hej! — zakrzyknęli panowie i rycerze.

Przeżażeni współzawodnicy nic nie zakrzyknęli.

— To jakiś dzielny młodzian — rzekł hrabia. — Pragnąłbym mieć takiego syna. Jeśli zwyciężysz, otrzymasz ode mnie dodatkową nagrodę w postaci słoika pomady, bo chociaż jesteś piękny, jednak masz nieco nakrapianą twarz. Pomiędzy piegami masz jednak piękną cerę, młodzieńcze. Nabierz oddechu, bo za chwilę dam znak do biegu, a trudną będziesz mieć sprawę, albowiem zjechali się tu najsłynniejsi współzawodnicy tego świata. Niech mi podadzą narzędzie do strzelania!

W mig przyniesiono papierową torbę, którą nadał jeden z rycerzy, mający mocne płuca i długi oddech.

— Bacność! — zawołał hrabia.

Ustawiono szybkobiegaczy, a uczeni ludzie usunęli się czym prędzej z pola.

— Raz, dwa, trzy! — krzyknął namiestnik i wystrzelił z torby.

Tłum współzawodników runął przed siebie jak gromada z nagła przeżażonych baranów: każdy z nich wytrzeszczył oczy, a niektórzy wywiesił język jak czerwoną flagę, co zapewne pomaga przy wielkim wysiłku, i pognali, aż się za nimi zakurzyło.

— Gdzie jest młodzian w czerwonych majtkach? — zapytał hrabia.

— Na przedzie! — zakrzyknęły dziewice.

— Oby został zwycięzcą! — rzekł hrabia, pomyślawszy równocześnie, że takiemu smykowi można by dać kieliszek do jaj, a zamiast scyzoryka uśmiech, o który tak pięknie prosił.

Tłum współzawodników zniknął mu z oczu, gdyż mieli, krążąc przez pola i lasy, obieć miasto dokoła.

Placek, który świetnie biegał, znajdował się z początku na czele długiego węża biegnących, następnie jednak, niewidocznie i ostrożnie, zaczął powoli zostawać w tyle, kiedy zaś przestano na niego w ogólnym zapamiętaniu zwracać uwagę, obejrzawszy się pilnie, uskoczył jelenim susem w bok i zapadł w boczną ulicę. Nikt nie dojrzał tego czynu wielokrotnego rekordzisty, wszyscy bowiem byli zajęci sobą, nikt też nie widział, że kiedy pochód obłąkańców począł zbliżać się do mety, wtedy z przydrożnego drzewa na sto kroków przed nimi zsunął się Jacek i począł jak zając gnać na czele zdyszanego orszaku.

— Czy widać co? — zapytał hrabia.

— Och! — zakrzyknęły dziewice. — Bieży<sup>141</sup> jakiś samotny bohater, a za nim bardzo daleko biegną inni.

<sup>141</sup>bieżeć (przestarz.) — bic. [przypis edytorski]

- Ha! — zdumiał się hrabia. — Czy aż tak ktoś się wysforował<sup>142</sup>?  
— To one! To one! — zawołały dziewice.  
— Jak to one? Czy biega ktoś rodzaju żeńskiego?  
— Czerwone majtki! Czerwone majtki!  
— Uff! — zdumiał się hrabia.

Z pałacu wszyscy dostrzegli już Jacka, który gnał, czyniąc wielkie susy, lekko i bez zmęczenia.

- To nie do pojęcia! — mówił hrabia. — Pobił najsłynniejszych biegaczy!

W tej chwili Jacek mijał celownik, pozostawiając daleko poza sobą wydłużonego węża biegnących. Udawał, że ciężko dyszy i że się ślania ze zmęczenia na nogach, na czole nie miał jednak ani kropelki potu.

Wrzask na cześć niewidzianego dotąd zwycięstwa podniósł się tak niezmierny, że się powietrze zakotłowało aż pod niebo. Krzyczeli wszyscy, nawet hrabia, nawet zdyszani współzawodnicy, choć szeroko otwartymi ustami z trudem chwyтали powietrze. Niektórzy z nich, ci przede wszystkim, co utracili swoją wielką sławę, patrzyli ponuro, niemniej jednak zdumieni: nie zdarzyło się bowiem dotąd, aby ktoś potrafił wyprzedzić wszystkich o tak wielką odległość i przyjść do mety bez zmęczenia. Tym więcej było to godne podziwienia<sup>143</sup>, że zwycięzcą był niepozorny chłopak.

- Albo jego ojciec — mówili między sobą — był zającem, albo to są jakieś czary.

Po całym mieście, po wszystkich zaułkach i po wszystkich domach gruchnęła wieść, tocząc się zgiełkliwe jak wóz po moście, że zwycięstwo osiągnął piegowaty chłopak w czerwonych spodenkach. Każdy biegł szybko, aby ujrzeć jego i uroczystość wręczenia nagrody.

Najbliżej stojący porwali Jacka w ramiona i nieśli go przed oblicze hrabiego, który, bardzo rad, że sława tak niezwykłego rekordu spadnie jak rześisty deszcz na jego miasto, wygłosił wśród wielkiej ciszy stosowne przemówienie, po czym kazał Jackowi przykłąknąć, włożył mu na rozmierzwiony łeb równie rozmierzwiony wieniec z choiny, potem dodał:

— A teraz wręczam ci wielką nagrodę, o którą walczyli przedstawiciele całego świata. Przyjmij ten kubek do jaj i zachowaj go szczęśliwie do końca życia!

- Niech żyje! — wrzasnął tłum.

A Jacek poczekawszy, aż się uciszy, rzekł z czcią:

- A gdzie jest scyzoryk, dostojny hrabio?

Złękli się wszyscy, mniemając, że hrabia się rozgniewa, on jednak rzekł łaskawie:

- Ach, prawda, zapomniałem o scyzoryku! Dobrze, że mi to przypomniałeś!

Słyszając to, mrugać zaczęli ku sobie miejscowi ludzie i wiedzieli, co wiedzieli.

Znowu się ozwał radosny wrzask i rwetes, podniesiono bohatera, aby go w triumfie obnosić po mieście. Wtem z oddalonych ulic począł się toczyć grzmot innych głosów.

- Co się stało? — zapytał hrabia.

Ucichli wszyscy, nasłuchując. Wrzawa zbliżała się do pałacu jak dudniąca grzmotami chmura, po chwili zaś ujrzano tłum ludzi wydających radosne okrzyki.

Jacek spojrział i zmartwił.

Nowy pochód niósł na ramionach przerażonego Placka, krzyząc:

- Niech żyje zwycięzca! Niech żyje bohater!

- Co takiego? — zdumiał się hrabia.

- Co to znaczy? — zakrzyknęto.

Od nowego pochodu, jak liść odrywa się od drzewa, oderwał się goniec i przypadłszy do hrabiego, zawołał:

— Niesiemy zwycięzcę, dostojny panie! Ukrywał się skromnie w oślej stajni, ale go tam znalazł oberżysta, a my wynieśliśmy go na ramionach... Oto się zbliża.

Za chwilę stało przed hrabią dwóch zwycięzców, mocno przerażonych i bladych, o ile można było ujrzeć w lesie piegów blade widmo strachu.

- He! — zdumiał się hrabia.

Tłum oniemiał i patrzył ogłupiałym wzrokiem, nie wiedząc, co o tym sądzić.

- Który z was jest który? — pytał hrabia.

<sup>142</sup>wysforować się — wybiec naprzód, zostawiwszy innych w tyle. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>podziwienie (przestarz.) — podziw. [przypis edytorski]



Jacek i Placek milczeli.

— Odpowiedzcie: który z was jest zwycięzcą?

Oni nie odpowiadali, a nikt nic nie wiedział.

— To są jakieś czary! — zawołały dziewice.

— To nie są wcale czary — rzekł stojący na uboczu uczony człowiek, który przyglądał się całej tej hecy z uśmiechem. — Obaj są zwycięzcami.

— Jakże to może być? W jaki sposób?

— W dowcipny sposób. Są to przebiegli chłopcy: jest ich dwóch, choć wyglądają jak jeden. Zdarzają się czasem takie podobne istoty. Toteż jeden biegł na początku, a drugi ukrył się gdzieś na końcu i w odpowiedniej chwili pierwszy znikł, a drugi się pokazał. Mądre są to szpaki!

— Oddaj nagrodę! — ryknął hrabia. — Dawać ich tutaj!

Kiedy ich chywycono, aby powlec do hrabiego, wypadł z tłumu zażywny człowiek, rycząc:

— Moja kielbasa! Ach, złoczyńcy, oczajdusze<sup>144</sup>, rzezimieszki! Oszukali mnie niecnie i podstępnie!

Nikt nie wiedział, co ma oznaczać ten tęskny głos rozpaczający nad kielbasą, bo wszystkich porywał gniew, że się dali podejść dwom przemyślnym smykom.

— Co z nimi uczynić? — zawołali rycerze.

Hrabia pomyślał i rzekł:

— Każdemu dać po tysiąc dziesięć kijów w pięty, aby więcej nie mogli biegać!

— Ach! Ach! To zbyt wiele! — zapłakały dziewice. — Tysiąc będzie dość.

— Mało będzie! — ryknęły w tłumie. — Tysiąc dziesięć, tysiąc dziesięć, tysiąc dziesięć!

— Chodźcie, robaczki! — rzekł ponuro kat. — Nauczę was uczciwie biegać.

Chłopcy byli bladzi i na pół umarli ze strachu.

Dziewice zakryły oczy, ale wszyscy patrzyli zachłannie.

Ułożono chłopaków na brzuchach, kat zawiązał rękawy i zaczął walić na przemian: raz Jacka, raz Placka.

Ryczący duch Patallacha musiał uczuć wielką pociechę, usłyszawszy wrzask swoich wrogów.

— Ach! Ach! — Mdlały dziewice.

— Nie ma litości! — krzyknął tłum.

Kat wyliczył już siedemdziesiąt siedem plag<sup>145</sup>, jednak daleko było do tysiąca i dziesięciu.

— Łaski! — błagał Jacek.

— Łaski! — błagał Placek.

— Tysiąc dziesięć! — krzyknął hrabia.

Ten zgiełkliwy dzień, pełen głosów i wrzawy, zagrzmiął raz jeszcze: od bram miasta ozwał się donośny głos trąb. Przerwano na chwilę egzekucję, nasłuchując, co oznaczają te potężne głosy. Po chwili zadudniły kopyta i ukazał się strojny orszak. Wszyscy patrzyli pilnie, spojrzali i kat. Jacek i Placek, po raz pierwszy w życiu nie okazując zbytniej ciekawości i mało się troszcząc o to, kto to nadjeżdża z taką paradą, w dwóch susach wpadli w tłum sponoszonych jak sarenki dziewic, a za moment nie było po nich śladu. Nikt tego nawet nie zauważył, gdyż orszak przystanął przed pałacem, a groźny mąż zawołał:

— Dostojny hrabio Mortadella! Z rozkazu jegomości najjaśniejszego króla przestajesz od tej godziny być jego namiestnikiem i od tej chwili nie masz już prawa zatruwać tego miasta swoją pomadą.

Zdumiał się lud, zdumiały się dziewice, zdumieli się rycerze i wasale.

Srogi mąż wołał dalej z konia:

— Opuść ten tron, albowiem zasiądziesz na nim twój dostojny następca.

— Wynos się czym prędzej! — krzyknęli nagle wierni dotąd poddani. — Hej! Ludzie, dajcie nam zwierciadło! Czy ma kto zwierciadło?

Okazało się, że wszystkie dziewice mają zwierciadła. W jednym z nich przejrzał się hrabia Mortadella i ujrawszy swoją twarz, aż się wzdrygnął:

<sup>144</sup>oczajdusza (daw.) — hultaj. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>plaga — uderzenie bitem. [przypis edytorski]

— To ja tak wyglądam? — szepnął.

— Ach, umieram! Ach, jakiż on brzydki — zawołała najstarsza z dziewic w imieniu wszystkich.

Nieszczęsny hrabia Mortadella podniósł się z purpurowego krzesła i począł schodzić smętnie po schodach pałacu. Nagle przystanął i spojrzął ze zdumieniem, patrząc, jak wszyscy ludzie wśród głośnych śmiechów pozbywają się swoich garbów.

— Już nie będziemy garbaci — wołali. — Precz z Mortadellą!

Hrabia zwrócił się pokornie do groźnego męża i zapytał:

— Kto jest moim następcą?

— Dostojny markiz Saradella! — zakrzyknięto w tłumie.

— Odkryjcie głowy, oto on!

— Niech żyje! Niech żyje!

Z wielkiej radości poczęto podrzucać sztuczne garby.

Z orszaku wysunął się człowiek niepozorny, uśmiechnięty i rozdając ukłony, zaczął iść ku pałacowi, kiedy zaś stanął na wysokości schodów, tak że wszystkim był widoczny, podnieśli się na palcach, aby ujrzeć, kogo im najmiłościwszy król przysłał na pana i rządcę.

— Niech żyje! — krzyknęli ci, co stali w dalszych rzędach.

Tym jednak, którzy stali blisko, okrzyk zamarł na ustach. Spojrzeli i zdrętwieli: nowy pan miał proste plecy, ale za to garb z przodu.

— Ach! Ach! — jęknęły dziewice.

A wszyscy inni w wielkim i nagłym milczeniu zaczęli podnosić rzucane w górę garby i czym prędzej umieszczać je sobie na piersiach.

Markiz Saradella przymknął oko, jakby udając, że tego nie widzi, i ogłosił:

— Na znak mojej łaski ustanawiam od dziś podatek od prostych pleców.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY, W KTÓRYM PRZEZ DROGĘ JACKA I PLACKA PRZESUWA SIĘ CIEŃ MATKI

Chłopcy, którzy zbyt tanio chcieli zdobyć światowy rekord w biegu na długi dystans, nie widzieli już przewrotu i naglej zmiany usposobień w wielkim mieście. Wiedzieli o tym tylko, że z niejaką szkodą dla pięt ocalili życie w dwóch, choć kiepskich, egzemplarzach. Jeśli mogli mieć o co żał do kata, to za to chyba, że wyliczywszy spółce sportowej siedemdziesiąt siedem plag, więc liczbę nieparzystą i przez dwa niepodzielną, skrzywdził któregoś z nich jednym nadliczbowym uderzeniem, co mogłoby się stać zarzewiem niezgody między nimi, gdyby nie to, że nie wiadomo było, który został pokrzywdzony. Człowiek mocno i systematycznie bity w pięty mało sobie zdaje sprawę z tego, co się dookoła niego dzieje. I przez długie godziny po tym chłopcy mieli nieco zamroczone umysły i może dlatego nie mogli zrozumieć, jakim sposobem to się dzieje, że chociaż biją w pięty, zamęt czuje się w głowie, więc w okolicach mocno oddalonych i nienarażonych bezpośrednio na szkodę. Przestali się tedy zastanawiać nad tą tajemnicą natury, zmuszeni do zwyczajnej troski, jak by iść, nie narażając obolałych pięt. Stąpali więc jak na palcach, niosąc w sercach srogi ciężar gniewu i oburzenia na ten chiński sposób kary; dotąd wiedzieli, że natura przeznaczyła do bicia pewne stałe i niezmiennie miejsce na ciele i że tradycja nie pozwala wychodzić poza obręb, uznawszy, że natura wymyśliła mądrze. Nikt jednak wśród przyzwyczajonych ludzi nie słyszał, aby tą uprzywilejowaną częścią ciała miały być delikatne pięty. Jacek pomyślał ze zgrozą, co by to było, gdyby człowiek miał na piętach oko.

— Żli to byli i potworni ludzie — zakrzyknął. — Myślałem, że sobie odpoczniemy, najemy się smacznie i wyśpimy się, a my znowu musimy uciekać.

— Widać, że taki już podły los nas prześladowuje! — żalił się Placek. — Nic nikomu nie uczyniliśmy złego, a każdy powstaje przeciwko nam. O, jak by to było dobrze mieć szczyrych!

— Straciliśmy go tylko przez ciebie! Jak mogłeś dać się odkryć jak kto głupi?

— Sam nie wiem, jak to się stało. Ukryłem się w stajni po Patałfachu i siedziałem jak mysz pod miotłą, bo słyszałem, jak ludzie krzyczą: „Wygrał piegowaty chłopiec w czerwonych majtkach! Gdzie jest piegowaty chłopiec w czerwonych majtkach? Szukajcie piegowatego chłopca w czerwonych majtkach!”. Byliby przeszli obok stajni, wcale

mnie nie zauważywszy, tymczasem stało się coś dziwnego: bo kiedy mijali stajnię, ozwał się tuż koło mnie przeraźliwy ryk...

— To duch Patałłacha! — rzekł zdumiony Jacek.

— Ja też tak myślę. Ten straszliwy zwierz, chcąc się na nas zemścić, ryczał nieustannie, tak że ludzie wiedząc, że stajnia jest pusta, weszli gromadą, aby ujrzeć, co w niej tak ryczy. Patałłacha oczywiście nie było, ale za to mnie znaleźli i w triumfie zanieśli do pałacu.

— O, wściekły ośle! — zakrzyknął Jacek.

— Tak, to on jest winien wszystkiemu albo też jego mądry dziadek, bowiem sam Patałłach był zbyt głupi i upośledzony na umyśle, aby urządzić nam takiego figla.

— I co my teraz pocniemy, nieszczęsne sieroty?

— Czy ja wiem?

— Matka nas opuściła, a ludzie nas prześladowają. I za co? Za to, że gardzimy pracą i pragniemy, aby na całym świecie był raj.

— Przecie nie matka nas opuściła, tylko my matkę...

— Czy to nie wszystko jedno? Czemu nas nie zatrzymała? Właściwie to matka zmusiła nas do tej wędrówki, bo nam kazała pracować. Jak to może być, aby matka prześladowała swoje własne dzieci? O, jacy my jesteśmy nieszczęśliwi!

— A gdyby tak...

— Co masz na myśli?

— Gdyby tak... powrócić...

— Powrócić? Dokąd?

— No... do matki...

— A czy my wiemy teraz, jak wrócić? Zresztą wyśmialiby nas w Zapiecku...

— A co z nami będzie, jeśli nie wrócimy?

— Nie wiem, może wreszcie coś szczęśliwego nam się wydarzy. Czy wszędzie na świecie trzeba pracować?

— Z tego, co się nam dotąd przydarzyło, widać, że na całym świecie istnieje takie głupie urządzenie. Kto to tak stuka?

Rozejrzeli się pilnie i ujrzeli ptaka, który laził po pniu sosny i stukał w nią zawzięcie mocnym dziobem.

— Kto ty jesteś? — krzyknął Placek.

— Dzieciół — odrzekł ptak.

— Czy jesteś pomyłony<sup>146</sup>?

— Wcale nie jestem pomyłony ani nie jestem piegowaty!

— Ale za to jesteś głupi. Czego stukasz w sosnę?

— Głupi jest ten, kto przerywa drugiemu jego pracę.

— A czegoś ty tam szukasz? Co można znaleźć na sośnie?

— Gdybym stukał w wasze głowy, to mógłbym stukać sto lat i niczego bym nie znalazł. Dlatego stukam w sosnę, a może co znajdę.

— Placek, wal w niego kamieniem!

— Nasyp mi soli na ogon! — zaśmiał się dzieciół już z daleka, gdzie znikł w gęstwinie.

Jacek się zeźlił.

— I ma tu — mówił — być porządek na świecie, kiedy nawet takie ogoniaste furkadło<sup>147</sup> pracuje przez cały dzień? Czy wszyscy poszaleli z tą pracą? Nawet z nami nikt nie chce gadać, bo każdy jest czymś zajęty. Taki jestem zirytowany, że nie myślę wracać, ale tak długo będę wędrował, aż wreszcie znajdziemy taki kraj, gdzie nie ma żadnej pracy, żadnych matek, żadnych szkół i nauczyciela. Idziesz, Placek?

— Idę — odrzekł Placek — ale z trudnością. Mam wrażenie, że to ja dostałem jedno uderzenie więcej.

— Za to ja się więcej najadłem strachu, kiedy Mortadella zaczął zgrzytać nade mną zębami!

— Ee! — rzekł Placek lekceważąco. — Takie tam zgrzytanie. Miał całej parady trzy zęby! A kat miał jeden wprawdzie kij, ale dobry.

<sup>146</sup>pomyłony — obłąkany. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>firkadło (techn.) — narzędzie do ręcznego wiercenia niewielkich otworów w drewnie. [przypis edytorski]

— Kiedyś się zemścimy! — pocieszał się Jacek. — A teraz cicho! Słyszysz? Albo mi się zdawało, albo ktoś się przedziera przez krzaki...

— Ukryjmy się, teraz nikomu nie można dowierzać...

Uskoczyli w bok i zapadli w chaszczach, pilnie patrząc i bacznie nasłuchując. Ktoś się zbliżał powoli i jakby bardzo ostrożnie czy też z wielkim trudem.

— Nic groźnego! — rzekł po chwili Jacek.

— Myślałem, że to wilk — zaśmiał się Placek — a to jakieś dziewczysko.

Tuż przed nimi zjawiła się bosa dziewczyna, mająca około dziesięciu lat. Okryta była łachmanem, w jednej ręce trzymała kij, drugą wyciągnęła przed siebie i tak szła ostrożnie, szukając ręką przeszkody. Miała słodką, wynędzniałą twarzyczkę, bardzo smutne usta i niebieskie oczy, nieruchomo patrzące wprost przed siebie.

Usłyszawszy głos, zatrzymała się.

— Witam was — powiedziała głosem tak miękkim jak leśny mech.

— Jeśli ci to sprawia przyjemność — rzekł Jacek — to nas sobie witaj.

— Gdzie ja jestem? — zapytała dziewczyna.

— Tam, gdzie my — zaśmiał się Placek.

— A gdzie wy jesteście?

— Naprzeciwko ciebie!

— Jesteście weseli i żartujecie sobie. To dobrze, że jesteście weseli, ale powiedzcie mi, ukochani, którędy można dojść do drogi?

— Dlaczego chcesz od nas pożyczyć oczy, czy sama ich nie masz?

— Mam oczy, ale moje oczy nie widzą.

— To ty jesteś ślepa?

— Tak to nazywają. Powiedzcie mi, czy tu można usiąść?

— Siadaj tam, gdzie stoisz!

— Jestem bardzo, bardzo zmęczona. Wstałam raniutko, o tej godzinie, o której się budzi las, i od tej pory idę bez wypoczynku. Czy słońce już wysoko?

— A skąd ty wiesz, że jest słońce, czy je widziałeś przedtem, nim oślepląs?

— Ja zawsze byłam ślepa i nie widziałam słońca, ale wszystko wiem: i o nim, i o gwiazdach, i o księżycu, i o lesie, i o wodzie. Kiedy byłam bardzo mała, matka opowiadała mi o tym. Więc powiedzcie, czy słońce jest wysoko?

— Gdybyś podskoczyła, to mogłabyś je dotknąć ręką.

— Czemu ze mnie żartujesz?

— A na co ci potrzebna wiadomość o tym, czy słońce jest wysoko, czy nisko?

— Bo muszę iść aż do nocy, a w nocy odpocznę.

— W takim razie możesz pójść z nami.

— A dokąd wy idziecie?

— Nam jest wszystko jedno, idziemy przed siebie.

— Nie mogę pójść z wami — odrzekła smutno dziewczynka.

— A dokąd ty idziesz?

— Do nieba! — odpowiedziała poważnie.

— Do nieba? Placek, słuchaj, ona idzie do nieba!

— Cha! Cha! — zaśmiał się Placek. — A którędy to się tam idzie?

— Nie wiem, ale kiedyś znajdę drogę. Muszę dojść do takiej góry, która sięga aż do nieba, a stamtąd już będzie blisko.

— A gdzie to ta góra?

— Właśnie jej szukam.

Jacek i Placek mieli mocno rozradowane miny, tręcili się łokciami i mrugali do siebie wesoło.

— Bardzo dobrze robisz, że idziesz do nieba — rzekł z udaną powagą Jacek. — A czy cię tam puszcza?

— Tak! — odrzekła dziewczyna.

— Taka jesteś pewna? Nas to by tam chyba nie wpuścili. Prawda, Placek?

Placek pisnął z wielkiej uciechy.

— Mnie tam wpuszczą — mówiła dziewczynka słodko — bo tam jest moja matka. Gdyby wasza matka była w niebie, wpuściliby was także. Czy wy macie jeszcze matkę?

Chłopcy nic nie odrzekli.

— Moja matka — mówiła ona — poszła do nieba, kiedy byłam mała. Mój ojciec zginął na wojnie. Zostałam sama jedna na świecie, biedna, opuszczona, ślepa. Jednej nocy, kiedy spałam pod progiem naszego dawnego domu, gdzie teraz mieszkają obcy ludzie, było bardzo zimno. Wtedy moja matka przyszła do mnie, ucałowała mnie w oczy, nakryła płaszczem i grzała oddechem moje ręce. Bardzo płakała, pewnie dlatego, że łzy są gorące i padały na moją zziębniętą twarz. Potem powiedziała mi, że wraca do nieba i pragnie, abym ja tam przyszła. Wtedy wzięłam w rękę kij i poszłam szukać drogi do nieba. Tak idę pięć, a może już sześć lat, nie wiem dobrze...

— A ktoś cię karmi?

— Czasem żywią mnie ludzie, a czasem las.

— A cóż ty robisz, kiedy jest mróz?

— Przytulą mnie zawsze w jakiejś chacie, a raz... Ale to było bardzo dziwne!... Raz schroniłam się do jakiejś jaskini podczas zawiei i tam ogrzały mnie jakieś zwierzęta. Spędziłam tam długi czas, a one ogrzewały mnie własnym ciałem i karmiły mięsem. Ludzie potem bardzo się dziwili i mówili, że to były wilki.

— I nawet cię nie pogryzły?

— Jakżeż mi mogły uczynić krzywdę? — zdziwiła się słodkim głosem dziewczynka.

— Przecież ja jestem sierota. Od razu powiedziałam im, że szukam matki.

— I znajdziesz swoją matkę?

— Muszę znaleźć!

— A jeśli do nieba trzeba iść sto lat?

— To będę szła sto lat.

— I nie żal ci będzie opuścić ziemię?

— Przecież tu nie ma mojej matki. Gdyby tu była matka, to tu byłoby niebo, ale że jej tu nie ma, więc ja idę do nieba.

— Czy zawsze tam, gdzie jest matka, tam jest niebo?

— Pewnie, że tak.

Chłopcy długo milczeli i patrzyli w las. Jacek westchnął, nie wiedząc czemu... Placek zaś rzekł niespodzianie:

— Jak ci na imię?

— Marysia.

— Czy jesteś głodna, Marysiu?

— Od wczoraj nic nie jadłam. Gdybym widziała, to może bym narwała jagód, ale nic nie widzę.

— Poczekaj tu! — rzekł Placek.

Skinął na Jacka, który usłuchał go bez słowa i patrzył nieco zdumiony. Poszli w gęstwinę, potem w goły las i po chwili przynieśli jej na wielkich liściach poziomki i maliny.

— Jedz! — rzekł Placek.

— Niech wam Bóg zapłaci — szepnęła rzewnie dziewczynka. — Powiem mojej matce, jacy jesteście dobrzy, a ona to powie Panu Bogu. Ale czemu wy nie jecie?

— My? — rzekł Placek, śmiejąc się nieszczerze. — Ach, my nie jesteśmy głodni. Byliśmy niedawno na wspaniałej uczcie u hrabiego Mortadelli.

— Zjedliśmy siedemdziesiąt siedem potraw! — dodał Jacek, mrugając na Placka. — Hej, Placek!

— Czy macie i placek? — zapytała dziewczynka.

Chłopcy zaśmiali się wesoło.

— Tego placka nikt by nie ugryzł, bo tak się jeden z nas nazywa.

— To wy jesteście braćmi?

— Tak, my jesteśmy bracia, Jacek i Placek. Czemu o to pytasz?

— Bo muszę powiedzieć o was mojej matce. Czy mi pozwolicie? Bardzo was o coś poproszę.

— Czy chcesz jeszcze poziomki?

— Nie, nie o to proszę. Chciałabym tylko dotknąć waszych twarzy, bo inaczej nigdy was nie poznam. Zbliźcie się, moi ukochani.

Chłopcy spojrzeli na siebie i zbliżyli się nieśmiało. Na ich nakrapianych twarzach ukazały się rumieńce. Dziewczynka małą rączką miękko dotknęła ich twarzy i gładziła je serdecznym ruchem.

— Musicie być bardzo podobni — rzekła.  
 — O, tak! — zawołali chłopcy.  
 — I śliczni... — dodała dziewczynka.  
 — Tak mówią — bąknął Jacek.  
 — Ale nie wszyscy — mruknął Placek.  
 — Dla mnie jesteście śliczni, bo jesteście dobrzy. Niech wam Bóg zapłaci, najdrożsi.  
 Na mnie już czas. Czy powiecie mi teraz, gdzie jest droga?  
 — Czy chcesz iść gościńcem<sup>148</sup>?  
 — Nie, gościńcem nie można zejść do nieba. Dlatego pytam o gościniec, aby go ominąć. A czy nie widać gdzie wysokich gór?  
 — Nie, Marysiu.  
 — A czy do wieczora daleko?  
 — Daleko jeszcze. Czy chcesz, abyśmy ciebie poprowadzili?  
 — Przecie nie znacie drogi. Pójdę sama, bo mnie matka prowadzi. Żegnajcie!  
 — Bądź zdrowa, Marysiu!  
 Uśmiechnęła się do nich tak jak anioł i wyciągnąwszy przed siebie rękę, badając końcem laski, czy nie ma przeszkody na jej drodze, szła powoli, cichutko i powiewnie jak duch.

Chłopcy patrzyli za nią w milczeniu i długo żaden z nich nie powiedział słowa.  
 — Idzie do matki... — szepnął wreszcie Jacek jak gdyby sam do siebie.  
 — Oby ją znalazła! — powiedział cichutko Placek.  
 Kiedy dziewczyna była już daleko, Jacek rzekł nagle:  
 — Trzeba pobiec za nią!  
 — Po co?  
 — Idzie w tę stronę, gdzie my byliśmy niedawno, a tam jest jezioro!  
 — Tak! — krzyknął Placek. — Biedna dziewczyna...  
 — Żal ci jej?  
 — Bardzo mi jej żal!  
 — Biegnijmy!  
 Nie zważając na obolałe nogi, biegli jak kozły, ale nigdzie jej nie dojrzel.  
 — Do jeziora — zawołał Jacek w biegu.  
 Skierowali się w stronę wielkiej wody i ujrzeli z oddali Marysię o dwa kroki od jej brzegu.  
 — Marysiu! — zakrzyknął z całej mocy Jacek.  
 — Za późno — jęknął Placek.  
 — Utonie!  
 Placek przystanął, wznosił oczy do nieba i szepnął:  
 — Ratuj ją, matko!  
 Dziewczyna uczyniła już krok ku wodzie.  
 Jacek zasłonił sobie ręką oczy, a Placek patrzył zmartwiał. Minęła chwila, zanim Jacek zapytał szeptem:  
 — Czy już utonęła?  
 Ponieważ Placek nie odpowiadał, Jacek odjął rękę od oczu i spojrzął z rozpaczą.  
 — Co to?... Co to?... — pytał gorączkowym szeptem.  
 Nikt mu nie odpowiadał, bo Placek stał nieruchomo, jakby od nadmiernego zdumienia zamieniony w słupek soli. Otworzył usta i patrzył, własnym oczom nie wierząc: dziewczyna szła po wodzie jak po najładniejszej drodze. Fale, dotąd marszczące się od wichrowego gniewu, ukoili się nagle i miękko układały pod jej poranionymi nożętami, a słońce rzuciło przez jezioro, od jednego do drugiego brzegu, srebrny gościniec. Ona zaś szła po tych wodach, nie wiedząc, że stąpa po toni, uśmiechnięta, że nie ma na jej drodze ani cierni, ani ostrych kamieni.  
 Przed nią leciała biała mewa, donośnie pokrzykując:  
 — Uspokójcie się fale, bo idzie sierota, co szuka swojej matki!  
 — Matki... Matki... Matki... — śpiewały fale, rozlewając się szeroko w słodkiej piśczoce.

<sup>148</sup>gościniec — szeroka wiejska droga. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ JEDENASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK SPOTYKAJĄ ŻŁOTYCH LUDZI I DOWIADUJĄ SIĘ DZIWNYCH RZECZY O CHLEBIE POWSZEDNIM

Przeminęła długa chwila, zanim chłopcy obudzili się z zachwyconego zdumienia. Dziewczynka już dawno przeszła po srebrnej wodzie i powędrowała lasem, który ją krył przed ich wzrokiem, a oni patrzyli wciąż na czarodziejskie jezioro, łaskawe i pełne niezgłębionej dobroci.

— Czy dobrze widziałeś? — zapytał wreszcie Jacek.

— Tak — odrzekł Placek. — Gdyby mi kto o tym opowiadał, tobym nie wierzył, ale widziałem to sam. Czy myślisz, że ona nie wiedziała, że idzie po wodzie?

— Może myślała, że przechodzi przez wilgotną łąkę — mówił Jacek.

— Dziwne, dziwne!

Jacek bardzo się zamyślił i rzekł:

— Wiesz, o czym myślę? Myślę o tym, jak to się dzieje, że tej dziewczynie, co idzie do swojej matki, służą i ludzie, i wilki, i woda, a takim, co uciekli od matki, nie tylko nikt nie pomoże, ale czasem to ich jeszcze nabijają?

— Czy myślisz o nas?

— Wszystko jedno, o kim myślę. Ale dlaczego tak się dzieje?

— Gdybym wiedział, tobym ci powiedział, ale nie wiem.

— A może — mówił Jacek — jest w tym jakieś oszustwo?

— Niby jakie?

— Może woda w tym jeziorze taka już jest, że po niej można chodzić?

— Nigdy nie słyszałem o takiej wodzie!

— Chodźmy nad jezioro!

Stanęli nad brzegiem czystych, jasnych wód, w których odbijało się niebo i las. Łuszczyło się srebrnymi łuskami jak ogromna ryba i szmeralo sennym szmerem. Czasem tylko głośno plusnęła płytka fala, co dobiegłszy do piaszczystego brzegu, wracała czym prędzej na wody, dotknąwszy kamieniska.

Dotknęli bosymi nogami wody.

— To zwyczajna woda — rzekł Placek.

— Tak, ale może można po niej chodzić?

— Ja myślę, że nie można.

— Więc w jaki sposób przeszła Marysia?

— Widać jest taki sposób.

— Może by spróbować?

— Jeżeli się nie boisz, to spróbuj, ale ja się boję.

— Ja się też trochę boję, ale mi to nie daje spokoju. Spróbuj!

— Ej, Jacek, nie żartuj z wodą!

— Pójdę tylko parę kroków i zaraz wrócę. Patrz, jakie jezioro jest spokojne... Jeszcze na nim widać tę drogę, którą szła Marysia. Śladów nie ma, ale drogę widać... Idę!

Placek patrzył ciekawie, co z tego będzie. Jacek zaś uczynił krok odważnie i nie miał nawet czasu, aby krzyknąć, bo wpadł w wodę z głową.

— Jacek, nie top się! — krzyczał Placek.

Po chwili ukazała się głowa Jacka, który zalany wodą, nie mógł wydać z siebie okrzyku, ale krzyczał za to rozpaczliwym spojrzeniem o ratunek, bijąc wodę rękami. Placek porwał jakąś gałąź, podał bratu i z trudem wyciągnął go z wody, bezsilnego jak zdechła ryba. Jacek dzwonił zębami i cały zmienił się w wielki strach. Szczękając, mówił:

— Po tej... wo... wodzie... nie... można... cho... chodzić.

— Zimno ci bardzo?

— Od wody mi zimno, a od strachu gorąco... Już nigdy nie będę chodził po wodzie... Ale jak ona mogła przejść?

— Tego się nigdy nie dowiemy! Osusz się, bo niedługo zajdzie słońce. Trzeba będzie tu przenocować...

Matka, Dziecko

Z Jacka dymiła wilgoć, jakby się cały zamienił w jezioro. Wyglądał tak jak zmokły szczur, więc cały suszył się w ciepłe słońca zniżającego się ku lasom, Placek zaś tymczasem zbierał jagody.

Słońce zachodziło bogato, strojne we wszystkie swoje wspaniałości, jak gdyby jakiś król z dalekich krajów, co umierając, chce się po raz ostatni okazać w niezmiernym przepychu, wśród lśniących bogactw, w złotych szatach, naszywanych rubinami i perłami. Słońce przejrzało się w zwierciadle jeziora, a ujrawszy, że jest blade i że ma senne oczy, poczęło schodzić z wielkiej góry nieba, aby się ułożyć do snu. Wiatry czym prędzej rozścieliły na jego drodze purpurowe sukna, aby zeszło wygodnie, po kobiercach<sup>149</sup> ku ziemskim nizinom. Na niebo spłynął liliowy smutek i srebrna cisza. Ukończyły się wody, a las, co przed chwilą śpiewał, zamilkł. Ptaki usnęły, a dusza całego świata, westchnąwszy po dziennym trudzie, odpoczęła wieczornym słodkim odpoczynkiem. Nawet ci, którzy bardzo cierpieli, przymknęli na jedną chwilę zapłakane oczy, ukojeni wielką ciszą.

Zaś od przeciwnej strony, od wzgórz, szła noc, pełna dziwnych szmerów i cichych dzwoneń, wysławszy na swoją drogę wojsko nietoperzy, aby szybko lecąc, wybadały, czy się gdzie nie ostał jakiś zabłąkany promień. Za nietoperzami przyleciały sowy okrągłookie, nastroszone puchacz, dziwne i tajemnicze, a poza nimi płynęła noc, czarna, niewidoma kobieta, która sobie czasem przyświeca zieloną latarnią miesiąca.

Nie dojrzała nawet Jacka i Placka śpiących na posłaniu z mchów pod wielkim drzewem. Śniły im się dziwne rzeczy. Jackowi zdawało się, że się zamienił w ogromną kaczkę i że płąsa po wodzie, a Placek widział we śnie matkę, która mu kazała okryć Jacka, bo mu zimno. Przez sen nakrył go tym, co miał do rozporządzenia, jednym ramieniem, które rozespany Jacek zaczął ścisnąć gwałtownie i wołał przez sen: „Ach, jaka wspaniała ryba!”.

Kiedy Placek otworzył o świcie oczy, zdumiał się nieco, widząc, że Jacek leży na brzuchu, a rękoma robi dziwaczne ruchy. Zaczął go tarmosić, a Jacek, choć się wprawdzie obudził, ale jeszcze nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje, krzychał:

— Zaraz przyplnę! Kwa! Kwa!

Potem usiadłszy, zaczął przecierać sobie oczy i zapytał:

— Co się stało z wodą?

— Masz ją pewnie w głowie! — odrzekł, śmiejąc się, Placek. — Czy śniła ci się woda?

— Tak, wielka woda, po której pływałem jak kaczką i wciąż widziałem rybę, a kiedy chciałem schwytać rybę, zawsze wtedy poznawalem, że to ja sam się w nią zmienilem.

— Kielbie we łbie! — rzekł z głębokim przekonaniem Placek. — Ale szkoda, żeś nie nałapał ryb, bo mielibyśmy wyborne śniadanie. Kaczka też nie byłaby najgorsza! A tak, trzeba się będzie tylko napić wody...

— Wody? — wrzasnął Jacek. — Za nic w świecie! Mam już dość wody na długie czasy.

— Cóż ja ci poradzę? Kawę ze śmietanką z ptasiego mleka przyniosą nam dopiero za godzinę.

— Jesteś strasznie głupi!

— To dlatego, że jestem do ciebie zbyt podobny. Bardzo ci moko? Kiedyś jeszcze spał, była tu z wizytą mewa i pytała, czybyś jej nie odwiedził. Mieszka po drugiej stronie jeziora, ale przez wodę to nie bardzo daleko.

— Placku! Zginiesz z mojej ręki!

— Widać, że dziś rano jestem podobny do ryby, bo ty teraz jesteś na nie zawzięty...

— Nie jesteś podobny do ryby, bo ryba jest mądra i nigdy nic nie gada.

— A czemu ty, kiedy w nocy byłeś rybą, ciągle robiłeś wrzask?

— Bo we śnie może być wszystko.

— W takim razie zaśnij jeszcze raz i zjedz we śnie śniadanie.

— A na jawie nie da się nic zjeść?

— Widziałem wczoraj niedaleko stąd leszczyny i wielkie mnóstwo orzechów. Jeśli się one tej nocy nie przyśniły wiewiórkom, to je będzie można zjeść. Patrz, jak się jezioro burzy!

— Mało mnie to obchodzi, co robi głupia woda!

— I mewy strasznie krzyczą!

<sup>149</sup>kobierzec — gruba tkanina, którą ozdabiano ściany lub przykrywano podłogi. [przypis edytorski]



— Jaka woda, takie mewy!

— Wiesz, Jacek, chodźmy stąd, bo mnie się zdaje, że te wrzaskliwe ptaki dojrzały ciebie i stąd ten cały harmider. Jedna drugiej opowiada o tym, jak chciałeś chodzić po wodzie.

— Uciekajmy! — wrzasnął Jacek, porwawszy się na nogi.

Mewy podniosły przeraźliwy pisk: widać, że Placek odkrył słuszną przyczynę ich nadmiernej radości. Chłopcy weszli w gąszcz i jedli wkrótce, co się dało; wiewiórki patrzyły z zatroskanym podziwem, jak wszystko, co jadalne, znika na drodze, którą przeszli dwaj nakrapiani chłopcy. Po pewnym czasie podziw zmienił się w przerażenie: pomyślały bowiem, że jeśli ci dziwnie żarłoczni przybysze zechcą zabawić dłużej w tym miejscu, wszystkie wiewiórki będą musiały zginąć z rozpacz i z głodu. Chłopcy jednak przeszli tylko lasem jak niszcząca burza, co się szczególnie zawzięła na leszczyny, zupełnie nie tykając krzaków rodzących jedynie ciernie albo trujące jagody.

Ponieważ żołądki były najważniejszym organem tych chłopców, napelnione, pogodziły ich ze światem. Zaledwie dotykając piętami ziemi, szli znowu przed siebie, sprawiając wrażenie, że się ostrożnie na palcach skradają ku czemuś. Wyrok nieszczęsnego hrabiego Mortadelli nauczył ich tego sposobu chodzenia, szukali więc przejść tamtędy, gdzie obficie rosły mchy albo gdzie ziemia, napęczniała wodą jak gąbka, lekko ugięła się pod ciężarem. Wędrowali przez bezdroża, czasem z oddali widząc przechodnia lub jeźdźca, co jechał na znużonym koniu. Czasem na wyniosłym lesistym wzgórzu wznosił się jak jego korona kamienny zamek, patrzący na rozległe pustkowia czarnymi, podejrzliwymi oczami strzelnic i szczerzący na postrach granitowe zęby u szczytu murów. Patrzyli z zastrachanym podziwem na te kamienne grody, pobudowane chyba przez olbrzymów, wydawało im się bowiem, że zwyczajni ludzie nie zdołaliby spiętrzyć olbrzymich głązów ponad szczyty najwyższych drzew.

— A może to jednak budowali ludzie? — mówił Jacek.

— Czy człowiek mógłby udźwignąć taki straszliwy głąz? — pytał Placek.

— Widzieliśmy mrówkę, co dźwigała gałązkę tak wobec niej wielką, jak dąb wobec człowieka. Ci ludzie i te zwierzęta, którzy nie wiadomo po co pracują, potrafią jednak dokazać dziwnych rzeczy. Jak oni to robią?

— Chciałbyś mieć taki zamek? — pytał w rozmarzeniu Placek.

— Bardzo bym chciał! Leżałbym sobie na złotym łóżku brzuchem do góry, trochę to bym spał, a gdybym nie spał, to wtedy bym jadł. A potem znowu bym spał i tak przez tysiąc lat.

— A co byś pił?

— Piłbym tylko mleko z cukrem i miodem albo z malinowym sokiem.

— Przestań! — rzekł Placek. — Bo się rozplaczę. Och, jakże my jesteśmy nieszczęśliwi! Ani mleka, ani cukru, ani miodu, ani malinowego soku... W tym wspaniałym zamku zapewne tego wszystkiego jest w bród.

— Zapewne, bo tu mieszka albo król, albo książę.

— Takim to dobrze!

— Myślę sobie! Kiedy się królowi urodzi syn, to go kąpią w ptasim mleku.

— A jeżeli to jest syn księcia?

— Takiego to kąpią albo w krowim mleku, albo w kozim, bo ptasiego mleka jest mało na świecie. Ale spójrz, Placku, jak się tam na murach coś dziwnie błyszczy. Co to może być?

— Stąd dobrze nie widać, ale mi się zdaje, że to wartownik w złotej zbroi.

— Może by tak podejść bliżej?

— Chyba bardzo ostrożnie. Wszędzie nas prześladują, to i tu nas mogą nabić. Ależ to błyszczy, aż razi oczy!

— Zbliźmy się, ale gdyby nas kto zaczął gonić, uciekaj ty w prawo, a ja zwięję w lewo, bo gdybyśmy biegli razem, to nas prędzej złapią.

— Za cóż nas mogą obić?

— Czy ja wiem? Widać, że takie już musimy mieć twarze, które się nikomu nie podobają. Niewinni zresztą są zawsze prześladowani.

Zbliżyli się ostrożnie do groźnych murów zamku pokrytego blachą złotą, tak że dookoła łał się złoty blask i raził oczy. Brama była otwarta szeroko: cała z kutego złota,

Praca

nabijana drogimi kamieniami, świeciła tak chyba jak brama do raju. Oparty o mur, co się też w słońcu złocił, stał strażnik w ciężkiej, złotej zbroi, dzierżący włócznię z ostrzem z jakiegoś bezcennego metalu, bo strzelał z niego snop promieni. Spod hełmu spływały włosy, w lokach się wijące, też złote, bo przysypane złotym pyłem. Strażnik dojrzał ich, lecz jakby bardzo zmęczony lub na wszystko obojętny, wodził po nich speszonym wzrokiem i wcale im nie bronił dostępu. Ośmieleni jego nieruchomą obojętnością, weszli w bramę. Wtedy przemówił do nich głosem bardzo dziwnym, bo jakby brzękliwym i dźwięczącym jak złoto:

— Szlachetni młodzianie! Czy macie kawałek czarnego chleba?

— Nie mamy go, dostojny panie! — odrzekli zdumieni.

— Ach! — brzęknął on i zapłakał złotymi łzami.

Widząc, że ten dziwny strażnik nie broni im wstępu, lecz oparty nieruchomo o mur martwi się tym, że oni nie mają czarnego chleba, weszli na dziedziniec wykładany złotymi płytami, rozgrzanymi w pełnym słońcu i parzącymi im stopy. Weszli więc czym prędzej na cieniste krużganki, pod złożone arkady, patrząc na te straszliwe bogactwa z niemym podziwem. Snuły się tam powolnymi ruchami jakieś dostojne postacie, wielcy panowie i nadobne<sup>150</sup> damy. Wszyscy byli tak strojni, że aż luna biła od nich, od złotogłowiów<sup>151</sup>, złotych łańcuchów, złożonych sandałów i od drogich kamieni. To jednak było najdziwniejsze, że wszyscy mieli złote zęby, złotem przyprószone włosy i złotem malowane brwi: gdyby się nie poruszali, choć tak sennie, można by mniemać, że nie są to żywi ludzie, lecz złożone kukły. Nikt z nich nie objawił zdziwienia na widok chłopców, tak jak gdyby dla tych złotych ludzi zdumienie było wielkim wysiłkiem, lecz patrzyli sennym, bladym, wyblakłym wzrokiem. Chłopcy zatrwożeni, lecz jeszcze bardziej zdumieni, stąpali ostrożnie, jakby oczarowani, nikt im jednak nie czynił żadnej krzywdy. Szybko więc zbyli lęk, nie mogąc jedynie wyjść z zadziwienia<sup>152</sup>, które wzrosło jeszcze, kiedy jeden wielki pan, cały ze złota, zapytał ich sennym, cichym i tak samo jak głos strażnika przy bramie brzękliwym głosem:

— Ach, znakomici kawalerowie, czy nie macie kawałka czarnego chleba?

— Nie mamy go, wielki panie! — odrzekli.

— Ach! — westchnął ów pan.

Kiedy się zbliżyli do pięknej damy, która miała wszystkie zęby złote, złote brwi i rzęsy, uśmiechnęła się do nich leniwym, złocistym uśmiechem i szepnęła sennie, dźwięcznie i wdzięcznie:

— Ach, piękni paziowie, czy nie macie okruszyny czarnego chleba?

— Nie mamy go, pachnąca damo — odrzekli.

— Ach, ach — westchnęła ona, a złoty smutek rozlał się po jej nadobnym obliczu.

— Czemu oni tak wszyscy wzdychają? — zapytał szeptem Jacek.

— Ach! Nie wiem... — odrzekł Placek, z nagle posmutniałą gębą.

— Ty także wzdychasz?

— Ach, tak.

— Zaczynam się obawiać — rzekł Jacek — że i mnie tutaj też coś opęta. Jakoś strasznie smutni są ci ludzie ze złota.

— Niby żyją, a jakby nie żyli, niby się poruszają, ale tak jak muchy po smole. Co im się ubrdło<sup>153</sup> z tym czarnym chlebem?

— Może są głodni?

— Jakże to może być, kiedy mają tyle złota? Ach, a może ty przecie masz słuszność, bo wydają mi się dziwnie chudzi.

— Ach, zauważyłem to od razu. Ale cicho, jakiś dryblas idzie ku nam.

Słaniając się, zbliżył się w ich stronę chudy, wysoki człowiek, cały w złocie i diamentach.

— Panowie! — rzekł cicho metalicznym szeptem. — Za kęs czarnego chleba dam wam złoty łańcuch i diamentowe zapinki.

— Nie mamy chleba, złoty panie! — odrzekli oni po raz dziesiąty.

<sup>150</sup>nadobny (daw.) — pełen wdzięku, uroczy. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>złotogłóów — droga tkanina ze złotych nitok. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>zadziwienie (przestarz.) — zdziwienie. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>ubrdać sobie (pot.) — ubzdurać sobie. [przypis edytorski]

— Ach! Nieszczęście! — westchnął długi człowiek z ogromną, widać, boleścią, gdyż go złamała na dwoje.

— Trzeba się dowiedzieć — rzekł Jacek — co to wszystko oznacza.

— Ale kogo zapytać?

— Może tego tam pod kolumną...

Pod złoconą kolumną, u której szczytu wykwiłał złoty kwiat akantu<sup>154</sup>, siedział stary człowiek i z niezmierną rozpaczą wpatrywał się w swoje paznokcie pomalowane na złoto. Pod złoconymi brwiami błyszcząły złotym połyskiem jego żywe i mądre oczy. Kiedy zbliżyli się do niego z nabożnym lękiem, zabrzączał tak, jak gdyby podniebienie miał ze złotej blachy:

— Ach! Nie macie czarnego chleba?

— Niestety, wielmożny panie...

— Ach, widzę to, gdyż próżne są wasze ręce, zresztą i bez tego wyglądacie na łapserdaków. Skądście tu przyszli?

— Z daleka! — odrzekł Jacek. — Wędrowaliśmy przez wiele krajów.

Staremu złotemu człowiekowi zamigotały oczy.

— Ach! — szepnął szeptem tak gorącym, jak gdyby lało mu się z ust roztopione złoto. — Więc widzieliście chleb, zwyczajny czarny chleb?

— Oczywiście — rzekł zdumiony Jacek. — Widzieliśmy chleb...

— Powiedz mi, ale szybko, jak on wygląda?

— Nie umiem tego powiedzieć, dostojny panie... Zwyczajnie, jak chleb... Jest czarny i czasem przypalony w popiele.

— Ach, ach! Mów dalej.

— Są w nim czasem niedopieczone otręby...

— Ach, otręby! Cudownie, cudownie! Powiedz mi, czym pachnie taki chleb?

— Pachnie, wielki panie, nie wiem czym, ale bardzo pachnie...

— Ale czym? Jaką ma woń?

— Taki czarny chleb?... Taki chleb pachnie chlebem.

— Ach! Cudownie to powiedziałaś... Oczywiście! Chleb pachnie chlebem, swoim własnym zapachem, milszym niż nard<sup>155</sup> i mirra<sup>156</sup>, i palone bursztyny. Czy jadłeś kiedy taki chleb?

Jacek spojrział ukradkiem na Placka, jakby mu chciał zakrzyknąć tym spojrzeniem, że należy mieć się na baczności, albowiem temu dostojnemu panu brak piątej klepki. Jakżeby inaczej mógł ich pytać, czy jedli czarny chleb? Placek jednak, spenetrowawszy, że rozmowa o chlebie sprawia temu panu dziwną przyjemność, rzekł:

— Dostojny hrabio! Niczego innego nie jadaliśmy w życiu, tylko czarny chleb.

— Ach! — wykrzyknął złoty pan. — Ach, jacy wy jesteście szczęśliwi!

— My?

— Ach, tak! Oddałbym resztę życia za bochenek takiego chleba, który jest szary jak ziemia, a pachnie tak jak niebo...

— Panie — szepnął zdumiony Jacek — a po co oddawać życie? Wszak macie tyle złota...

— Nie wymawiaj tego słowa! — zakrzyknął wielki pan. — Bo cię każą ozłocić i zginiysz marnie!

— Ach, przebaccie nam, szlachetny hrabio, nie wiedzieliśmy o tym...

— Trzeba, żebyście wiedzieli. Niedługo mogą was dostrzec jedne oczy, a wtedy pozostaniecie tu na zawsze. Szkoda was, więc uciekajcie stąd czym prędzej, bo na tym miejscu ciąży klątwa!

— Wśród tylu bogactw?

— Milcz, głupi chłopcze, bo cię oćwiczę<sup>157</sup> tym łańcuchem z złotego metalu. Uciekajcie stąd, mówię wam... Ale przedtem przyjdziecie do mnie i opowiecie mi w ukryciu o tym, jak się robi chleb...

— Czy go nigdy nie widziałeś, panie?

<sup>154</sup>akant — roślina ozdobna o dużych liściach. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>nard — aromatyczny olejek roślinny. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>mirra — wonna żywica wykorzystywana jako pachnidło bądź kadzidło. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>oćwiczyć — mocno kogoś pobić. [przypis edytorski]

— Ach, dawno, dawno... Przed wielu, wielu laty... Powiem wam wszystko za to, żeście ze mną mówili o chlebie.

— Ach, powiedz nam, dostojny panie!

— Widzę, że smętek<sup>158</sup> przekłętego miejsca już i was nauczył pokrzyków żałości, nędznej, znudzonej i bezsilnej, a przecie weszliście tu niedawno. Po niedługim czasie staliście się tak bardzo nieszczęśliwi jak my wszyscy.

— To tu są sami nieszczęśliwi ludzie?

— Jeszcze wciąż nieszczęśliwi, ale już nie ludzie — mówił ozołconym szeptem stary człowiek. — Ci wszyscy, którzy się tu snują dookoła, tworzą wraz ze mną dwór możnego księcia, co przez wiele, wiele lat łupił wszystkie bogactwa tej ziemi. Brał niezmierne dani-ny od rolników, napadał i rabował kupców, wyzuł<sup>159</sup> z dziedzictwa braci, miasta obracał w perzynę<sup>160</sup>, chwycił na morzu okręty i zebrał bogactwa tak niepoliczone, jakich nie ma stu królów w swoich skarbcach. Tyle zgromadził złota, ile go razem nie widziały ludzkie oczy, tyle pereł i drogich kamieni, ile łez pociekło z ludzkich oczu za jego żywota.

— Strach! — szepnął Jacek.

— Ach! — westchnął Placek.

— Byłem jego medykiem, więc dopuszczono mnie blisko do osoby pana. Widziałem tedy, że się z nim jakieś dziwne sprawy dzieją, albo złoto, wydarte nieszczęśliwym ludziom, bogactwa, okupione ludzkim głodem, łańcuchy kowane<sup>161</sup> z ludzkich rozpaczy: wszystkie te skarby rzuciły na niego klątwę albo też, co jest bliższe prawdy, jego mózg z czasem też się w złoto zamienił.

— O rany — zdumiał się Jacek, a Placek wytrzeszczył oczy z nadmiernego podziwu.

— O, tak! — szeptał stary człowiek. — Potężny książę, władca niezmiernych skarbów postradał zmysły z ich powodu: zgromadził zbyt wiele złota, a ono przygniotło mu duszę. Zalało go jak żółte wody, a nas razem z nim. I od tego czasu nikt z nas nie widział słodkiego, czarnego chleba...

— Czemu, dostojny panie?

— Szaleństwo naszego księcia na tym polega, że wszystko dookoła niego musi być ze złota albo z klejnotów. Nawet wody nie pija nigdy, jeśli w niej sztuką nie rozpuszczą perły. Nie jada niczego, co nie przypomina złota swoją przekłątą barwą. A my musimy czynić to samo, współnicy klątwy.

— Czemu nie zasiejecie zboża?

— Nikt z nas tego nie umie ani też go nie mamy. Wszyscy zapomnieli o wszystkim, co nie jest ze złota, a nic nie wszędzie z posianych diamentów. Zabiłby nas zresztą, gdybyśmy zasiali zboże.

— Czy jest taki silny?

— Nie, ale jest taki obłąkany.

— A czemu, mając tyle tego, o czym mówicie, dostojny panie, nie kupicie chleba?

— Bo chyba od stu lat nikt się nie zbliżył do tego zamku!

— To my jesteśmy pierwsi?

— Tak, wy jesteście pierwsi. Widać, ktoś pragnie waszej nędznej śmierci albo też los gotuje wam nasze męczarnie, jeśli zdołaliście tu trafić.

— A cóż wy jadacie, panie?

— Powiedziałem ci, że wszystko, co przypomina złoto: wolno nam jeść tylko kanarki, złote rybki, ananasy, pomarańcze i cytryny. Od stu lat nie widziałem innej potrawy. O, rozpaczy! Śpimy na złotych łóżach, na złotogłowiach, pod złotymi baldachimami. Myjemy się w złotych misach, potem zjadamy straszliwe złote rybki na złotych talerzach. Dostaję konwulsji, kiedy ujrzę ananasy, omdleвам na widok cytryny...

— I nie ma na to żadnej rady?

— Ach, żadnej... Kiedy owoc jest jeszcze zielony, wtedy malują go złotą farbą i wtedy jest jeszcze straszliwszy. Gdyby książę ujrzał potrawę, co nie jest złotego koloru, wpadłby w gniew i kazałby winnemu, co się ją spożył ośmielił, nalać do gardła roztopionego złota. Tak raz uczynił z jednym hrabią, który rzucając na przynętę błyszczące perły, przywabił

<sup>158</sup>smętek — przygnębienie, melancholia. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>wyzuć (daw.) — pozbawić. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>perzyna (daw.) — zgliszcza, pogorzeliśko. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>kować (przestarz.) — kuć. [przypis edytorski]

Chciwość

Bogactwo, Szaleństwo

Szaleństwo

srokę i schwytawszy ją, chciał zjeść. Księżę ma przy sobie okropnych ludzi, którzy są silni i okrutni.

— Skąd mają siły?

— Nie wiem, ale myślę, że nocami ukradkiem gryzą ziemię, są to bowiem barbarzyńcy nawykli do najdziwniejszych pokarmów. Zbierają oni złoto, a kiedy my wreszcie pomrzemy, będą bogaci.

— A czy wy pomrzecie?

— Ach, któż to wie? Jeśli się Bóg nad nami nie zlituje i nie zdejmie z nas klątwy, będziemy znosić męczarnie bez końca. Pan nasz ma dopiero mózg ze złota. Może trzeba będzie czekać, aż się cały zamieni w złotego bałwana i w ten sposób swojego żywota dokończy. Oto wszystko... Ach, szczęśliwi wy jesteście, wy oberwańcy, którzyście wzięli zwyczajny chleb, pachnący pracą, słodki jak trud, mocny jak ogień, na którym go upieczono. Ach, chleba! Chleba! Chleba! Czekaj... Jak to się modlą ludzie?

Chleb

Zapytany o to Jacek poczerwieniał, bo umiał tylko pierwszą połowę pacierza, Placek natomiast zakrzyknął z radością:

— Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!

— Ach, tak, tak! — szepnął gorąco wielki pan i zapłakał złotymi łzami. — Zwyczajnego powszedniego chleba...

Nastąpiło smętne milczenie, bo złoty człowiek zamyślił się głęboko i zmarszczył czoło, jak gdyby chciał sobie na nim wyryć te proste i święte słowa o chlebie.

Wreszcie Jacek odważył się szepnąć:

— Panie, więc tu zostać nie można?

— Jeśli chcecie oszaleć, to zostańcie!

— A czy musimy postradać zmysły?

— Musicie, nie ma ratunku dla człowieka, który widział złoto i który go dotknął.

— Wielu jest przecie bogatych ludzi na ziemi, którzy je mają, a jednak jedzą chleb.

— Ach, tak! Ale myślą nie tylko o złocie albo też podzielią się z kimś jego okruszyną i to ich ratuje. Chociaż i tak wielu jest wśród nich nieszczęśliwych, bo wprawdzie jedzą chleb, za to jednak nie znają snu.

— A wy czy śpicie?

— Ach, nie! My nie śpimy, bo nasz księżę miewa czasem straszne przywidzenia i wtedy krzyczy po całych nocach jak opętany albo każe bić w złote tam-tamy<sup>162</sup>, aby odpędzić widma. Jemu się wtedy zdaje, że to wszyscy ograbieni przychodzą po swoje skarby. Podczas takiej nocy nikt oka nie zmruży... Ach, do stu milionów dukatów<sup>163</sup>! Niewolnicy zmierzają do sadzawki po złote ryby i zaraz je tu przyniosą.

— Przecież je muszą przedtem upiec!

— O nie, bo straciłyby złotą barwę. My je jadamy na surowo.

Po chłopcach przeszedł dreszcz. Z politowaniem patrzyli na złotego człowieka, który smutno jęczał, jakby oczekując tortury.

— Ach! Ach! — płakał żałośnie. — Przeklęte klejnoty, przeklęte złote ryby. Ach, przybądź, śmierci!

— Panie — szepnął Jacek z nagłym postanowieniem — my tu nie zostaniemy.

— Tym lepiej dla was — mówił złoty człowiek, oblewając złotymi łzami każde słowo.

— Ale chcemy cię prosić, abys stąd uciekł razem z nami...

Złoty człowiek przestał nagle płakać i spojrzał na nich podejrzliwie.

— Uciekaj z nami — namawiał zdyszczanym głosem Placek — tam, gdzie jest chleb i gdzie są żywi ludzie.

— Jakże ja mogę uciec? — zapytał stary człowiek z największym zdumieniem.

— Pokażemy ci drogę!

— Uciec?

— Tak, natychmiast!

— I zostawić te skarby?

— Przecie je przeklinasz!...

Złoty człowiek pobladł i zaczął jęczeć:

<sup>162</sup>*tam-tam* — odmiana gongu, azjatycki instrument muzyczny w postaci zawieszanej pionowo metalowej tarczy, w którą uderza się pałką o miękkiej główce. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*dukat* — złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

— Precz ode mnie! Do czego wy mnie namawiacie? Zostawić złoto i perły, i drogie kamienie? Nigdy! Nigdy! Nie chcę! Nie chcę! Och, ja nieszczęśliwy!... O, moje złoto, o, błyszczące perły, o, lśniące diamenty! Za nic nie odejdę, za nic stąd nie odejdę!

Zaczął płakać tak rzewnie, że chłopców ogarnęło zdumienie.

Jacek pokazał niewidocznie palcem na czoło, co miało oznaczać, że złoty człowiek na myśl o utracie złota wpadł w obłęd i za cenę życia nie odszedłby od swoich skarbów. Przestali go więc namawiać do ucieczki, kiedy się zaś nieco uspokoił, Jacek rzekł cichutko:

— Zostańcie, panie, ale my odejdziemy z tego strasznego miejsca.

— Odejdźcie natychmiast!

— Ale prosimy cię bardzo...

— Ach, o co?

— Jesteśmy biedni, nie wiemy, co z sobą począć i za co kupić chleba...

— Chleba? Ach, więc co?

— Prosimy cię pokornie, daj nam jedną ze swoich pereł albo jedno ogniwo z twojego łańcucha...

Jacek nie skończył jeszcze mówić, kiedy złoty człowiek zakrył rękami wiszący na piersi łańcuch, a nogi, które miał obute<sup>164</sup> w ciźmy<sup>165</sup> szyte perłami, zwinął nagłym ruchem pod siebie; na jego twarzy ukazały się z lęku złote krople potu, on zaś cały począł drżeć.

— Daj nam okruszynę złota — prosił Jacek.

Wtedy złoty człowiek uderzył w rozpaczliwy krzyk i głosem pełnym brzęku wołał przeraźliwie:

— Ratunku! Złodzieje! Złoczyńcy! Moje złoto, moje złoto!

Chłopcy spojrzeli z przerażeniem dookoła i ujrzeni, że sennie mary, obudziwszy się z odrętwienia na głos o złocie, zaczynają się poruszać i sunąć ku nim leniwie, z błyszczącymi oczyma i z jadowitymi grymasami na twarzach.

— W nogi! — krzyknął Jacek.

— Ach, w nogi! — wrzasnął Placek.

Skacząc przez złote krużganki, ujrzeni tylko, jak na wysokości złotych schodów ukazało się jakieś straszliwe widmo, całe ze złota, przypominające kształtem człowieka; złoty upiór miał potwornie wykrzywioną twarz, a dojrawszy ich, zaśmiał się przeraźliwym śmiechem i wyciągnął w ich stronę ręce, opatrzone długimi szponami, złociście barwionymi.

— Ach! Ach! Złodzieje! — jęczały złote widma dookoła.

— Ach! Śmierć! Śmierć! — wołały brzękliwym głosem złote kukły.

— Ach! Nasze złoto! — rozległ się przeciągły jęk.

— Ach! Rybojady! — wrzasnął ludzkim głosem Jacek, podczas kiedy Placek jednym uderzeniem głowy w brzuch wyrzucił sennego strażnika przy bramie.

— Ach! Łapać ich! — brzęczał sam książę ze szczytu złotych schodów.

— Ach! Całuj psa w nos! — zawołał Jacek i pognął za Plackiem, aż się zakurzyło za nim złociście.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK OD- BYWAJĄ PODNIEBNĄ PODRÓŻ I W BREW CHĘCI ŁOWIĄ RYBY

Uciekając, zauważyli, że z murów zamku rzucają za nimi czymś ciężkim.

— Stańmy! — zawołał Jacek.

— Po co?

— Bo ci złoci ludzie ciskają czymś z murów.

— To lepiej uciekać!

— Wcale nie, bo ponieważ nie mają nic pod ręką, więc może rzucają złotem.

— Ach, prawda! Właśnie coś leci... Co to takiego?

Tuż za nimi padł w trawę ciężki przedmiot.

— Złoto?

— Zwykły kamień! — zawołał z gniewem Jacek.

<sup>164</sup>obuć (pot.) — włożyć buty na nogi. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>ciźma — lekko wydłużony but z miękkiej skóry. [przypis edytorski]

— Obludnicy! Gdyby przynajmniej cisnął który za nami głową, to można by na niej zrobić majątek. Skąd oni biorą te kamienie?

— Z murów. Patrz, jak się po nich snują jak muchy. O, o! Widzę tego medyka, który nam kazał opowiadać o chlebie. Co on wyprawia?

— Zdaje mi się, że podskakuje jak żuraw i wygraża pięściami. Ładna to wdzięczność za te śliczne rzeczy, które opowiadaliśmy mu o chlebie.

— Całe szczęście, że są to niemrawcy<sup>166</sup> i że ledwie się ruszają, bo źle by było z nami.

— I tak będzie niedobrze. Słyszałeś, co nam mówił ten złocony medyk? Na tysiąc mil dookoła nie ma tutaj ani ludzi, ani osady. Co my zrobimy?

— Trzeba iść...

— Łatwo to powiedzieć, ale trudno zrobić. Nauczyliśmy się wprawdzie chodzić, ale ja już ledwie łażę, tak że jako złoty człowiek, co się snuje jak cień, mógłbym zrobić karierę. Trzeba się będzie w jakiś sposób dostać do ludzi. Znowu jestem przeraźliwie głodny!

— Ach! — zaśmiał się Placek. — Zjadłbyś rybę?

— Rybę?

— Tak, złotą rybę na surowo?

— Kto tu mówił o rybach na surowo? — wrzasnęły ni stąd, ni zowąd dwa głosy.

— Kto to gada? — szepnął Jacek.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Placek, równie załęczniony. — Hej, kto tam pyta o ryby?

— My! — wrzasnął ktoś podwójnie.

— Gdzie wy jesteście i kto wy jesteście?

— Zbliźcie się, to nas ujrzycie!

— Pokażcie się wy najpierw!

— Kiedy nam trudno chodzić... Jesteśmy tu w błocie! Na lewo!

Chłopcy poszli w tym kierunku i ujrzeni dwa ogromne ptaszyska. Stały na krótkich nogach wśród mokradła i patrzyły ciekawie srebrnymi, jakby bezbarwnymi oczyma. Miały długie, potężne dzioby, a pod nimi jak gdyby puste, nadymające się worki; ogon krótki, zaokrąglony, a pierze barwione na różowo.

— Cóż to za straszyla? — zdumiał się Jacek.

— Jakieś strasznie śmieszne figury — rzekł Placek.

Ptaki ujrawszy chłopców, skinęły im poważnie głowami na powitanie i widocznie na znak uszanowania wydeły powietrzem worki na wylupiastej piersi.

— Czy to wy mówiliście o surowych rybach? — zapytał jeden z nich.

— Tak, to my — odrzekł Jacek. — Czy to się wam nie podoba?

— Przeciwnie, niezmiernie nam się podoba. Czyż jest na świecie coś bardziej smacznego niż ryba? Zaiste, panowie, nie znam wyborniejszej potrawy.

Drugi na wzmiankę o rybach podniósł lewą nogę i pacnął nią w błoto jak szeroką łopatą, nie wiadomo czemu, i skłonił się z wielką powagą.

— Moje uszanowanie! — rzekł Placek. — Zdaje się, że mnie się kłaniałeś?

— Mogę to uczynić — wrzasnął drugi ptak. — Tym razem jednak oddałem hołd miłym wspomnieniom i tym dniom, kiedy po raz ostatni jedliśmy ryby.

— To wy się żywicie rybami?

— Czynimy im ten zaszczyt. Zjadamy czasem młode pisklę kurki wodnej<sup>167</sup> lub innej wodnej hołoty, co ma skrzydła, ale ryby są naszą potrawą narodową. Są to stworzenia miłe, łagodne i nie robią niepotrzebnego krzyku, kiedy się je zjada.

— Czy wolno wiedzieć, jak was zowią?

Oba ptaki potrząsnęły ogonem, położyły głowy na plecach, wydeły worki, słowem, przybrały pozę pełną godności i wdzięku. Potem jeden wrzasnął:

— Pochodzimy z rodu pelikanów, a jak sami widzicie, jest to ród wspaniały, pełen powagi i wybitnie przystojny. Nie ma wśród ptaków tej ziemi bardziej nadobnych, zgrabniejszych i bardziej wytwornych.

— Czy przypadkiem — rzekł Placek — wasze nogi nie są zbyt krótkie?

<sup>166</sup>niemrawiec — osoba niezdarzna; ciamajda. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>kurka wodna — średniej wielkości ptak wodny. [przypis edytorski]

— Nasze nogi? Cha! Cha! Słyszysz, bracie pelikanie, co mówi ten młodzian? My mamy najzgrabniejsze nogi, jakie sobie tylko można wymarzyć! Są wśród ptaków rozmaite podejrżane indywidua<sup>168</sup>, które chodzą na długich nogach: rozmaite bociany, czaple, flamingi i żurawie... Zdaje mi się, że tak się nazywają te figury pływające na szczydłach i na tyczkach, które służą zapewne żabom jako gimnastyczne przyrządy do wspinania się. Bocian tak się wstydy swoich długich kulasów<sup>169</sup>, że czasem stoi na jednym tylko, a drugi chowa wstydliwie pod brzuchem. Nie, młodzieńcze! My, jako prawdziwi arystokraci, żyjemy na wielkiej stopie i na szerokiej stopie.

Mówiąc to, bardzo się napuszył, nastroszył różowawe pióra i wielkim wiatrem słusznej dumy nadął worek gardzieli. Drugi uczynił to samo tak śmiesznie, że chłopcy klasnęli w dłonie.

— Dziękuję wam za uznanie! — rzekł pelikan. — Widzę, że nas oklaskujecie... Wracajmy jednak do rzeczy. Idąc tutaj, wspominaliście coś o rybach... Na sto tysięcy karasi i jednego okonia! W głowie mi się zakręciło, kiedy usłyszałem to słowo.

— Czy tak dawno nie jedliście ryb?

— Gdybym się nie wstydził łez — odrzekł wrzaskliwie pelikan — tobym ci powiedział, że już po dwakroć psy wyły podczas pełni księżyca od czasu, kiedy po raz ostatni połknąłem mizerną płotkę, w której było więcej ości niż smakowitego ciała.

— Czy taki jest na ryby nieurodzaj?

— To też jest powodem naszej wstrzemięźliwości, najbardziej jednak winne jest wszystkiemu suche lato: stawy wyschły, rzeki ledwie się sączą, na moczarach żaba nie mogłaby się utopić. Połowa młodych pelikanów byłaby wyginęła, gdyby nie nasz obyczaj, że matki pelikanów karmią swoje dzieci własną piersią, rozorawszy ją ostrym dziobem.

— Czy to prawda? — zapytał zdumiony Jacek.

— Prawda — odrzekł pelikan. — Ludzie wprawdzie uważają to za bajkę, ale człowiek nie jest zdolny do pojęcia takiej ofiary i nie może zrozumieć, że matka własną krwią potrafi nakarmić dziecko.

— Kto wie, kto wie... — rzekł Jacek jakby sam do siebie.

— Widzę, że nam wierzysz — wrzasnął pelikan — co ci zaszczyt przynosi. Zapewne też litujesz się nad nami, słysząc, od jak dawna nie widzieliśmy rybiego ogona.

— Żal nam bardzo! — rzekł Placek.

Pelikany skłoniły się głęboko i kłapnęły dziobami.

— To na waszą cześć! — rzekł jeden z nich. — Ale mówcie nam o rybach... Czy macie jakie o nich wiadomości?

— Owszem — odrzekł Jacek — ale nie mogę wam wszystkiego powiedzieć, zanim się nie naradzę z moim dostojnym bratem. Bądźcie cierpliwi, a wiele was czeka rozkoszy!

— Czyń, co zechcesz, szlachetny młodzianie!

Jacek skinął na Placka, odeszli na stronę i długo szeptali z nadzwyczajną powagą, widząc, że pelikany przypatrują się im uważnie. W kilku słowach porozumieli się szybko i wrócili do ptaków.

Jeden z nich wrzasnął:

— Ach, jakież szczęśliwe spotkanie! Skąd przybywacie, panowie? Czy mieliście dobry połów i czy ryby są wesołe w tym kraju?

Chłopcy spojrzeli na nich jak na takich, co nagle postradali rozum.

— Jakie spotkanie? — rzekł Jacek. — Jakie ryby? Przecież byliśmy ciągle razem i nie łowiliśmy ryb.

Pelikany zarechotały z wielkiej uciechy.

— Wiemy o tym, oczywiście, ale wśród pelikanów jest taka moda, aby się witać przy każdej sposobności i pytać o ryby.

— To bardzo piękny zwyczaj — odrzekł Jacek. — Witamy was czule, połów mieliśmy znakomity, a ryby aż skakały z uciechy.

— Cieszy nas to niewypowiedzianie! Czy powiecie nam, nad czym radziliście tak mądrze, że aż słońce przygasło wobec jasności waszych rozmów? Czy mówiliście o rybach?

— Tak, nasza rozmowa była całkowicie postna.

<sup>168</sup>indywiduum — poszczególna osoba, postać, osobnik. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>kulas (pot.) — noga. [przypis edytorski]



— To jest piękne słowo! — wrzasnął pelikan. — Czy dowiemy się, o co idzie rzecz?  
— Otóż, szlachetne pelikany — rzekł Jacek — my wiemy o takim miejscu, gdzie się znajduje niezmierna ilość ryb.

Ptakom wylazły na wierzch bezbarwne oczy.

— Ile ich może być?

— Gdybyście — mówi Jacek — zjadali ryby przez sto lat przez jeden dzień i noc, po stu latach byłoby ich więcej niż przedtem, bo przez ten czas narodziłyby się nowe. Tysiąc pelikanów nie mogłoby przez tysiąc lat zjeść ich nawet połowy.

— Ha! Ha! Ha! — zarzęziły ptaki.

— Czy nam nie wierzycie? — zapytał Jacek obrażony.

— Przeciwnie! Wam wierzymy, ale nie dowierzamy sobie. Nie wiesz chyba, szlachetny młodzianie, co potrafi pelikan! Za tydzień nie byłoby śladu z rybiego ogona!

— Tak jesteście żarłocznicy?

— Jest to słowo nieodpowiednie dla takich jak my, wytwornych ptaków. Nie będziemy tego jednakże ukrywali, że mamy znakomity apetyt, co jest oznaką zdrowia i czystego serca. Ludzie lubią jednak przesadę i kiedy pelikan zje na przekąskę sto funtów<sup>170</sup> ryb, zaraz robią na ten temat plotki i wymyślają nam od żarłoków. A przecie gdyby nie my, ludziom groziłaby zagłada, bo ryby tak by się rozmnożyły, że mogłyby pożreć ludzi.

— Czyżby?

— Tak jest, szlachetny młodzianie! Prawdziwa zasługa nigdy jednakże nie znajduje uznania. Wy jednak okazaliście nam wiele życzliwości i chcecie nam pokazać miejsce, gdzie jest wiele ryb. Czy to daleko stąd?

— W tym sęk, że bardzo daleko!

— Czy są tam piękne ryby?

— Nigdyście takich nie widzieli!

— I tak jest ich wiele?

— Niedługo zabraknie dla nich wody.

— A czy są tam pelikany?

— Nie widzieliśmy ani jednego.

— To wielkie szczęście!... To jest... Ach, źle się wyraziłem... Szkoda, że tam nie zobaczymy naszych krewnych. I pokażecie nam to miejsce?

— Z przyjemnością!

— Kwiecie młodzieży, powiedz nam jeszcze, czy są tam karasie?

— Karasi jest najwięcej.

— Ha! A czy są liny?

— Linów jest jeszcze więcej niż karasi!

— Królu ryb! A czy są tam tłuste karpie?

— Karpi jest więcej niż linów i karasi razem!

— Och! Och! Wspaniały lewiatanie<sup>171</sup>! A czy są szczupaki z długim pyskiem?

— Szczupaków jest dziesięć razy tyle co karpi.

— Och, nie mów dalej, bo już dostałem zawrotu głowy. Może są nawet sandacze?

— Sandacze? Jest ich tyle, że woda występuje z brzegów...

— Podtrzymaj mnie, bracie pelikanie, bo zemdleję, choć widzę, że i ty się ślaniaasz. Ale, ozdobo człowieczeństwa, nic nie mówiłeś mi o tym, czy są tam sumy?

— Jest ich tyle, że ich wąsy przeszkadzają innym rybom w pływaniu.

— To ponad moje siły! — wrzasnął pelikan. — Powiedz mi jeszcze, ozdobo świata, czy wy jadacie ryby?

— Przenigdy! — rzekł Jacek.

— Och, och! — stęknął pelikan z zachwytem. — Byłem w Afryce, przeleciałem lądy i morza, ale nie widziałem takich dobroczyńców jak wy. Więc te wszystkie ryby będą należały do nas?

— Róbcie z nimi, co się wam podoba!

Oba pelikany stęknęły z nadmiernego wzruszenia, potem trąciły się dziobami i zaczęły kręcić się na błocie ze śmiertelną powagą, przymknąwszy oczy i wydąwszy gardziele.

<sup>170</sup>funt — anglosaska jednostka wagi równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>lewiatan — legendarny potężny potwór morski. [przypis edytorski]

— Co wy wyprawiacie? — zapytał Placek.  
 — Tańczymy taniec radości, nazywa się on „tańcem zdechłej ryby”.  
 — To bardzo piękny taniec! — rzekł Jacek.  
 — Kiedy go tańczymy, drżą ryby całego świata — rzekł Pelikan. — Ale teraz czas w drogę.  
 — Tak — rzekł Jacek. — Tylko jest jedna trudność...  
 — Nie zakrwawiaj nam serca! — krzyknął pelikan. — Więc nie ma tam ryb?  
 — Ryby są, ale jak my się tam dostaniemy?  
 — Przez powietrze.  
 — Wy, oczywiście, przez powietrze, ale my musielibyśmy iść piechotą. Wprawdzie wy też chodzić umiecie doskonale...  
 — Twoje twierdzenie jest szlachetne, bo i w tym względzie opinia powszechna jest przeciwno nam. Ale nie lubimy podróży pieszo.  
 — Sprawa jest ciężka — rzekł Jacek. — Wy szybko polecicie, my będziemy powoli wędrować, więc stracimy się nawzajem z oczu.  
 — To nie może być! — krzyknął pelikan.  
 — Jest jednak rada...  
 — Mów czym prędzej, władco sandaczów!  
 — Moglibyśmy odbyć tę długą drogę w niewiele godzin, gdybyście nas ponieśli. Czy potraficie nas udźwignąć?  
 Pelikany obejrzały ich bezbarwnym wzrokiem, a jeden z nich rzekł:  
 — Myślę, że uniesiemy was łatwo, bo ważycie niewiele, chyba że macie jakieś ciężkie zmartwienie.  
 — Jesteśmy bardzo weseli.  
 — Radość nie jest ciężka. Zabierzemy was. W którą stronę trzeba lecieć?  
 — Wciąż na zachód.  
 — To tam, gdzie zdąży słońce?  
 — Prosto jak strzelił.  
 — Wypluj, młodzieńcze, to brzydkie słowo; nie należy strzelać tam, gdzie można trafić w pelikana. A jak długo trzeba lecieć?  
 — Ja myślę, że na rano możemy stanąć.  
 — Doskonale, ryby najlepiej smakują na śniadanie. Siadajcie, szlachetni młodzieńcy. Żaden człowiek nie jeździł jeszcze na pelikanie, przynajmniej nie zdarzyło się to w naszej rodzinie.  
 Chłopcy, choć bardzo pragnęli tej jazdy, zawahali się.  
 — Nie wznoscie się zbyt wysoko — rzekł z drżeniem Jacek.  
 — Ani nie wywracajcie koziolków — dodał Placek.  
 — Nie mamy tego zwyczaju! — wrzasnął pelikan. — Takie sztuki wyprawiają jedynie nierozumne gołębie! Siadajcie!  
 Z wielkim strachem usiadł najpierw na jednym pelikanie Jacek, z jeszcze większym siadł na drugim Placek.  
 — Siedzicie?  
 — Siedzimy... — rzekł Jacek za pomocą nagłego kłapięcia zębów.  
 — Trzymajcie się mocno! Jazda, bracie pelikanie!  
 Ptaki podniosły się ciężko, stęknąwszy pod niezwykłym ciężarem, za chwilę jednak płynęły już równo na mocnych skrzydłach. Chłopcom wydało się, że ziemia nagle zatoczyła się jak pijana, a potem zaczęła uciekać w tył z ogromnym pośpiechem. Wiatr zagwizdał im w uszach, zakręciło im się w głowach. Kurczowo ściskali nogami swoje skrzydlate rumaki i patrzyli z przerażeniem, jak nagle maleją drzewa i jak wszystko pod nimi w dole się kurczy, a nad nimi w górze wszystko się rozszerza.  
 — Powoli! — wrzasnął Jacek.  
 Pelikan pędził jednak w szybkim locie i nie słyszał tego okrzyku, który wiatr porwał Jackowi z warg i poniósł przez powietrze jak zeschnięty liść. Drugi ptak leciał opodal równie szybko, a na nim z rozwianym włosiem Placek, bardzo błady, bo właśnie pomyślał, że gdyby teraz zleciał, toby spadał w dół chyba przez godzinę.  
 Pelikany wzbily się wysoko, tak iż zdawało się chłopcom, że niedługo uderzą głową o niebieski pułap nieba.

W tej chwili nadpłynął obłok wędrujący po nim samotnie jak żaglowiec, co się wałęsa dla przyjemności po lazurowym morzu.

— Uważaj! — krzyknął Jacek. — Chmura!

Pelikan jednak godził lotem wprost na nią, przebił ją dziobem jak oszczepem i przeleciał przez nią jak przez mgłę.

Kto by patrzył z dołu, ten by myślał, że dwa ptaki gonią i słońce, bo leciały wprost na nie, więc słońce jakby się przestraszyło tego pościgu i zaczęło zniżać się czym prędzej, aby się ukryć w palmowym, pierzastym lesie chmur.

Chłopcy nie widzieli już ziemi, tylko niezmierne, głębokie wgłębienie, nalane zielonym kolorem. Wiatr, świszcząc z radości, leciał obok nich, a pod nimi i dookoła nich rozlało się przedziwnie barwione morze chmur: błękitne dale, liliowe łąki, ogniste góry, drogi tęczowe, smugi świetliste. Po jakimś czasie poczęło to wszystko gasnąć i jakby zalewać się krwią. Potem ujrzeni, że słońce nagle stało się ogromne, że złotego niezmiernie czerwone, i zaczęło zapadać w jakąś bezdenną przepaść. Wraz spłynął z nieba przenikliwy chłód i mrok zaczął padać jak rzęsy deszcz. Jeszcze chwila, a uczyniło się strasznie, bo nic nie było widać ani w dole, ani w górze i żadnych nie było słychać głosów, tylko przeciągły szum wiatru i ciężkie łopotanie skrzydeł. Jacek spojrzął w bok i dojrzał z trudem białą plamę drugiego pelikana, ale już nie mógł dojrzeć Placka. Lęk go ogarnął w tym przeraźliwym pustkowiu i rozpacz, że nagadawszy pelikanom bajek o rybnych wodach, sam się wplątał w tę latającą awanturę, która nie wiadomo jak się skończy.

„Co to będzie — myślał z niepokojem Jacek — kiedy rano się pokaże<sup>172</sup>, że nie ma żadnej wielkiej wody ani ryb? Och, po co tyle nakłamałem? Zgłodniałe pelikany, nie znalazłszy ryb, zatłuką nas dziobami i pożrą jak dwa karasie. A tu ani uciec, ani nie można wymyślić żadnego podstępu. Och, co to będzie? Co to będzie?”

W tym momencie poczuł, że pelikan nagle zniżył lot i że leci z trudem.

„Coś się w nim popsulo” — pomyślał Jacek z przerażeniem.

Wtedy usłyszał wrzask pelikana:

— Hej tam, szlachetny młodzianie! Musisz mieć jakieś ciężkie zmartwienie i ciężkie myśli, tak że cię nie mogę unieść. Racz myśleć wesoło, bo zlecimy obaj!

„Zginałem! — pomyślał Jacek. — O czym to ja będę myślał wesołym? Trzeba nam było tego? Źle nam było u matki? Po co uciekaliśmy jak złoczyńcy?”

— Już jest lepiej! — zatrząbił dziwacznym głosem pelikan, wznosząc się w górę.

Jacek się zastanowił.

„Zaledwie — myślał — wspomniałem matkę, jakoś raźniej uczyniło mi się na duszy. Co w tym jest? Czy to słowo ma skrzydła? Więc będę myślał o matce...”

— Już mi nie ciężysz! — zakrzyknął, głowę zadarłszy, pelikan.

A Jacek poczuł, że w tej chwili o niczym innym już myśleć nie zdoła, tylko o matce. Z czerni mroku wyjrzała ku niemu słodka, uśmiechnięta, rzewna twarz matki. Nigdy jej takiej nie widział ani nie wiedział, że jest taka piękna, opromieniona niezmierną dobrocią. Patrzyły w niego oczy wyblakłe, zmęczone, lecz patrzyły z taką miłością, że aż bił od nich blask. Pod nimi zaś, ku dołowi twarzy znaczyły się dwie bruzdy, jakby wyorane; teraz je dopiero zobaczył i zadrżał, bo zrozumiał, że są to drogi, którymi toczą się łzy. Coś go zabolalo w sercu: napłynęła w nie gorąca fala krwi i musiało ono zmięknąć, owiane nagłym gorącym wspomnieniem, lodowate dotąd i zmrożone. Nigdy nie myślał o matce tam, na nizinach, a jeśli niedawno jeszcze przyleciała ku niemu myśl o niej, jak przylata<sup>173</sup> motyl, zabijał ją jak lekkoskrzydłego motyla. Teraz dopiero po raz pierwszy tu, na niezmiernych wysokościach, opłatały go te myśli, wśród chmur ponad ziemią. Pomyślał, że matka wypełnia cały świat i całe niebo, bo skąd by inaczej zjawilo się na tych chmurach srebrne widmo matczynej twarzy? Jacek poczuł, że wiatr odrywa mu z serca lęk jak zeschnięte liście i niesie przez przestworza, a w miejsce lęku napływa ufność i jakaś słodycz. Niczego nie rozumiał, bo nie umiał rozmyślać poważnie. Nie umiał znaleźć przyczyny tego rzewnego uczucia, pojął tylko, że myśl o matce nie tylko że nie jest przykra, lecz czyni jakieś cudy.

Postyszał obok szum skrzydeł i usłyszał głos:

— Jacku! Mój ptak słabnie... Boję się!

<sup>172</sup>pokazać się (daw.) — okazać się. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>przylatać (daw.) — przylatywać. [przypis edytorski]

— Pomyśl o matce! — krzyknął w tę stronę.

Był szczerze uszczęśliwiony, że mógł poratować brata tą dziwną radą.

Była już zupełna noc. Pelikan leciał nieumęczone, płynąc jak biały okręt przez burzliwe morze ciemności, kierując się tajemną mądrością ptaków, tak jak żeglarze nieomylną busolą<sup>174</sup>. Zapamiętał się w locie i podbierał pod skrzydła wiatr, jęczący i świszczący. Wzmagął się on z każdą chwilą i przybierał na sile. On to, widać, zdmuchnął gwiazdy jak pełgające<sup>175</sup> płomyki oliwnych lampek, bo świat zaległa ciemność nieprzebita, ciężka i smutna. Stał się on otchłanią bez dna i granic, tak straszliwą, jaką czasem jest boleść człowieczego serca.

Nagle gdzieś z dali począł się toczyć głos, coraz większy i straszliwszy, jak pełne gniewu warczenie, co się wzmaga i wzmaga, aż się zmieniło w niezmierną górę, co się zwałała z rykiem na cały świat. To lew burzy, śpiący gdzieś na pustyni nieba, na oazie kłębiastych chmur, obudził się i głosem grzmotu oznajmił struchlałemu światu, że za chwilę rozpocznie łowy i będzie zabijał piorunem. Łomot straszliwego ryku uderzył w chmury, co skłębione z trwogi, poczęły się przewalać w czarnym tłumie jak potworne owce, gonione tym głosem na oślep.

Jacek poczuł, że ptak drgnął i zawahał się na skrzydłach, potem, jakby zebrawszy siły, cisnął się w odmet powietrza rozpaczliwym lotem.

„Idzie burza!” — pomyślał Jacek zaleknioną i bladą myślą.

Lew niebieski, nabrzmiały gniewem, ochryply, od głodu niecierpliwy, ryknął po raz drugi czarną gardzielą, aby trwogą porazić świat. Pędził po otchłani chmur, przeskakując w grzmiących susach z jednej na drugą, bo słycać go było coraz bliżej. Wiatr począł skomleć z przestachu jak pies, co lwa posłyszysz, i uciekał z głośnym lamentem od chmur ku przerażonej ziemi. Niebo niezmierne napełniło się grzmiotem głosu, co dudnił pod jego sklepieniem; kiedy zaś zwierz burzliwy ryknął raz jeszcze, musiało pęknąć to czarne sklepienie i rozdarło się od wschodu na zachód niezmierną, wijącą się jak wąż rysą, przez którą uderzyły oślepiające blaskiem ognie niebieskie. Na jeden moment cały świat stanął w płomieniach i stało się widno. Jacek ujrzał przerażonym okiem niezmierne odmetry, zbałwanione morze chmur przewalających się przez siebie w popłochu, a w oddali jak biały liść, z którym igra burza, ujrzał pelikana, na którym leciał Placek.

Rozpętała się straszliwa nawałnica: burza grzmiała, jakby ktoś strzelał nieustannie z tysiąca tysięcy armat, wzniecając na niebie pożary, bo raz w raz stawało całe w ogniu i gasło; pioruny, rycząc, goniły się po czarnych odmetach i plątały się czasem tak jak złote żmije. Szał walki opętał wszystko, bo chmury, dopadłszy się w zawrotnym wirze, otwierały się i ciskały w siebie białym, oślepiającym pożarem: jedna drugiej orała pierśi rozpalonym do białości grotom pioruna i toczyła z niej purpurową krew ognia. Jęk i głębokie szlochanie napełniły przestworze, aż niebo pobite wojną żywiołów, stratowane cwałowaniem piorunów, oślepione błyskawicami aż do śmiertelnego bólu, zwiśło ku ziemi w zrozpaczonej bezsile i zaczęło płakać deszczem łez, rzęsistym i niepowstrzymanym.

Jacek czuł, że jego ptak, jak on bity ulewą, coraz bardziej zniża się ku ziemi, którą widział w rozelsnieniu błyskawic, jakby przyczajoną i wtuloną w siebie, żałośnie rozszumianą i jakby załamującą rozpaczliwie ręce drzew ponad głową. Burza pragnąca ruszyć ziemię z posad pewnie nie raczyła nawet spojrzeć rozżarzonymi źrenicami błyskawic na tych dziwacznych wędrowców, jeśli dotąd nie zabiła ich jednym oddechem albo biczami dżdżu. Mogło się to stać jednakże każdej chwili, jeśli ich dojrzy. Zarechoce wtedy ogromnym śmiechem na ich widok, tchnieniem podrzuci pod niebo, a potem dla igraszki praśnie<sup>176</sup> nimi o ziemię i zamieni w proch. Wiedział o tym i Jacek, i Placek. Więc pierwszy raz w życiu, jeden nie wiedząc, że drugi czyni to samo, zaczęli się modlić, i to modlić żarliwie. Jacek odmawiał *Ojcze nasz* aż do miejsca, do którego umiał, a potem ze wstydu, z oczyma pełnymi łez, które same się w nich zjawily, dodał bezgłośnie:

— Nie umiem dalej... O, matko moja, dokończ za mnie.

A Placek, niesiony opodal wichrem, modlił się i mówił:

<sup>174</sup>*busola* — przyrząd do wyznaczania kursu; podobnie jak kompas jest pudełkiem z igłą magnetyczną i podziałką, ale dodatkowo posiada przyrząd celowniczy pomagający w wyznaczeniu azymutu, czyli kąta pomiędzy wybranym kierunkiem (np. marszu) a północą. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*pełgać* — palić się słabo, świecić nierówno. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*praśnieć* — rzucić coś. [przypis edytorski]

— Zaczynj za mnie, o matko, a ja nieszczęsny dokończę.

Pelikany, równie przerażone jak oni, niosły ich ostatkiem sił. Krótki jest jednak gniew wspaniałych żywiołów, więc kiedy już się zdawało, że śmierć nieuchronna idzie od chmur na ptaki i na chłopców, burza zelżała i potoczyła się gdzieś w nocne przepaście na dudniącym wozie, który koła ma z grzmotów, a błyskawice jako konie. Ukazało się czyste niebo, zamigotały gwiazdy, blade jeszcze z załęku<sup>177</sup>, ale przezyste, jak gdyby obmyte w burzy. Wy płynęła złota łódź księżycy: na struchlałą ziemię spłynęło ukojenie.

Ptakom przybyło sił, a chłopcom otuchy. Zbywszy lęku, szybko zapomnieli o strasznych chwilach, o rzewności w sercach i o skrusze, co odmawiała modlitwę. Zdawało im się jeszcze przez chwilę, że wśród odlatujących obłoków, które już księżyc osrebrzył, odlatuje na srebrnych smugach jakieś cudowne widmo, ale wkrótce przestali o nim myśleć. Już byli bezpieczni i lecieli w powietrzu pachnącym, bo od ziemi, dymiącej jak kadzielnica<sup>178</sup>, były aż ku nim rozkoszne wonie.

Lecieli tak przez miesięczną noc jak duchy. Jacek dojrzał czasem, jak Placek szybuje z jego prawej strony i pozdrawia go ręką. Księżyc, który wiele widział, patrzył po raz pierwszy ze zdumieniem na dwa śmieszne ptaki, którym wyrosły garby w postaci dwóch chłopców.

Pelikan Jacka, zadartszy głowę, wrzasnął:

— Czy daleko jeszcze?

— O, nie! — odrzyknął Jacek. — Już widać wodę.

Daleko, na widnokręgu, rozlały się jakieś srebrne wody szerokim kręgiem dokoła ziemi. Jacek wiedział, że to świt, co mgłami oddycha, podnosi się z dalekich głębin i rzuca różnokolorowe kwiaty na drogi, którymi za niewiele chwil słońce będzie się pięło na kryształową górę nieba; z daleka wyglądało to jak wielkie wody, co grają tęczowymi kolorami. Z prawej strony tryskała już w niezmiernej oddali fontanna promieni bijących ze słonecznego źródła.

„Teraz będzie awantura! — pomyślał Jacek. — Jak by tu zwiąć?”

Spojrzał w dół i poczuł mrówki na ciele. Zelgać było łatwo, ale jak się teraz z tego wywikłać? Nie będą przecie lecieć tak do skończenia świata, a ryby nie wyrosną na drzewach. Najgorsze było, że pelikany w kwestii rybnej okazały dziwną drażliwość i wrażliwość, więc trudno byłoby im wytłumaczyć, że kamienie są rybami.

Słońce już się podniosło, obmywszy swoją złotą twarz w kryształowych rosach. Chłopcy wyciężali wzrok, wypatrując ziemi jak majtkowie<sup>179</sup> Krzysztofa Kolumba<sup>180</sup>. Oni mieli ziemi dość, szukali natomiast wody.

Kiedy się tego najmniej spodziewali, oba pelikany, niedaleko siebie lecące, zatrąbiły nagle podniesionym wrzaskiem:

— Ryby! Ryby!

— Gdzie widzicie ryby?

— Jeszcze ich nie widzimy, ale czujemy ich woń. Ryby! Ryby!

Po chwili przyspieszyły lot, a chłopcy ujrzeli w oddali jakby leżące na ziemi zwierciadło.

— Woda! — krzyknął Placek przez powietrze. Jacek się zdumiał i rzekł sam do siebie:

— Pierwszy raz w życiu powiedziałem prawdę, ale tylko przypadkiem.

Pelikany najwidoczniej oszalały: pędziły potężnym lotem, wydając dziwaczne okrzyki.

— Wolniej! Wolniej! — wołał Jacek. — Wysadźcie nas na ziemię.

— Ryby! Ryby! — wrzeszczały ptaki i zapomniawszy o chłopcach, zaczęły opadać kolistym lotem do wody.

— Ratunku! — krzyczał Jacek.

— Na pomoc! — wrzeszczał Placek.

— Ryby! Ryby! — trąbiły pelikany.

<sup>177</sup>załęk (daw.) — lęk. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>kadzielnica — naczynie, w którym spala się kadzidło. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>majtek — marynarz niższej rangi, wykonujący najprostsze prace na statku. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>Kolumb, Krzysztof, właśc. *Cristoforo Colombo* (1451–1506) — żeglarz i nawigator nieustalonej narodowości, kapitan czterech wypraw pod flagami Katalonii i Hiszpanii, podczas których dotarł do wybrzeży nieznaney wówczas w Europie Ameryki i odkrył m.in. wyspy Bahama, Kubę, Haiti, Gwadelupę oraz Jamajkę. [przypis edytorski]

Zawirowało w powietrzu, potem bryzgnęła woda, pelikany dały nurka, a chłopcy...

— O, Jacku!

— O, Placku!

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK UJ- RZELI WIELKIE SERCE

Gdyby chłopcy spadłszy spod nieba, utonęli, może by się nikt taki nie znalazł, co by ich pożałował. Byłaby to wielka kara, ponad miarę, a karać nigdy zbyt nie należy. Wiele oni uczynili złego, siejąc za sobą na swojej drodze przykrości i smutki, lecz nikt prócz Boga nie wie, co się dzieje w sercu człowieka. Może też w tych dwóch sercach, co jeszcze nie rozkwitły, ukryte jest ziarenko szlachetnej rośliny? Może te oczy, co wypatrywały dotąd tylko psot i figlów, spojrzą kiedyś radośnie i obmyte łzami przejrzą?

Może z tych chłopców wyrosną jeszcze dzielni ludzie?

Zawarła się nad nimi woda, wysoko plusnąwszy. Może jednak ktoś daleko, daleko od tego miejsca, modlił się za nich w tej chwili, bo kiedy śmierć czająca się na dnie topieli już wyciągnęła po nich swoje długie ręce, ktoś inny chwycił ich rękoma za włosy i wydarł śmierci.

Kiedy nierozumne pelikany, obłąkane z radości na widok dawno niewidzianej wody, zapomniawszy, że niosą na grzbietach dwóch chłopaków, spadły z łomotem skrzydeł na fale, oni zaledwie mogli krzyknąć, lecz woda zalała ich słowa. Usłyszał jednak ten krzyk młody człowiek, co dźwigał w ramionach jakiś ciężar i od niejakiego czasu z ciekawością przypatrywał się dziwnym ptakom i jeszcze dziwniejszym jeźdźcom. Widząc, co się stało, złożył swój ciężar pieczołowicie na ziemi, sam zaś bez chwili namysłu skoczył w fale, tnąc je silnymi ramionami jak parą wiosł.

Po chwili dojrzał wynurzające się na powierzchnię dwie głowy, więc chwycił w garście ich czupryny i ciężko dysząc z wysiłku, wyciągnął na brzeg dwóch topielców, którym brakło trzech ćwierci do śmierci.

Zdumiał się nieco, ujrawszy dwa ludzkie egzemplarze niezmiernie do siebie podobne, lecz pomyślawszy, że nie czas teraz na zdumienie, zaczął usilnie pracować nad przywróceniem ich do życia. Ułożywszy ich na piasku jak śnięte ryby, biegał od jednego do drugiego i pracował ciężko nad wprowadzeniem do ich płuc powietrza. Od czasu do czasu, przypomniawszy sobie o skutecznym sposobie ratowania topielców, chwycił raz Jacka, a raz Placka za nogi, ustawiał ich w pozycji odwrotnej, głową na dół, i mocno tarmosząc, wytrząsał z nich wodę. Jest to operacja dosyć przykra, ale wedle powszechnego mniemania wcale skuteczna, co się okazało i teraz: po wielu bowiem takich zabiegach dwie nakrapiane dusze wróciły — choć bardzo niechętnie — w swoje, nakrapiane na froncie twarzy, mieszkania.

Jacek otworzył lewe oko, Placek otworzył prawe.

Patrzyli na boży świat z niejakim zdumieniem, z głupawą miną, jak gdyby dobrze nie rozumiejąc, gdzie są i co się im przydarzyło. Ciężko i z trudem chwyтали otwartymi ustami powietrze, jak wyjęte z wody karpie, wreszcie zdecydowali się na otwarcie drugiego oka.

Z przestraszeniem spojrzeli na ogromne jezioro, na którym szalały w żarłocznym napadzie dwa pelikany, spojrzeli z ciekawością na siebie, po czym rozejrzeli się dookoła. Ujrawszy młodego człowieka, co zziąjany ocierał sobie dłonią perlisty pot z czoła, zrozumieli, że jest to ich wybawca.

Uśmiechnął się do nich i rzekł:

— Ale miałem z wami robotę!

Chłopcy widzieli po poruszeniu warg, że coś do nich mówi ten człowiek, ale nic nie słyszeli.

— Czy mówisz do nas? — zapytał Jacek.

— Mówię, że wróciliście z daleka i że ciężką miałem z wami robotę.

— Placek, czy ty słyszysz? — zapytał Jacek.

Placek przyłożył zwinętą dłoń do ucha i rzekł:

— Czy mówiłeś co do mnie?

Na to Jacek:

— Widzę, że coś gadasz, ale ja nic nie słyszę.

Spojrzeni z przestrachem na młodego człowieka, który uśmiechnął się i rzekł:

— Widać, że nie wszystką wytrzymałem z was wodę.

Zrozumiawszy, że nie słyszą, pokazał im na migi, że wedle jego rozsądnego zdania mają jeszcze wodę w uszach, co przeszkadza cokolwiek w zawiązywaniu przyjacielskiej rozmowy.

— Aha! — zawołał Jacek. — Rozumiem.

— Woda w głowie! — krzyknął Placek. — Rozumiem.

Podnieśli się z trudem, a poczuwszy, że naturalna pozycja, nogami ku ziemi a głową ku górze, bardzo pomaga przy odzyskaniu sił, zaczęli wykonywać gwałtowne, coraz żywsze ruchy. Stojąc na jednej nodze, skakali wysoko, głowę przechylając raz w jedną, raz w drugą stronę. Tak czasem żuraw, kiedy jest opętany jakąś nagłą i niepojętą radością, zaczyna tańczyć na jednej nodze, ku uciechu wszystkich ptaków przyglądających się tej pływawicy. Zabieg ten okazał się równie pożyteczny, jak pocieszny, bo chłopcy poczuli wkrótce, jak im ciepła woda wylała się z uszów i nagle cały świat im zaśpiewał. Uradowani spojrzeli na swojego wybawcę.

— Czy już słyszycie? — zapytał młody człowiek.

— Już! — krzyknęli radośnie.

— Teraz wszyscy trzej musimy wyschnąć na słońcu. Chodźcie, chłopaki, nieco dalej, bo tam zostawiłem swoją matkę.

Chłopcy, nie wiedząc, co to wszystko oznacza, poszli za nim. Poprowadził ich opodal, gdzie u stóp drzewa, oparta o jego pień, siedziała kobieta. Spojrzała na nich łagodnie i z radością.

— Cieszę się — rzekła dobrym głosem — że was Bóg pozwolił wyratować.

Chłopcy spojrzeli na nią długim spojrzeniem, potem uczynili coś, czego nie uczynili jeszcze w swoim życiu: przyklękli z dwóch stron i ucałowali jej ręce. Jej syn patrzył na ten postępek z rzewną radością. Ona zaś rzekła:

— Nie mnie dziękujcie, o dzieci, nie mnie, ale synowi mojemu. On dla was naraził życie, ale też nikt nie ma takiego jak on serca.

— Nie mów tak, najdroższa matko — rzekł, zarumieniwszy się, młody człowiek. — Nikt nie ma takiej jak ja matki.

Spojrzał na nią z miłością tak gorącą i tkliwą, że gdyby to spojrzenie trwało chwilę dłużej, musiałyby się zamienić w wielką i czystą łzę.

Chłopcy patrzyli na nich ciężko zamyśleni, wreszcie Jacek rzekł:

— Dziękujemy ci!

— Nie ma za co — rzekł wesoło młodzieniec — ale powiedzcie mi, na Boga, skąd wzięliście się na grzbietach pelikanów?

— Przeżegnałam się krzyżem świętym, widząc was nad wodami — rzekła kobieta.

— Długa to jest historia — mówił Jacek. — Namówiliśmy pelikany, aby nas wzięły na grzbiety, bo nam się nie chciało iść piechotą.

— A dokąd wy wędrujecie?

Chłopcy opuścili głowy. Za żadne skarby, za wszystkie klejnoty złotych ludzi nie powiedzieliby tej dobrej kobiecie i temu szlachetnemu młodzieńcowi, że uciekli od matki i gonią próżniactwo. Na białych, nakrapianych twarzach ukazał się rumieniec.

— Czemu nam tego nie powiecie? — zapytał ich wybawca.

A matka na to:

— Daj pokój, mój synu. Może to jest ich tajemnica? Nie trzeba się nigdy wdierać w cudze sprawy. Jak się czujecie, moje dzieci?

Chłopcy spojrzeli na nią z dziwną czułością.

— Nie chcemy uczynić nic złego — rzekł nagle Jacek.

— Jesteśmy tylko bardzo głupi — dodał Placek z najgłębszym przekonaniem.

Zaśmiał się głośno młody człowiek, a na białych ustach kobiety pojawił się leciutki uśmiech. Patrzyła na nich dobrymi oczyma, w których kwitły jesienne kwiaty. Nagle wyciągnęła ku nim ręce i rzekła:

— Zbliźcie się do mnie, moje dzieci.

Usadowiła ich przy sobie, objęła ramionami i mówiła cichym głosem:

— Cudem uszliście śmierci, podziękujcie za to gorąco Bogu. Nie wiem, kto jesteście, skąd wędrujecie i dokąd. Widzę tylko, że jesteście dzieci i że jesteście same, a wasza

Tajemnica

matka pewnie jest daleko. Może idziecie do niej? W tej chwili jej serce jest już spokojne, ale wierzcie mi, że w owej chwili, kiedy się woda nad wami zamknęła, jej serce zmartwiało i przestało uderzać. Czy słyszysz, małeńki, który głową dotykasz mojego serca, jak ono bije? To ze szczęścia, że mój syn jest przy mnie, dzielny i szlachetny. Tak samo biłoby radośnie serce waszej matki, gdybyście byli przy niej... Nie wiem, dlaczego jesteście tak daleko od niej, w tym dzikim pustkowiu, ale mówię wam, że przyjdzie taka chwila, kiedy wam jej tak zabraknie, jak wam niedawno brakło powietrza. Płaczesz, moje dziecko? I ty też płaczesz, drogi chłopcze? To dobrze, to dobrze!

Objęła ich silniej, dając swemu synowi znaki oczyma, aby nic nie mówił. Usiadł więc opodal w słońcu, susząc odzienie, a chłopcy łkali cichutko, coraz ciszej. Dobra kobieta spojrzała na nich po chwili i uśmiechnęła się, bo spali, wyczerpani przygodą i wzruszeniem.

Zbudził ich wielki wrzask; to pelikany, żerujące niedaleko brzegu, schwytały oba tę samą rybę i teraz każdy ciągnął ją w swoją stronę, drąc się wniebogłosy, że mu się dzieje krzywda.

Chłopcy, pojawiwszy, że usnęli w objęciach tej kobiety, zawstydzili się, a nie umiając znaleźć słów miękkich i serdecznych, starali się prosić ją o przebaczenie uśmiechem. Ponieważ i w tym także nie posiadali zbytnej wprawy, więc uśmiechając się wdzięcznie wedle własnego przekonania, mieli takie miny, jak gdyby gryźli kwaśne jabłko.

— Spaliście smacznie — rzekła kobieta — ale pewnie jesteście głodni. Niestety, niczym was nie możemy nakarmić. Synu mój! — zawołała. — Zbliź się do nas.

Kiedy szybko się zjawił z miłym uśmiechem na twarzy, powiedziała:

— Czy będziemy dzisiaj jedli cokolwiek, biedacy?

— Nie wiem, droga matko — odrzekł syn. — Niech ci dobrzy chłopcy ostaną z tobą, a ja pójdę w las na poszukiwania.

Skinął na chłopców, a kiedy odeszli wszyscy trzej na ubocze, rzekł im szeptem:

— Dzieci kochane, pilnujcie mojej matki, aby nie napadł na nią dziki zwierz i przyńście jej wody z jeziora, gdyby chciała pić.

— Uczynimy to chętnie! — szepnął Placek.

— Bo moja matka — mówił młody człowiek drżącym głosem — ma odjętą władzę w nogach.

— Och! — wykrzyknął Jacek. — Biedna kobieta.

— Boże, Boże! — szepnął Placek po raz pierwszy w życiu.

— Jest to straszliwe nieszczęście — mówił ich wybawca. — Nie mogę patrzeć na jej udręczenie, więc idziemy na poszukiwanie cudownego lekarza, aby ją uzdrowił.

— Jakże może iść twoja matka?

— Ona nie idzie... — mówił młody człowiek, potem, spuściwszy oczy, dodał cicho: — Ja ją niosę w ramionach...

Chłopcy spojrzeli na niego z niepojętą dla nich samych czcią.

— Czy z daleka idziecie? — spytał Jacek z dziwnym wzruszeniem.

— Wędrujemy już przez trzy lata...

— I ty dźwigasz matkę w ramionach?

— Bóg mi dodaje sił! — rzekł z mocą młody człowiek.

— O czym wy tak radzicie? — zawołała matka.

— O, biedna matko moja!... — szepnął jej syn, a głośno zawołał: — Naradzamy się, skąd dostać pożywienie, mateńko.

Zaśmiał się z udanym weselem i zbliżywszy się, spojrzął na nią z miłością.

— Ja wam dostarczę pożywienia! — rzekł z wielką powagą Jacek.

— Skąd je weźmiesz, dobre dziecko? — zapytała kobieta.

— Czy lubicie ryby? — pytał Jacek.

— Jak pelikany! — zawołał wesoło młody człowiek.

— W takim razie dostarczę wam ryb! — rzekł Jacek. — Hej, Placek, do roboty!

— Co mam robić? — zapytał ochoczo Placek.

— Będziesz nosił ryby! A ty rozpal ognisko, dobry panie!

— Mogę je rozpalić, bo przyda się i do pieczenia grzybów.

— Moja w tym głowa, żeby były ryby — rzekł dumnie Jacek. — Chodź, Placku!

Syn, Matka, Miłość,  
Poświęcenie



Chłopcy poszli nad jezioro, którego brzeg płaszczył się niedaleko, a matka z synem patrzyli z ciekawym uśmiechem.

— Czy będziesz łowił ryby? — zapytał z niedowierzaniem Placek.

— Ja nie — odrzekł Jacek — ale od czegoż mamy pelikany?

Ptaki wałęsały się po płytkiej wodzie tuż u brzegów, a tak były objedzone, że ledwie mogły się poruszać, nieustannie jednak zanurzały śmieszne głowy w wodę i wyciągały trzepoczące się ryby.

— Hej, pelikany! — zawołał donośnym głosem Jacek.

— Witaj, wielki władco ryb! — wrzasnęły ptaki. — Co się z tobą dzieje? Zdaje się, że wpadłeś w wodę.

— Wcale nie wpadliśmy w wodę, ale umyślnie zesliśmy na dno, aby powiedzieć rybom, że mają wam być posłuszne i żeby się nie broniły, kiedy który z was zechce je pożerać.

— O, szlachetny królu raków!

— Ale teraz chciałbym zobaczyć kilka ryb i to największych, aby się od nich dowiedzieć, w których wodach mieszkają jeszcze wspanialsze.

— Och! Och! Każ im wypłynąć!

— Nie chce mi się włączyć do wody, aby ich nie płoszyć i wam nie przeszkadzać w polowie. Czy już jesteście najedzone?

— Czym, afrykański sultanie<sup>181</sup>? Tą odrobiną płotek?

— Macie jeszcze czas, ale teraz przerwijcie ucztę i schwytajcie kilka ryb, wynieście je na brzeg.

— Twoje słowo jest rozkazem, panie odmętów. Czy każesz przynieść szczupaki?

— Mogą być i szczupaki, ale wolimy karpie.

— Świetnie, cudownie! Czy potem wrzucisz je jednak z powrotem do wody?

— Oczywiście, przecież to wasze ryby!

— Każde twoje słowo jest perłą! A może chcecie ujrzyć ogromnego suma?

— Ujrzymy chętnie ogromnego suma, ale przecież mówiłeś, że są tu same drobne płotki?

— Czy ja tak mówiłem, cesarzu chiński? Coś mi się musiało zepsuć w głowie, jeśli wyraziłem się tak nieściśle. To zapewne z upału... Hej, bracie pelikanie, dajmy nurka, bo szlachetny faraon<sup>182</sup> czeka na ryby. Hul!

Zakotłowała się woda, a po chwili oba ptaki wynurzyły się, każdy z rybą w dziobie.

— Doskonale! — krzyknął Jacek. — Prędziej tu, do nas!

Pelikany zaczęły szybko płynąć ku brzegowi, po chwili jednak, jak gdyby pożałowały nadmiernej gorliwości, płynęły coraz powolniej; przypatrywały się troskliwie rybom, jak gdyby ich nie chcąc uronić, wreszcie zawahały się.

— Prędziej! — wołał Jacek.

Pelikany spojrzały najpierw na niego, potem żalnym wzrokiem na ryby, i nagle, zadarłszy dzioby w górę, połknęły ryby jak na komendę.

— Co to znaczy? — wołał oburzony Jacek.

— Królu pelikanów! — wrzasnął jeden z ptaków. — To były zbyt małe ryby, niegodne ciebie. Zaraz schwytamy inne.

Nie minęła chwila i znowu miały w dziobach dwie trzepoczące się ryby. Tym razem zbliżyły się jeszcze bardziej do brzegu!

— Prędziej! Prędziej! — wołali obaj chłopcy.

Pelikany znowu okazały wybitną gorliwość i tuż przy brzegu po ciężkiej walce z sobą znowu połknęły ryby.

Jacek poczerwieniał z gniewu, a jeden z pelikanów rzekł:

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać?... Był to z naszej strony ohydny postępek... O, panie! W tym są jakieś czary...

— To nie są żadne czary, tylko wy jesteście potworne żarłoki... Jeśli w tej chwili nie wyniesiecie ryb na brzeg...

<sup>181</sup>sultan — tytuł dawnych władców Turcji i niektórych innych państw muzułmańskich. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>faraon — jedno z określeń władcy starożytnego Egiptu. [przypis edytorski]

— Nie kończ, maharadzo<sup>183</sup>! Już!  
— Teraz już wyniosą — rzekł Placek, widząc, że ptaki tryumfalnie wyniosły z wody dwa szczupaki z zielonymi grzbietami.

— O, lotry! — krzyknął Jacek, widząc, że pelikany aż się dławią, połykając je o dwa kroki od brzegu.

Pelikany rozpoczęły lament i srogi krzyk:

— O, wspaniały bracie wspaniałego brata! — jęczał jeden z nich. — To jest ponad pojęcie. Nie możemy donieść ryb do brzegu, to jest silniejsze od nas. Och! Och! Mamy najszczęsze zamiary, ale nie możemy dotrwać... To są przeklęte ryby i to ich wina... Możesz nas zabić, ale łatwiej powstrzymasz wiatr, aby nie wiał, niż pelikana, aby nie zjadł ryby... O, cudzie świata... Już nie możemy ich zmieścić, a musimy je zjadać... To jakaś straszliwa klątwa! Zabij nas!

— Wcale was nie zabiję, bo wami gardzę, zrobię jednak inaczej...

— Co chcesz uczynić, królu murzyński?

— Poproszę słońce, aby wypilo jezioro.

— Doskonale — wrzasnęły pelikany — bo ryby zostaną!

— Tak? Wobec tego najpierw zaczerpuję jezioro, aby wszystkie ryby znikły, albo je zamienię w kamienie, a wtedy je możecie zjadać.

— Czy możesz to uczynić?

— A kto zrobił to jezioro? Ja! Gdyby ono istniało dawniej, wszystkie pelikany już by tu były.

— Ach! Ach! — wrzasnęły ptaki. — Spróbujmy jeszcze raz, ale to będzie daremna próba. Pelikan musi zjeść rybę, takie jest prawo. Ratuj nas, podwójny człowieku.

Jacek pomyślał, potem rzekł:

— Mam nad wami litość, więc wam poradzę: kiedy schwytnie rybę, zamknijcie oczy, bo cała wasza żarłoczność mieszka w oczach.

— W oczach może najwięcej, ale gdzie indziej też. Spróbujmy zamknąć oczy. Bracie pelikanie, pamiętaj, abyś nie był żarłoczny.

Rada okazała się dobra, gdyż pelikany, chociaż po ciężkiej walce z sobą, doniosły ryby do brzegu; trzeba jednak było wejść w wodę, aby im z mocno zwartych i niechętnie oddających zdobycz dziobów wyrwać ryby. Po kilku nawrotach udało się zebrać ich sporo, wśród wielkiej wszystkich uciechy.

— Ale nam je oddacie? — pytał podejrzliwie pelikan.

— Piękne są to ryby! — biadał drugi. — Na płacz mi się zbiera...

— Zobaczysz je, jak rak świnię, a ryba zaśpiewa! — mruknął Jacek.

Z wielką radością chłopcy nakarmili matkę i jej syna. Pelikany patrzyły ze zgrozą na tę ucztę i gadały ze sobą z wielkim rejewachem<sup>184</sup> na ten temat, wreszcie jeden z nich wrzasnął:

— Oddajcie przynajmniej rybnie głowy!

— To są straszne żarłoki — mówił Jacek. — Mają pełne jezioro ryb, a płaczą nad tymi, któreśmy zjedli.

— Są tacy i wśród ludzi — rzekła matka. — Ale wy jesteście sprytni. Szkoda, że nie idziemy w tę samą stronę. Na nas już czas, drogie dzieci. Niech wam Bóg zapłaci za ten posiłek, będziemy was mile wspominali, a ja się co wieczora pomodłę za was...

Chłopcy pochylili głowy. Po chwili Jacek rzekł:

— Wędrowaliśmy chyba przez pół świata i widzieliśmy wiele. Wiemy też o jednym czarodziejskim lekarzu, co umie czynić cuda.

— Na Boga! — zawołał młody człowiek. — My właśnie jego szukamy! Jak go znaleźć?!

— Mieszka on daleko stąd. Musicie iść wciąż na wschód: miniecie zamek złotych ludzi, których obejźcie z daleka, miniecie wielkie miasto, w którym rządzi królewski namiestnik, a potem baczcie, czy nie ujrzycie w nocy ognia na wyniosłej górze. Tam mieszka dobra kobieta, która pokaże wam drogę przez bagna. Stamtąd już niedaleko do brzozowego gaju, gdzie mieszka stary człowiek, co czyni cuda.

— O dzięki ci, synu, że nam to powiedziałeś.

<sup>183</sup>*maharadza* — historyczny tytuł królewski suwerennych władców w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*rejewach* (pot.) — hałas, zgiełk. [przypis edytorski]

— Gdybyście nie znaleźli drogi — mówił Jacek — zapytajcie o nią byle kogo, wskaże ją wam każda wiewiórka i każdy ptak.

— Uczynimy to! — rzekła matka.

— Ale kiedy ujrzycie tego starego człowieka — mówił Jacek — nie mówcie mu o tym, że spotkaliście nas...

— O nie! — zawołał Placek, który dotąd milczał. — Powiedzcie mu, że dwaj chłopcy pozdrawiają go i...

— I co? I co?

— I żałują bardzo...

— Czy mam tak powiedzieć? — zapytała Jacka kobieta.

— Tak! To trzeba powiedzieć... Mój brat dobrze to wymyślił... — odrzekł Jacek.

— Powiem mu — rzekła matka. — Nie wiem, czego żałujecie, ale mu powiem, jeśli go kiedy ujrzę, bo to strasznie daleko, a sama iść nie mogę...

— Matko! — zawołał jej syn. — Gdyby tego było trzeba, zaniósłbym cię na koniec świata.

— O, jakiego cudownego syna dał mi Bóg. Żegnajcie, moje drogie dzieci!

Pożegnali się ze wzruszeniem, po czym syn wziął matkę w ramiona, ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję. I tak poszły wielka miłość i wielkie poświęcenie w drogę tysięczną, bo dla gorącej ofiary nie istnieje ani trud, ani zła droga, ani zwątpienie.

Chłopcy rozszerzonymi oczyma patrzyli, jak syn niesie w ramionach matkę i uśmiecha się szczęśliwy.

Miłość, Poświęcenie

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK BUDUJĄ WIEŻĘ, ŁZAMI SPAJAJĄC KAMIENIE

Okrążywszy obszerne jezioro, na którym szalały pelikany, tak zajęte żarłocznym polowaniem ryb, że nawet nie zauważyły odejścia swoich mimowolnych dobroczyńców, szli chłopcy powoli bezdrożem przez las, rozmyślając o tej szczęśliwej matce i o miłującym synu. Nie mówili o tym ze sobą, bo się siebie wstydzili wzajemnie.

Już im teraz było wszystko jedno, dokąd idą... Co ich czeka? Dokąd zawędrują w tej nierozumnej wędrówce? Najchętniej by wrócili, lecz już by nie zdołali zwinąć w kłębek tej nici, którą rozwinęli w nieskończone zygzaki dróg przebytych, już by nie potrafili wrócić.

Teraz gnał ich wstyd i rozczarowanie. Lepiej im było na kawałku kamienistego pola niż na tych rozłogach świata, gdzie przymierają głodem i czasem cudem tylko wymykają się śmierci. Wędrują już przez wiele dni, nocy, a nie znaleźli tego kraju, w którym nie ma pracy i trudu, więc zaczęli wątpić, czy go kiedykolwiek znajdą. Oszukali się nawzajem... Szli więc przed siebie w bezsilnej rozpacz, zbiedzeni i wychudli. Pożywili się serdecznym słowem tej dobrej kobiety, która ich przygarnęła do piersi, i było im przez chwilę dobrze. Teraz jednak było im jeszcze smutniej w lesie bez końca, pełnym gąszczów i mrocznego cienia. Nie czuli już lęku, bo widzieli tyle strasznych rzeczy, że już się oswoili ze strachami i tajemnicami, ale czuli w sercach wielki smutek i tęsknotę za czymś, czego nie umieli nazwać.

Las szumiał dookoła nich i żalił się szumiącą skargą, że go dręczą wichry, a słońce nigdy w jego wnętrze nie wchodzi. Był to las bardzo smutny, bo wieczna w nim kisa ciemność, drżąca od wieczystego chłodu. Czasem chłopcy usłyszeli oddalone wycie wilka, a ani razu nie słyszeli głosu ptaka, jakby tu ptaków nie było w tej rozszumianej ciemnicy.

— Przejdźmy prędko przez ten las — rzekł cicho Jacek. — Dziwnie tu niemiło.

— Kiedyś się skończy — mówił Placek. — Ot tam drzewa już są rzadsze.

Wyszli na polanę, na której ze zdumieniem ujrzeli kozę.

— Patrz, Placku, koza — rzekł Jacek. — Gdzieś blisko muszą być ludzie.

— Odważna to jakaś koza — wykrzyknął Placek. — W tym lesie są wilki, co jej zupełnie nie przeraża. Może dlatego, że taka ogromna...

Koza spojrzała na nich smutno i zaczęła kroczyć przez polanę, przystając czasem i odwracając głowę.

— Takie ta koza robi miny, jakby chciała, żebyśmy szli za nią.

Koza beknęła żalonym głosem.

— Odważna to może ona jest — rzekł z uśmiechem Jacek — ale dziwnie smutna. Kozy bywają zwykle wesołe, ale ta ma jakieś zmartwienie. Hej, kozo, co cię dręczy?

Koza spojrzała na nich rozumnym wzrokiem, ale nic nie odrzekła.

— Może jest głuchoniema i dlatego jest smutna.

— A może nie zna ludzkiego języka, bo w tym pustkowiu trudno jej się było nauczyć.

— A pelikany skąd go umiały?

— Taki ptak bywa na świecie, więc wiele słyszy, zresztą ptaki mają do gadania zdolność. Kozy jednak rzadko kiedy mówią.

— A baran w Zapiecku czy nie gadał?

— Rozumieć to wszystko rozumiał, ale nie wiem, czy gadał, bo byliśmy z nim w złych stosunkach, więc nie było sposobności, aby się przekonać. Dokąd ta koza nas prowadzi?

— Już się las kończy i zaraz wyjdziemy na pole.

— Mądra to jakaś koza.

Słyszac to, koza obejrzała się i wykrzywiła głębę jakby w uśmiechu.

— Ona nawet kiedy się śmieje, to bardzo smutno.

Koza westchnęła i zabeczła rozzdzierającym bekiem.

— Jeszcze tu zwabi wilki — rzekł Jacek. — Chodźmy za nią prędzej.

Koza zaczęła biec, jakby rozumiała ich słowa, a oni biegli za nią. Słońce już się miało ku zachodowi, kiedy oni przebiegali jakieś kamieniste pole, potem weszli w gmatwaninę rozpadlin i wąwozów.

— Nie podoba mi się ta okolica — rzekł Jacek — i nie wiem, czy to dobrze, że wchodzimy w te głusze. Skąd się tu nagle wzięła koza i dokąd ona nas prowadzi?

— Ona nas wcale nie prowadzi, tylko zwyczajnie zabłąkała się i teraz wraca do zagrody.

— Ej, czy to tylko zwyczajna koza?

— Ma wyhupiaste ślepie i taki śmieszny pysk jak każda koza.

W tej chwili koza, usłyszawszy to, przystanęła w biegu, nasrożyła się i jednym skokiem zbliżywszy się do Placka, wyrznęła go łbem w brzuch, tak że się Placek wykopyrtnął.

— Przekłęta kozo! — krzyknął, powstając.

Jacek zaczął podskakiwać ze śmiechu.

— Jest to — zawołał — najmądrsza koza na świecie i najprzystojniejsza ze wszystkich, jakie widziałem w życiu.

Koza fiknęła z radości i spojrzała na Jacka wdzięcznym wzrokiem.

— To jest obłąkana koza! — krzyczał Placek.

Koza znowu przystanęła i pochyliła głowę do uderzenia.

— ...Ale w istocie jest prześliczna! — dodał prędko Placek.

Widać, że ją ten dodatek udobruchał, bo zaczęła biec dalej truchcikiem, a chłopcy za nią.

— Gdzieś tu musi być dom — rzekł Jacek — bo czuję dym.

— Ale jakiś przykry dym — mówił Placek, poruszając nozdrzami. — Coś się w nim wędzi.

— Jeśli się cokolwiek wędzi, to już dobrze — zawołał wesoło Jacek.

Wkrótce ukazały się jakieś wysokie zabudowania, otoczone wysoką palisadą<sup>185</sup>. Stały one w zupełnym pustkowiu, groźne i ponure. Z komina wydobywał się dym i leniwie pełzał po równinie.

— Nareszcie ludzie — westchnął Placek.

— Dzięki ci, rozumna kozo — rzekł Jacek wesoło.

— Och! — westchnęła koza dziwnym basem<sup>186</sup> i takim smutnym głosem, jakby ją żywcem przypiekano.

— Ona jednak coś gada — rzekł Placek.

Koza, stanawszy przed ponurą bramą, beknęła trzykrotnie rozzdzierającym bekiem.

W tej chwili ozwał się za palisadą bardzo uprzejmy głos:

— Zaraz, zaraz, droga ciotko... Czy przyprowadziłaś ze sobą gości?

— Tak! — zabeczła koza.

<sup>185</sup>palisada — ogrodzenie z grubych, zastrzonych u góry, drewnianych pali. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>bas — najniższy głos męski. [przypis edytorski]

— A z nami nie chciała gadać! — śmiał się Jacek. — Hej, otwórz nam, dobry człowieku!

— Już otwieram, już otwieram — mówił ktoś za bramą. — Proszę, bardzo proszę, witamy naszych drogich gości!

Brama otwarła się tylko tak, że z trudem można się było przecisnąć.

— Wejdźcie, najmilsi panowie! — odezwał się głos.

Chłopcy weszli z trudem jeden za drugim, a koza za nimi. Bramę ktoś zatrzaskał w tej samej chwili, kiedy oni ujrawszy jakiegoś potwornego człowieka, chcieli się cofnąć z przerażenia.

— Jesteście nareszcie, robaczki — zaskrzeczał okropny głos, który jeszcze przed chwilą brzmiał przymilnie.

Zadrżeli, ujrawszy, kto do nich przemawia.

Stał przed nimi stwór okropny, mało podobny do człowieka; ogromny, z rudą szczeciną na głowie, potwór ten miał ręce nadmiernie długie, u każdej po dziesięć palców. Na czole miał jedno oko, a z tyłu głowy drugie, złe i krwawe. Najdziwniejsze jednak były jego bose nogi, bo każda z nich tak wyglądała, jakby była złożona z dwóch; nogi jego nie miały pięt, lecz z odwrotnej strony miały także palce, z przodu sześć, z tyłu cztery, tak że mógł chodzić przodem i tyłem. Był on niezmiernie chudy, miał długi nos, zakrzywiony ku brodzie, i wcale nie miał zębów; za to język, cienki i czerwony, potrafił wysunąć na dwa metry przed siebie.

Chłopcy nie mogli się poruszyć, pobici lękiem, potwór zaś zwróciwszy się do kozy, mówił głosem przypominającym rżenie konia:

— Dobrześ się sprawiła, moja ciotko. Ha! Ha! Piękne to są chłopaki i bardzo mi się przydadzą.

Jacek, odzyskawszy przytomność, objął Placka ramieniem i krzyknął:

— Czego chcesz od nas? Wypuść nas natychmiast!

— Hi! Hi! Hi! — zarżało dzikim głosem monstrum<sup>187</sup>. — Czy się wam nie podobam? Słyszysz, ciotko, ci paniczka chcą stąd odejść dlatego, że ja mam oko w tyle głowy. Nie każdy jest taki piękny jak wy. Dawno nie widziałem takich dorodnych młodzieńców.

Wyciągnął ku nim swoje okropne ręce, chcąc ich chwycić. Chłopcy cofnęli się jednym susem w tył, lecz ujrzeni z przerażeniem, jak jego ręce wyciągają się tak jak ramiona ośmiornicy i stają się tak długie, jak tylko on zechce. Jedna taka ręka chwyciła za kark Jacka, druga Placka, którzy poczuli, że wielka siła odrywa ich od ziemi. Potem potwór skurczył swoje macki i trzepoczących nogami chłopców przybliżył do swojego krwawego oka. Uczyniło się ono ogromne jak księżyc i wpatrywało się w nich z taką siłą, że chłopcy zdrętwieli, jak ptaki ujarzmione odbierającym wszystkie siły wzrokiem węża. Potwór lypnął tym okiem z wielkim zadowoleniem i — postawiwszy ich na ziemi — zarechotał:

— Jestem z ciebie zadowolony, ciotko. Zdejmij teraz skórę i idź odpocząć, boś się nabiegała.

Chłopcy patrzyli z przerażonym zdumieniem, jak koza, podskoczywszy w górę, zrzuca z siebie włochatą skórę, z której zaczęła się gramolić brzydka wiedźma ze spleśzczonym nosem. Skóra znikła, a lachmanami okryta wiedźma westchnęła z ulgą takim westchnieniem, że aż wiatr powiał. Zbliżyła się do chłopców i rzekła niskim, grubym basem, wskazując na Jacka:

— Ten od razu poznał, że jestem przystojna, więc mu nie czyni nic złego, ale temu — zagrzmiała jeszcze głębszym basem, wskazując na Placka — sama przy sposobności ukręcę głowę!

— Idź już spać, ciotko! — zacharczał olbrzym. — Jesteś taka piękna jak beczka kapusty, a ja się już zajmę nimi oboma.

— Hu! Hu! — jęknęła basem wiedźma i znikła w jakiejś szopie.

Chłopcom zdawało się, że cały świat kręci się z nimi. Patrzyli z rosnącym przerażeniem na to wszystko, poznawszy, że się dostali do jakiegoś okropnego domu i do jakichś strasznych ludzi czy też czarowników. Obejrzeni się spleśzczonym, nieprzytomnym spojrzeniem, szukając rozpaczliwie wyjścia: dookoła sterczała zębiasta, wysoka palisada, szczyrzące ostre końce słupów.

<sup>187</sup> *monstrum* — potwór. [przypis edytorski]

— Hi! Hi! — zarżał olbrzym. — Myślicie, jak by uciec? Ptak chyba stąd wyleci, ale wy pozostaniecie tu już na zawsze. Dawno ja już mam na was oko, a wczoraj dała mi o was znać moja córka, którą zamieniłem we wronę, a dzisiaj przywiodła was tu moja ciotka, zamieniona przeze mnie w kozę.

— Dlaczego nas więzisz? — zawołał z płaczem Jacek.

— Bo mi się tak podoba! — zarżał potwór.

— I co chcesz z nami uczynić? — pytał z drżeniem Placek.

— Będzicie tu u mnie pracowali — śmiał się rozdzierającym śmiechem krwawooki.

— Jesteście młodzi i możecie pracować.

— Wcale nie umiemy i nie będziemy pracowali.

— Hi! Hi! Gdzie indziej może byćcie nie umieli, ale u mnie się nauczycie.

— Co nam każesz robić?

— O tym sobie pogadamy jutro, bo teraz już wieczór. Teraz pójdziemy spać. Wy będzicie spali na świeżym powietrzu. Hi! Hi! Tu, na tym podwórku.

Chłopcom musiała zaświtać w oczach migotliwym promyczkiem jakaś nagła nadzieja, bo potwór zaśmiał się urągliwie<sup>188</sup>:

— Chcielibyście uciec? O nie, moje robaczki. Stąd jeszcze nikt nie uciekł.

Powiedziawszy to, chwycił ich za karki i wtłoczył do przygotowanych dołów, potem kilku ruchami swoich okropnych nóg przysypał ich ziemią, tak że ponad nią wyglądały tylko ich głowy.

— Będzie wam tu — zaśmiał się — jak w powijkach albo jak w grobie. Śpijcie, synkowie, smacznie, śpijcie, a jutro obmyślę dla was robotę.

Łypnął ku nim przednim okiem, a potem wciąż na nich patrząc, poszedł tyłem i wszedł do ogromnej szopy.

Dwie głowy patrzyły na siebie wzrokiem pełnym łez.

— O, bracie Jacku! — szepnął Placek.

— O, bracie Placku! — zapłakał Jacek. — Co się z nami stanie?

— O, na co nam przyszło? Boże, bądź nam miłosierny!

— O matko, co się dzieje z twoimi nieszczęśliwymi dziećmi?!

— Tu już spotka nas śmierć...

— Żeby tylko śmierć — płakał Jacek — ale przedtem przejdziemy straszne męczarnie.

— Do domu, do domu! Do matki! — zawodził Placek.

— Cicho tam bądźcie, bo spać nie można! — wrzasnął jakiś głos, a równocześnie spod okapu dachu wyjrzała ogromna wrona.

— To jego córka... — szepnął Jacek.

— Oczy wam wydziobię, jeśli nie przestaniecie hałasować! — zakrakał ptak i ukrył się pod dachem.

— Nie płacz, braciszku — szepnął cicho Jacek.

— O, mamo, moja mamo... — chlipał wciąż Placek.

Żywcem tak zakopani, usnęli i posępnie mieli sny. Przenikał ich chłód ziemi, a każdy szmer ich budził. Nad ranem dopiero objął ich głowy martwy sen, wtedy jednak poczuli, że ich ktoś siłą dobywa z ziemi, tak z niej wyciąga jak marchewkę. Otwarli oczy i ujrzeli potwora.

Był to ohydny czarownik, który się schronił w te nieprzebyte lasy i podstępnie łowił ludzi, by mu służyli. Pragnął on sobie zbudować potężny zamek, gdzie by mieszkał bezpiecznie i wykonywał swoje ciemne praktyki. Był on okropnie skąpy i dlatego córkę zmienił we wronę, aby sobie szukała jedzenia po świecie, a gadającą ciotkę zamienił w kozę, aby się mogła paść w lesie. Miał on też i żonę, lecz tak ją zadreńczył i zamorzył głodem, że pozostał z niej tylko cień. Chłopcy ujrzeli ją właśnie, bo potwór zakrzyknął:

— Ej, żono, przyjdź no tu i zobacz, kogo złowiliśmy w lesie.

Choć nikt się nie zjawił, on rżał:

— Czy ci się podobają?

— Same tylko żyły z nich zostały... — ozwał się jakiś głos.

Chłopcy patrzyli dookoła, chcąc zbadać, skąd pochodzi, ale nie ujrzeli nikogo.

— Z ciebie tylko cień pozostał, a żyjesz! — krzyknął czerwonoooki.

<sup>188</sup>urągliwy — drwiący, szyderczy. [przypis edytorski]

Wtedy, natężwszy oczy, dojrzeli, że obok niego chwieje się na wietrze smętny cień, mający zarysy ludzkiej postaci, i w ten sposób poznali, że to jego żona.

— Teraz zjemy śniadanie, a potem zobaczymy, jak to robaczki pracują! — krzyknął czarownik.

Poszedł do szopy i wyniósł coś w garści.

— Podjedźcie sobie, panicze — rzekł i na straszliwej dziesięciopalczastej dłoni podał im sześć zasuszonych much.

Chłopcy wzdrygnęli się z odrazy.

— Hi! Hi! Nie podoba się wam ten smakołyk, tym lepiej. Chciałoby się wam tłustego nietoperza? O, nie, moi mili. Nietoperze wędzę w kominie, ale dla siebie.

Chłopcy przypomnieli sobie woń dymu, która ich wczoraj doleciała.

— Zjedz, miła żono, te muchy, kiedy oni nimi gardzą. Zjadłaś już wprawdzie pająka, ale ci nie żaluję, gdyż jestem dziś bardzo rad. Gdzie nasza córka?

— Już poleciała... — zaszeleścił cień.

— A ciotka?

— Już się pasie... — zaszemrało coś cichutko.

— Ty idź warzyć<sup>189</sup> obiad. Co dziś będę jadł?

— Żaby i szarańcze... — zaszumiało.

— Wspaniała uczta! — ryknął czarownik.

— Na wieczerę będzie szczur w dzikim sosie — szemrał cień.

— Zbyt bogato żyjemy, jak jacy książęta — zarżał potwór. — A teraz do roboty.

— Nie będziemy pracowali! — krzyknął w ostatecznej rozpacz Jacek.

Potwór pochylił się ku niemu, spojrział krwawym okiem i rzekł:

— Czy mam ci zaraz ukręcić głowę, czy dopiero jutro?

Objął mu szyję dziesięcioma palcami jednej ręki i lekko ją zacisnął. Jackowi oczy wylazły na wierzch, więc Placek zawołał:

— Nie duś go! Będziemy pracowali!

— Mądrześ to powiedział — zaśmiał się rechotliwie olbrzym. — Będzicie pracowali. Widać, że to wielka dla was nowina. Hi! Hi! Trzeba było siedzieć w domu i pracować na swoim, panicze. Teraz przyszły na was ciężkie czasy. Hi! Hi! Ale ze mną nie ma żartów! Jeżeliby który nie chciał pracować, to go zamienię w ślepego kreta albo w szczura i będzie z nim koniec. A teraz za mną!

Otworzył skrzypiącą bramę i wiódł ich na kamieniste pole; na tym polu zbierali ciężkie kamienie i nosili je z niezmiernym trudem na podwórzec, gdzie olbrzym zamyślił wybudować wieżę. Każdy kamień oblali gorącymi łzami. Wynędziali, chudzi, zrozpaczeni, żywieni owadami, żabami, chlebem z brzozonej kory, zgniłymi owocami, pracowali od świtu do nocy. Potwór stał nad nimi, jednego pilnując okiem z przodu, drugiego z tyłu. Rechotał wciąż nad nimi końskim rżeniem, co oznaczać miało śmiech, ile razy ostatnim wysiłkiem starali się poruszyć wrosły w ziemię głąz, kiedy zaś już im się to udało, zbliżał się szybko i wyciągnąwszy język na dwa łokcie, zjadał ukrywające się pod kamieniem dżdżownice.

Byli tak śmiertelnie znużeni, że nie dziwili się już niczemu. Widzieli, jak codziennie pod wieczór koza wraca z lasu i zamienia się w straszliwą babę, która nie cierpiała Placka, jak córka potwora przylatuje z daleka i czasem też okazuje się w ludzkiej postaci, jako dziewczyna ogromnego wzrostu, z nosem długim i ostrym jak ptasi dziób, wrzaskliwa i żarłoczna. Patrzyli na to wszystko tępym wzrokiem i już nawet nie płakali, bo im zabrakło łez. Starczyłoby tych łez, aby zwilżyć, jak dobroczynnym deszczem, matczyne pole, którego nie chcieli uprawiać. Czasem widzieli je we snach i we snach przypadali twarzą ku tej ziemi i całowali ją, grudka po grudce, czując, jak ich serca zapuszczają korzenie w to półko, po którym ich matka włóczyła bronę.

Może dlatego śniła im się ziemia, że na nocie jeszcze przez długi czas potwór grzebał ich żywcem, jak pierwszego wieczora; później, kiedy tak opadli z sił, że nie było obawy, aby mogli próbować ucieczki przez częstokół<sup>190</sup>, zamykał ich w szopie, gdzie sam spał,

<sup>189</sup>warzyć (daw.) — gotować. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>częstokół — ogrodzenie z wbitych w ziemię drewnianych pali. [przypis edytorski]

z jednym okiem zawsze otwartym, choć chrapał tak, że dach ponad nim drżał. Spali przy sobie, objąwszy się ramionami, aby tylko czuć bicie serc.

Minął już może rok tego strasznego życia. Nic się nie zmieniło, tylko cień żony czarownika stał się bardziej przejrzysty, a oni też zaczęli wyglądać jak cienie.

Jednej nocy, bardzo miesięcznej i jasnej, kiedy legli przytuleni do siebie, Jacek szepnął tak cicho, jak szepece najbliższy wiatr:

— Pomódlmy się, Placku.

— Dobrze! — szepnął Placek.

Jacek zaczął, a jego brat dokończył pacierz.

Westchnęli i długo milczeli, wreszcie Jacek szepnął:

— Nie wiem, Placku drogi, czy Pan Bóg wysłucha takiej modlitwy... Może dlatego dzieje się nam tak źle, że jej nie umiemy. Zrobmy tak: ja ciebie nauczę początku, a ty mnie naucz jej końca.

— Dawno już o tym myślałem — szepnął Placek.

— Powtarzaj więc za mną: Ojciec nasz, któryś jest w niebie.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie — powtarzał ze wzruszeniem Placek.

Potwór rzęził obok w ciężkim śnie, a oni uczyli się długo w noc modlitwy.

Tak mijały dzień za dniem, noc za nocą, a znikąd nie było pomocy ani nadziei na pomoc. Czasem chłopcy, snując się po kamienisku w niekończącym się trudzie, usłyszeli na niebie ptasie głosy: leciały żurawie, dzikie gęsi i łabędzie. Wtedy podnosili głowy i wypatrywali roziskrzonym nagle wzrokiem, czy gdzieś ponad chmurami nie ujrzą swoich przyjaciół pelikanów. Nie mogli jednak patrzeć długo, gdyż wtedy spadał na nich bicz potwora, który wrzeszczał:

— Pracować, włóczyć, a nie gapić się na niebo!

Tak przeszło pięć lat, czarnych, ponurych, opłakanych pięć lat. Liczyli je chłopcy po porach roku, a mierzyli je rozpaczą, która doszła już do kresu. Nic jednak nie zapowiadało, aby się ich męczarnie miały skończyć kiedykolwiek. Widać ciężkie były ich winy, jeśli tak sroga była kara. Wyrośli w tej nędzy, ale przestali być podobni do ludzi. Modlili się tylko częściej i serdeczniej, bo im to wielką przynosiło ulgę. Zauważyli też, że ile razy modlą się w pobliżu czarownika, tyle razy opada go jakiś niewytłumaczony niepokój: rzucał się we śnie i wił się jak wąż, a wtedy się dopiero uciszał, kiedy oni wyrzekli: amen. Widać, że był w spółce z diabłem.

Kiedy chłopcy znieśli już tyle kamieni, że więcej ich nie mogło się zmieścić w podwórku, wtedy potwór zakrzyknął:

— Z tych kamieni zbudujemy wieżę, z której ja będę rządził światem.

Jakby w nagłym obłędzie chwycił olbrzymią łopatę i zaczął nią drzeć ziemię, aby wykopać doły pod fundamenty, wiedząc o tym, że trzeba by wielu lat, zanim by tej pracy mogli podjąć jego wynędzniali niewolnicy. Podczas tego kopania dopadł ropuchy kryjącej się w jakiejś norze, którą z krzykiem pożarł na surowo.

— Teraz wy będziecie budowali wieżę! — wrzasnął takim głosem, jakim huczy czasem młyn.

Znowu rozpoczęła się praca niezmierna. Ci, którzy uciekli z domu, nie chcąc się trudzić naprawą przeciekającego dachu, budowali teraz wieżę, dźwigając głazy i piętrząc je jeden na drugim. Spajali je własnymi łzami i własną krwią, która im często ciekła z palców. Czasem źle umocowany gładz toczył się w dół z powrotem i ranił im nogi, czasem się rozpryskiwał i zasypywał oczy żrącym miałem.

Kiedy dwa lata przeminęły, wieża sterczała już tak wysoko, że potwór pozwalał im spać na jej szczycie, w załomie głazów, wiedząc, że uciec stamtąd nie mogą. Wielka to była dla nich pociecha, gdyż widzieli gwiazdy i mogli patrzeć w sine, mroczne oddale.

A kiedy znów przeminęły trzy lata, wieża była już bardzo wysoka i już brakło głazów do jej budowy; otoczyli więc jej szczyt kamiennym zrębem, obręczą zębiastą, taką, jaką widzieli na zamku złotych ludzi.

Potwór wyszedłszy na szczyt, skąd widok był ogromny, uradował się chrapliwie i zacharczał:

— Ta robota już skończona! Jutro wynajdziemy inną, a teraz zawiesimy na wieży mój znak, aby wszyscy widzieli z daleka, że tu mieszka pan tych ziem i lasów. Hej, żono, córko, ciotko, przyniesiecie chorągiew!

Wina, Kara

Modlitwa



Chłopcy patrzyli bezbarwnym, tępym wzrokiem, jak dwie straszne kobiety przyniosły ogromną, brudną płachtę, na której czerwoną farbą, przypominającą krew, były wymalowane dziwaczne, kabalistyczne<sup>191</sup> znaki, których nikt by nie umiał odczytać, tylko wtajemniczony.

Cień żony przywionął za córką i ciotką.

Potwór patrząc jednym okiem przed siebie w niezmierne dale, a drugim w tył na swoją rodzinę, radował się:

— Patrzcie, jak wielkie jest moje państwo!

Umocował swój ohydny sztandar, którym wiatr załopotał.

Nagle ciotka ryknęła najniższym basem:

— Złap ją za nogę!

Potwór wyciągnął obie ręce, ale już było za późno: potężny wiatr porwał cień jego żony i poniósł ją przez powietrze jak tuman mgły.

Córka-wrona zakrakala przeraźliwie:

— Zaczaruj ją, aby się stała ciężka!

A potwór na to:

— Poza tę wieżę moja władza nie sięga. Musiałbym jej dotknąć i odmówić zaklęcia. Hi! Hi! — zaśmiał się nagle. — Po co tak wychudła? Czy skąpiłem jej jedzenia? Już jej teraz nikt nie dogoni, bo zbyt daleko poleciała. Nie becz, ciotko, nie kracz, córko. Idźcie jej szukać, może się gdzieś zaczepiła o drzewo...

Potem, zwróciwszy się do chłopców, rzekł:

— Do jutra możecie się wyspać, a jutro zaczniemy kopać studnię aż do środka ziemi.

Kiedy chłopcy pozostali sami, Jacek szepnął gorąco:

— Słyszałeś?

— Słyszałem... To dziwne, że jego władza nie sięga poza tę wieżę.

— To wcale nie dziwne, bo to jest jakiś mały czarownik, gorszego gatunku. Gdyby był potężny, toby się nie żywił muchami i umiałby zrobić złoto. Żeby się dostać poza te mury i poza tę wieżę...

— Ale jak? Ale jak?

— O Boże! — modlił się Jacek. — O matko najdroższa! Pomóżcie nam, pomóżcie nam stąd uciec!

— O Boże, o matko najukochańsza! — szeptał Placek.

Wtem zawiął ogromny wiatr i płachta, przymocowana do długiego kija, zadrgała i załopotowała tak mocno, że aż klasnęło.

— Placku! — szepnął Jacek. — Bóg nam dopomoże!

— Jak, jak?

— Widzisz tę płachtę?

— Widzę, mów prędzej!

— Widziałeś, jak wiatr porwał jego żonę?

— Widziałem... Więc co? Więc co?

— My też już jesteśmy jak cienie... Gdybyśmy nie trzymali się tego głazu, wiatr by nas cisnął w dół...

— Tak... tak... ale by nas zabił...

— Nie zabije nas... Słuchaj! Noc się zbliża... Potwór niedługo zaśnie, a nas zamknie tu, w wieży. Spójrz, gdzie on jest?

Placek wyjrzał przez zręby i rzekł:

— Obił ciotkę, bo bardzo krzyczała z żalości, i poszedł do szopy.

— O, dzięki Ci, Boże!

— Co chcesz uczynić?

— Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę... Serce mi tak bije, że się boję, aby go potwór nie usłyszał... Już wieczór... Patrz, księżyc wschodzi nad lasem... Był tylko wicher dął, było tylko wicher dął!

Przytulili się do siebie, nasłuchując. Na dole wszystko ucichło, a na górze wiatr wciąż się wzmagał.

— Módlmy się... — rzekł Jacek.

<sup>191</sup>kabalistyczny — tajemniczy, zagadkowy. [przypis edytorski]

Uklękli na kamieniach i modlili się gorąco.

— A teraz — mówił szybko Jacek — albo śmierć, albo wybawienie.

Zaczął szeptać i tłumaczyć coś bratu. Chwilę potem ostrożnie wyjęli z osady kij z chorażwianą płachtą i odwiązali ją drzącymi od wzruszenia rękami; do jej czterech rogów uwiązali sznury, którymi była przymocowana do kija, i sami się nimi opasali dookoła.

— Boję się — szepnął Placek.

— Lataliśmy już na pelikanach! — rzekł Jacek.

Rzpięli płachtę pod wiatr i mocno, kurczowym splotem objęli się ramionami.

— O, matko! — westchnęli równocześnie.

Nadleciał potężny wiatr i ujrawszy dziwnego latawca, napełnił go sobą, wydał, szarpnął, uniósł w górę i gwizdząc z nadmiernej radości, poniósł ze szczytu wieży szalonym pędem w tę stronę, gdzie zdumionymi oczyma patrzył na to wszystko księżyc.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK PO ROZMOWIE Z NIEWIDZIALNYM UKRADLI Z NIEBA KSIĘŻYC

Wiatr igrał nimi, jak wielki kot igra małą myszą, podrzucał ich w górę, wywracał w powietrzu albo niósł tuż przy ziemi. Drzewa wyciągały ramiona, aby ich pochwycić, wody, świetliste w księżycu, rozpościerały się jak srebrne płótna, oczekując ich upadku. Jednakże potężny olbrzym, wicher<sup>192</sup>, urodzony gdzieś na morzu, a lecący ku góróm, nie pragnął ich śmierci, bo uciszwszy się nagle, złożył ich lekko i bez najmniejszej krzywdy w jakimś zapuszczonym ogrodzie.

Chłopcy, uwolniwszy się od swojego zagła, lecz cisnąc go do piersi z wielkiej wdzięczności, odurzeni jeszcze i zdyszani, uczynili to, czego by byli nigdy nie uczynili przed dziesięciu laty: padli na kolana i modlili się gorąco. Serca aż w nich śpiewały z wielkiej radości, a dookoła jakby radowały się z nimi drzewa, co obudzone pierwszym powiewem daleko, daleko rodzącego się świtu, szemrały ze sobą, dziwiąc się tej napowietrznej jeździe istot bezskrzydłych.

Rozejrzeli się, nauczeni już ostrożnością, i ujrzeli opodal zapadły, chylący się ku ostatniej ruinie pałac, zarosłe i zapuszczone szpalery ogrodu, zżarte przez deszcze, i kamienne figury pokryte liszajami<sup>193</sup> mchów. Okienne powypadały z zawias, trzymając się zaledwie na jednej, drzwi były otwarte, a po marmurowych, spękanych schodach pięły się ku pałacowi zielska, aby w nim zamieszkać i zagłuszyć go ostatecznie. Rozpadała się kawałami marmurowego ciała świetna kiedyś fontanna, której zabrakło już nawet paru kropel wody na lzy, aby oplakać śmierć tego domu.

W pierwszych promieniach słońca chłopcy ujrzeli dokładnie tę ruinę.

— To jakiś smutny dom, w którym od dawna nikt nie mieszka! — rzekł Jacek.  
— O, bracie, po dziesięciu latach niewoli wydaje mi się on zaczarowanym zamkiem. Odpocznijemy tu, a potem, kiedy się znowu staniemy podobni do ludzi, powędrujemy do naszej matki.

— O, tak — wykrzyknął gorąco Placek. — Jakiś cud nas wybawił. Zatrzymajmy na zawsze tę płachtę, co nas tu przyniosła. Trzeba by wejść do tego domu, ale ja już niczemu nie dowierzam. Jeden z nas ostrożnie wejdzie i zbada, czy nam kto tam nie gotuje jakiejś zdrady.

— Ja pójdę! — rzekł Jacek.

— Dobrze, a ja będę czuwał w ogrodzie, aby nas kto nie zaskoczył. To jakiś smutny dom, boję się go, Jacku. Może lepiej tam nie wchodzić?

— Wejdźcie spokojnie! — ozwał się jakiś głos tuż przy nich.

— Boże! — krzyknął Jacek.

— Uciekajmy! — zawołał Placek.

— Zostańcie — mówił głos. — Nikt nie uczyni wam tu żadnej krzywdy.

— Nie możemy wierzyć nikomu!

— Klnę się na imię Boga żywego, że nic złego wam się nie stanie! — zawołał głos uroczyście.

<sup>192</sup>wicher (poet.) — wicher. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>liszaj — ślad zniszczenia na jakiejś powierzchni. [przypis edytorski]

— Kto ty jesteś, co przemawiasz?  
 — Jestem nieszczęśliwy.  
 — Czy nie możesz się ukazać?  
 — Na tym właśnie polega moje nieszczęście.  
 — Czy jesteś duchem?  
 — O, nie! Jestem człowiekiem, który nie posiada ciała.  
 — A cóż się stało z twoim ciałem?  
 — To jest długa historia, którą wam opowiem. Wejdźcie do tego domu, w którym i ja mieszkam. Jesteście panami tego pałacu.  
 — Powiedziałeś, że nie uczynisz nam krzywdy!  
 — Przysiągłem wielką przysięgą, czemu mi nie wierzycie?  
 — Wierzymy ci, ale jęczyliśmy w długiej niewoli i lękamy się wszystkiego.  
 — Mnie się nie lękajcie, bo i ja jestem w niewoli. Widzę, że jesteście wynędzniali i zagłodzeni, więc zamieszkajcie u mnie. Wielka będzie moja radość, bo dawno już nie widziałem człowieka, a wy znajdziecie odpocznienie<sup>194</sup>. Potem uczynicie, co zechcecie.  
 — Gdzie się znajdujesz, panie?  
 — Przed wami, o dwa kroki przed wami. Patrzcie, poruszę ręką to zielsko z czerwonym kwiatem. Czy widzicie, jak się chwieje?  
 — Widzimy...  
 — Tu stoję. Teraz się zwrócę w stronę domu, a wy patrzcie na ziemię: tam, gdzie się trawa ugina, tamtędy ja przechodzę.  
 Chłopcy, baczni na wszystko, poszli powoli, powoli bowiem szedł Niewidzialny. Dziwne ich ogarnęło uczucie, kiedy szli za kimś, kogo nie ma. Niewidzialny jednak przysiągł na Boga i przemawiał głosem, który się wydawał uczciwy. Poczuli, że wstąpił na schody, a po westchnieniach poznali, że stąpa po nich z trudem.  
 Weszli do komnat, w których słońce złościło nędzę ścian, wklęsłość podłóg i wyduęcia pułapów. Najwyraźniej słyszeli teraz „jego” kroki.  
 — Oto mój dom — rzekło powietrze. — Rozgośćcie się!  
 Znajdowali się w obszernej sali, w której zachowały się nieliczne sprzęty: łoże z baldachimem, szafy opasłe i ciężkie i obrazy, na których czas, malarz smutny, poczernił i pogasił świetne moze kiedyś kolory. Z pułapu zwisał ogromny świecznik, kiedyś gorejący, dziś ślepy i ciemny. W posadzce widać było szerokie pęknięcia, jakby tu było serce tego domu, skazanego na zagładę, co się z rozpaczy rozpęka.  
 — Młodzieńcy — rzekł głos — tutaj przebywam, czekając zmiłowania. Podajcie mi ręce na powitanie, och, podajcie.  
 Tyle było rzewnego smutku w tym głosie, że oni bez wahania wyciągnęli dłonie i drgnęli, dotknąwszy jakichś rąk niewidzialnych, zdaje się, że należących do starego człowieka, bo były drżące i kościste.  
 — Usiądźcie — mówił głos. — Chciałbym was ugościć, ale nie wiem, co się stało z moją liczną służbą. Dawno już jej nie widziałem. Możecie się jednak sami pożywić, jeśli taka wasza wola: w ogrodzie jest wiele owoców i wiele zwierzyny. Ja mogę ją łatwo łowić gołymi rękami, idąc ku niej pod wiatr, bo mnie nie widzi. Jeśli chcecie pokrzepić siły winem, znajdziecie go jeszcze wiele w piwnicy. O, młodzieńcy! Zostańcie ze mną czas niejaki, uczynicie mi tę łaskę niezmierną. Jesteście dziwnie podobni. Skąd macie we wzroku tyle powagi? Wyglądacie tak, jakbyście mieli po osiemnaście lat, a ból wasz wygląda starzej.  
 — Wycierpieliśmy wiele! — rzekł Jacek.  
 — I ja wycierpiałem niemało, i ja jestem młodzieńcem takim jak wy.  
 — Myśleliśmy — rzekł Placek — że słyszemy głos starca.  
 — O, nie — ozwał się Niewidzialny. — Jestem w pełni sił. Miałem lat dwadzieścia, kiedy postradałem moje ciało.  
 — Jak to się mogło stać? — zapytał Jacek.  
 — Usiądźcie, a powiem wam wszystko o tym przeraźliwym nieszczęściu, jakiego chyba jeszcze nikt nie doznał.

<sup>194</sup>odpocznienie (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

Oni usiedli na czarnym, dębowym, rozłożystym krześle, patrząc pilnie w tę stronę, skąd głos przylatał: zapewne i „on” usiadł, bo drugie krzesło poruszyło się samo.

— Nie pamiętam już, ile to lat temu — mówił znużony głos — może osiemdziesiąt, a może nawet sto, pałac ten był rojny i strojny. Odbywało się tu wiele uczt, festynów i turniejów, a ja, młody i szczęśliwy, przewodziłem zabawom w pałacu i łowom w moich kniejach<sup>195</sup>. Jestem bliskim krewnym naszego miłościwego króla, panem bogatym i dostojnym. Wtedy postanowiłem znaleźć sobie żonę i wybrałem księżniczkę piękną i uroczą, którą miłowałem bardzo. Jednak ona odrzuciła wszystkie moje dary i moją miłość, przynosząc nade mnie jedno książątko, niezmiernie bogate, nie wiedząc, że jest to człowiek bez czci i sumienia, co wyciska z poddanych ostatnią kroplę potu, a nawet ich gorzki chleb zamienia na złoto. Opętała go tak przeraźliwa żądza skarbów, że się pławił w złocie i pożałował go coraz namiętniej. Oby go spotkała ciężka kara za te lzy i nieszczęścia, których był sprawcą...

— O Boże! — zakrzyknął Jacek.

— Już go spotkała ta kara — rzekł Placek.

— Jak możesz o tym wiedzieć, młodzieńcze? — zapytał głos.

— W naszej wędrówce przez dalekie ziemie — mówił Placek — omal nie padliśmy śmiercią z rąk księcia złotych ludzi. Mieszka on wśród niezmiernych skarbów, tknięty na rozumie, i pożera złoto.

— To on! — zakrzyknął głos. — Pobiła go mściwa krzywda ludzka.

— Czy to on jest sprawcą i twego nieszczęścia?

— Nie — mówił głos — ja sam sprowadziłem je na moją głowę. Słuchajcie tylko! Kiedy się przekonałem, że mojej umiłowanej damie grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdyż złoty książę miał zamiar, obrabowawszy ją ze skarbów, zabić po ślubie, postanowiłem przedtem zabić jego. Nie mogłem jednak tego uczynić w żaden sposób: wyzwąłem go na walkę, ale mi nie stanął, unikał mnie tchórzliwie i ukrywał się na swoim zamku wśród skarbów, tak że nikt nie miał do niego dostępu. Gniew i wściekłość kasały moje młode serce, na domiar wszystkiego napadał on z czeredą<sup>196</sup> swoich strasznych i na wszystko gotowych sług na moje włości, zabijał ludzi i niszczył wszystko ogniem i mieczem. Wtedy, zapamiętawszy się w złości, postanowiłem go zgładzić za wszelką cenę. Zasłyszałem o jednym czarowniku, co na wszystko miał sposoby, i kazałem go wołać. Naznaczył mi spotkanie o północy w ciemnym lesie, lecz mimo gęstych mroków i mimo tego, że moje serce nie zna trwogi, zadrzałem, ujrawszy maskarę piekielną, co miała po dziesięć palców u rąk, jedno oko na czole, a drugie na tyle głowy.

— Matko Najświętsza! — krzyknął Placek. — My jego znamy.

Głos jęknął.

— Jak... jak to... może być?...

— Byliśmy u niego przez dziesięć lat w niewoli!

— Niezbadane są wyroki boskie — mówił głos z niezmiernym wzruszeniem. — Ja go szukam może osiemdziesiąt, może sto lat. I wy wiecie, gdzie go można znaleźć?

— Wiemy, panie, ale niech cię Bóg przed nim strzeże! Powiedz, powiedz czym prędzej, co ci się z nim zdarzyło?...

— Och, serce mi bije... Zaraz, zaraz... Zdarzyła się rzecz straszliwa. Za wielkie skarby dał mi on czarodziejską maść, którą miałem się natrzeć, aby się stać niewidzialny. Łatwo by mi było wtedy dotrzeć do złotego księcia i zabić go. Dał mi też za sto pereł zaklęcie, wypisane na brzozonej korze, które trzeba było następnie przyłożyć do serca, aby z powrotem odzyskać ciało.

— Straszne, straszne rzeczy! — szepnął Jacek.

— Najstraszniejsze rzeczy zdarzyły się dopiero potem. Wróciłem do pałacu, natarłem się maścią i moje ciało zniknęło. Przeglądałem się w zwierciadle i nie ujrzałem już siebie. Moja radość była wielka, a moja zemsta zapłonęła żywym ogniem. Zaklęcie na brzozonej korze ukryłem w tej sali, w której teraz tu siedzimy, i wzięwszy sztylet, poszedłem do zamku złotego księcia. Łatwo się tam dostałem, nikt mnie nie widział, ale zwierzyły mnie jego psy. Ich ujadanie zwróciło uwagę wszystkich, więc zaczęli patrzeć zdumieni

<sup>195</sup>kniewa — gęsty las. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>czereda — gromada ludzi. [przypis edytorski]

na mój nóż, który jakoby sam wędrował w powietrzu: pacholowie<sup>197</sup>, chcąc schwytać nóż, dotknęli mojej ręki i wszystko się wydało, ponieważ osaczony począłem złorzeczyć i ciskać klątwy na jego głowę. Książę śmiał się do rozpuku i rzekł:

„Zanim ty tu przyszedłeś, przyszedł do mnie ten czarownik, co cię tej sztuki nauczył, i sprzedał mi twoją tajemnicę. Ha! Ha! A kiedy ty tu wędrowałeś piechotą, aby nie zdumiał nikogo widok konia, co bieży bez jeźdźca, ja posłałem konnych do twojego pałacu, aby cisnęli w ogień zakłęcie na brzoazowej korze”.

„Kłamiesz! — zawołałem. — Nikt nie wie, gdzie je ukryłem!”

Serce we mnie zamarło, kiedy on zawołał:

„Czarownik mi wskazał miejsce!”.

Wtedy krzyknąłem:

„Zabij mnie!”.

On zaś na to:

„Po co mam cię zabijać? Chodź teraz bez ciała, aż do śmierci, bo czarownika już nie znajdziesz. Poleciał na miotle na koniec świata”.

Wypuścili mnie i wytrącili za bramę. Biegłem do pałacu w śmiertelnym przerażeniu. Och! Och! Na ognisku ujrzałem spopielaly ślad brzoazowej kory...

— Boże! Boże! — szepnął Jacek.

— Widać, to on mnie pokarał za to, że chciałem sam sobie wymierzyć sprawiedliwość.

— I co uczyniłeś, panie? — zapytał drżącym głosem Placek.

— Dwakroć jeszcze — zadrżał głos — próbowałem dostać się do jego zamku, a nie chcąc się zdradzić widokiem broni, której nie mogłem uczynić niewidzialną, postanowiłem go udusić we śnie. Nie mogłem już jednakże przedostać się przez bramę, albowiem książę kazał pozawieszać na niej ogromne pająki, które zasnuły ją siecią. Gdybym jej był tknął, nawet niewidzialny, byłbym ją przerwał i w ten sposób książę byłby ostrzeżony. Potem książę gdzieś znikł, udawszy się na rozboje w dalekie kraje, i słuch o nim zaginął...

— A cóżeś ty, panie, uczynił?

— Najpierw chwyciła mnie dzika rozpacz: oszalałem i biegałem po pałacu z piekielnym krzykiem, wołając o ratunek. Wtedy to zapewne rozbiegli się przerażeni moi słudzy, co słysząc mój głos, a nie widząc mojej osoby, myśleli, że mnie czart opętał, bo kiedy zmgła mnie rozpacz i odebrała mi wszystkie siły i kiedy obudziłem się po wielu dniach z odrętwienia, nikogo już nie było przy mnie. Od tego czasu jestem sam... Od tego czasu płaczę... Wszyscy myślą, że umarłem, a ja żyję i jestem młody i piękny! O, młodzieńcy! Od tego czasu pierwszy raz widzę ludzi, bo ujrzałem was. Widać, że jest jeszcze nade mną łaska boska, widać, że jest jeszcze... Jeśli wy wiecie, gdzie przebywa podstępny i ohydny czarownik, może jeszcze ujrzę siebie samego. Oddam mu wszystko, co posiadam, za to zakłęcie, które mi przywróci ciało! Gdzie on jest? Gdzie on przebywa?!

— Panie — mówił z wielkim współczuciem Jacek — gdybyś go nawet i znalazł, cóż ci pomoże? Jest to potwór bez serca, a ty już nie masz złota.

— Nie mam — jęknął głos. — Unieśli je moi dworzanie i słudzy. Pójdę jednak nawet w najdalszą drogę, choćbym miał w niej zginąć, bo i cóż mi po takim życiu, co nie jest życiem? Czy znacie drogę?

— Wiemy, gdzie jest jego mieszkanie, bo przez dziesięć lat, schwytawszy nas podstępnie, zadręczał nas tam i zamęczał, lecz jak by tam trafić, nie wiemy...

— Och, och! — załkał głos. — Jak to może być? Czy nie macie nade mną litości, czy mówicie rzeczy kłamliwe?

— Mamy litość nad tobą, nieszczęśliwy panie, i nie kłamiemy. Drogi jednak nie znamy, gdyż uciekliśmy przez powietrze cudownym sposobem za pomocą tej oto płachty.

Jacek rozwinął sztandar czarnoksiężnika i trzymał go przed sobą.

— Co oznacza ten wzór?

— Czarownik zawiesił to na szczycie swojej wieży, pusząc się, że to jest znak jego władzy. Na dowód, panie, że mówimy prawdę, racz spojrzeć: oto czerwona farba albo może krwią nietoperzy napisał on tu jakieś znaki.

Rozpostarł płachtę przed sobą:

— Oto tu! — rzekł.

<sup>197</sup>pacholek — służący. [przypis edytorski]

Nagle wielki krzyk rozdarł powietrze, a Niewidzialny porwał zapewne płachtę w swoje ręce, bo zaczęła fruwać sama w powietrzu.

— O Boże! — wołał głos. — To jest zakłęcie, jego zakłęcie!...

Chłopcy wstrzymali oddech.

— O, serce moje, gdzie jest moje serce? — płakał głos i śmiał się równocześnie.

Płachta poczęła wyprawiać dziwne ruchy, chłopcy widzieli, jak się mnie i zwiąja w fałdy, jak wreszcie niewidzialne ręce przyciskają ją do niewidzialnych piersi. Serca w nich przestały bić: przed nimi zaczęły się mglić powiewne, ledwie widne oczom zarysy ludzkiej postaci.

— Czy widzicie mnie? — wołał głos, zarazem pełen rozpaczy i nadziei.

— Niezupełnie jeszcze, panie — krzyknął szybko Jacek — ale już wychodzisz z powietrza.

— Och! Och! — drżał głos coraz jaśniejszy.

Minęła długa chwila straszego oczekiwania, aż wreszcie z błękitności, zalanej złotem słońca, wyszedł bardzo stary człowiek, cały żółty, jak poźółkła kość słoniowa, łysy i pomarszczony, z długą brodą, drżący pod ciężarem wieku i długiego nieszczęścia, w spłowiałym i wypelzłym, kiedyś bogatym stroju.

— Oto jestem! — rzekł cichym głosem, bo nadludzka radość pozbawiła go tchu.

— Witamy cię, panie! — powiedzieli chłopcy.

— I ja was witam, dobroczyńcy moi, najszlachetniejsi wśród ludzi, druhowie ukochani! Co jest moje, do was należy, wraz z moim sercem. Zostańcie u mnie, jak długo wasza wola. Ten dom zakwitnie i napełni się weselem! Lasy napełnią się wrzawą naszych łowów. O, bracia moi! Dotąd było was dwóch, od tej chwili przybył wam trzeci brat. Nazywajcie mnie bratem!

— Nie śmiemy, dostojny panie! — rzekł cicho Jacek.

— Czemuż to? — zawołał drżącym głosem. — Wszak jesteście niemal w jednym wieku.

— O Boże! — szepnął Placek.

Jacek spojrzał na niego porozumiewawczym wzrokiem, jakby chciał go ostrzec, aby nie burzył złudzeń tego nieszczęśliwego.

Stary człowiek rzekł zaś wesoło:

— Siły mnie opuściły z wielkiego szczęścia, ukochani moi... Nogi drżą pode mną, więc usiądę, a wy uczynicie mi wielką łaskę i z komnaty, co się znajduje tu obok, przynieście mi zwierciadło.

— Po co ci ono, panie — rzekł głucho Jacek — zawierz naszym oczom. Jesteś piękny i rześki.

— Tym bardziej chcę ujrzeć tego, którego nie widziałem tyle, tyle lat.

— Panie! — szepnął Placek.

On zaś rzekł niecierpliwym głosem, nawykłym do rozkazywania:

— Zwierciadło, natychmiast przynieście zwierciadło!

Chłopcy pochylili głowy, aby nie widział łez, które zakręciły się im w oczach. Poszli powoli i za chwilę, drżąc całym ciałem, przynieśli zblakłe zwierciadło i postawili je przed nim.

Nieszczęśliwy człowiek spojrzał zachłannie, potem nagle zamknął oczy, otworzył je znowu i twarz zbliżył do srebrnych zwierciadlanych tafli.

— Co to znaczy?... — szepnął.

Chłopcy milczeli smutno.

— To zwierciadło jest umarłe albo źle odbija... Bracia moi! Kto jest ten zgrzybiały człowiek?

Chłopcy nic nie odrzekli, odwracając głowy.

— Kto mnie zaczarował? — wołał on rozdzierającym krzykiem. — Kto ze mnie uczynił starca?

— Czas, który nie zna litości — szepnął Jacek. — Nie płacz, panie.

On jednak począł płakać cicho, potem podniósłszy z trudem płachtę czarodziejską, zarzucił ją na zwierciadło. Spojrzał na nich i szepnął:

— Módlcie się za mnie...

Czas, Starość

Chłopcy rzucili się ku niemu, chcąc go podtrzymać, bo się ślaniał, on jednak uśmiechnął się tylko i oddał Bogu ducha.

— Biedny, nieszczęśliwy człowiek! — szepnął Jacek po długiej chwili. — Wiele wycierpiał, ale teraz sobie odpocznie. Pomódlmy się za tę biedną duszę.

— Przeklęty czarownik! — zawołał Placek.

— Namówił on tego nieszczęśliwego człowieka do strasznej rzeczy, ale i na niego przyjdzie jego kres. Módlmy się, bracie...

Cichość była wielka w zapuszczonym jak las ogrodzie, kiedy w dole wykopanym wśród zdziczałych róż chłopcy złożyli ciało człowieka, co był niewidzialny.

Wróciwszy do smutnego pałacu, milczeli długo, wreszcie Placek zapytał:

— Czemu ten człowiek umarł?

Młodość

— Z żalu za straconą młodością — rzekł Jacek.

— Czy młodość jest takim skarbem?

— Widać, że tak jest i że wiedzą o tym ci, co ją utracili bez pożytku.

— Jakie to szczęście, że my jesteśmy młodzi!

Mówiąc to, Placek zbliżył się do wielkiego zwierciadła, zdjął z niego czarodziejską płachtę i długo patrzył.

— Nie poznaję siebie, Jacku! — rzekł zdumiony.

Jacek spojrział i też patrzył długo.

— Tak — powiedział cicho — nie widzieliśmy się wiele lat. Byliśmy mali, teraz wyrosliśmy ogromnie. Zawsze byliśmy wygłodzeni, ale teraz wyglądamy jak dwa cienie. Widziałem wiele razy w wodzie odbicie mojej twarzy, ale dzisiaj...

— Czy dzisiaj jest inna?

— Zdaje mi się, że jest inna...

— Czy twarz może się aż tak bardzo zmienić?

— Twarz? Myślę, że twarz się bardzo nie zmienia, ale coś, co jest poza nią i co wygląda przez oczy, jak przez szyby okna.

— A cóż tam jest?

— Nie wiem... Nie wiem...

Znowu spojrzeli w zwierciadło i patrzyli długo, chcąc dojrzeć przez oczy własne dusze, co dojrzały w cierpieniu i które wielka praca nauczyła pokornej mądrości.

Cierpienie, Dusza

Po długiej chwili Placek, głęboko westchnąwszy, rzekł:

— Czas nam wracać do matki...

— Czas! — powtórzył Jacek jak echo.

— Nie znaleźliśmy szczęścia na świecie.

— Bośmy go nie szukali. Szukaliśmy takiego kraju, w którym próżniactwo jest prawem. Głupi byliśmy, bracie Placku...

— Przyznaję ci to z całego serca. Wracajmy!

— Musimy odpocząć przede wszystkim. Zajmiemy ten pałac i przemieszkamy w nim dłuższy czas, a kiedy powrócimy do sił, pójdziemy tam, skądśmy przyszli.

— Wrócimy z wielkim wstydem...

— To mnie najwięcej trapi, że nas wyśmieją. Wyszliśmy jako nędzarze, a wrócimy jako żebracy...

— Czy jest na to jaka rada?

— Nie wiem jeszcze, musimy o tym pomyśleć. Żebyśmy mogli przynieść do domu choćby bochenek chleba, już by mi było lżej.

— Ach, a gdyby tak sto dukatów!

— Skąd weźmiemy dukaty, kiedy z nas spadają nawet te wstrętne lachmany, w które nas czarownik przyodział. Zresztą, czy ja wiem? Tyle się nam zdarzyło przygód nieszczęśliwych, że może wreszcie kiedy zdarzy się i taka, co nas nakarmi i wzbogaci.

— Mamy pałac...

— Tak. Niewidzialny podzielił się z nami swoim dobytkiem, ale czy weźmiesz te ruiny na plecy i poniesiesz do Zapiecka? Chodźmy lepiej poszukać czegoś do zjedzenia, a na zmartwienia będzie czas. Obejrzymy nasze mieszkanie.

— Będę się bał tutaj spać — mruknął Placek. — Tak tu pusto i przestronnie.

Spali jednak w tym smętnym pałacu przez wiele nocy. Dawno już trawa porosła na grobie biednego człowieka, a oni nie mieli odwagi ruszyć w powrotną drogę. Przybyło im

sił i ciała, wstąpiła w nich otucha. Zaczęli zapominać powoli o przebytych cierpieniach i znowu po ich pstrych głowach zaczął hulać wiatr. Patrzyli rozradowanym wzrokiem w słońce i w niebieskość nieba.

— Czegoś ty się tak darł dziś w nocy? — zapytał raz Jacek.

— Nie wiem, może dlatego, że mi się śniła ciotka koza. Zagadała do mnie wielkim basem i chciała mnie tryknąć głową w brzuch. Co znaczy taki sen?

— Wedle sennika egipskiego — rzekł Jacek — pewne jest, że się z nią ożenisz!

— Ratunku! — wrzasnął Placek.

— Byłaby z was dobrana para! — dodał Jacek.

Wieczorami siadywali na marmurowych schodach pałacu i nasłuchując ptasich głosów i bajania niedalekiego lasu, oglądali cudny odbywający się na niebie.

Jednego wieczoru wypłynął spoza drzew księżyc, poważnie zamyślony, i wędrował sobie powoli po niebieskiej drodze; miał twarz dziwnie dobrą i pocziwą, mile uśmiechniętą. Chłopcy patrzyli w niego ciekawym spojrzeniem, bo choć go widzieli wiele razy, nigdy nie patrzyli na niego dłużej. Wiedzieli, że jest, i to im wystarczało. Teraz jednak, nie mając nic lepszego do roboty, przyglądali się jego podróży przez długie godziny.

— Skąd on przychodzi i dokąd dąży? — pytał Placek.

— Zdaje mi się — odrzekł Jacek — że mieszka za lasem, bo zawsze wychodzi spoza drzew: pewnie tam wśród nich śpi przez dzień jak sowa. Wędruje potem po niebie, bo to pewnie pasterz gwiazd, co ich pilnuje, aby która nie zgasła, a kiedy się zmęczy, to się chowa znowu między drzewa albo wpada do wody. Kiedyśmy byli nad jeziorem, wtedy widziałem, że mieszka w wodzie.

— Musi być bardzo dobry...

— Nie zawsze, bo czasem jest taki czerwony, jakby z gniewu.

— A na kogoż on się może gniewać?

— Nie wiem. Może na gwiazdy, kiedy która wejdzie w szkodę...

— W jaką szkodę?

— Czy ja wiem? Już on tam dobrze na tym się rozumie.

— I on tak zawsze wędruje?

— Nie wiem, czy już był, kiedyśmy się urodzili, ale odkąd nasza pamięć sięga, to go zawsze widziałem na niebie.

— Ja myślę, że on jest bardzo nowy, bo się świeci.

— A czemu psy go tak nie lubią?

— Pewnie dlatego, że im nie daje spać i wyprawia gębą dziwne miny.

— Strasznie to jest śmieszna istota. A dlaczego czasem to go wcale nie ma?

— Może odpoczywa i gdzieś śpi w wodzie. Czy ty myślisz, że to przyjemna robota łączyć tak bez przystanku po całym niebie w nocy i do tego samemu?

— Gdybyśmy byli księżycami, toby nas było dwóch, byłoby jaśniej.

— Pewnie, ale psy wyłyby dwa razy głośniej.

— To byłoby śmieszne! My mamy doskonałe gęby na księżyc. Patrz, jak on się śmieje!

— On się zawsze śmieje, zresztą tu nie ma żadnego psa, więc mu wesoło. Ależ się świeci! Z czego też on jest zrobiony?

— Ja myślę, że ze złota.

— Ze złota? Czekaj no, Placku... Tak, tak... To, cośmy widzieli w zamku złotych ludzi, miało tę samą żółtą barwę, jaką ma on, a to było złoto. A, tak, tak!... Że mi też to nigdy nie przyszło do głowy!

Umilkli, spoglądając, jak księżyc, do syta się napatrzywszy na to, co się stało przez dzień na świecie, zaczął się toczyć w dół jak złote koło. Dotknął czubów drzew i począł się chylić nisko ku ziemi.

— Tam musi być woda — szepnęła Jacek — on lubi spać w wodzie... Że też mi to nigdy nie przyszło do głowy... Placek!

— Co takiego?

— Jak myślisz, ile też można by zrobić dukatów z takiego złotego księżycyca?

— Nie wiem, nigdy nie widziałem dukata, ale pewnie bardzo wiele.

— Sto można by zrobić?

— Może nawet więcej, ale dobrze nie wiem, bo jestem śpiący...

Księżyc



Tej nocy śniło się Jackowi samo złoto. Rano obudził się zamyślony, zamyślony prze-  
wałęsał się przez cały dzień i niecierpliwie wyglądał wieczora.

Kiedy księżyc wypłynął na swoją nocną służbę, Jacek przypatrywał mu się pilnie i kręcił  
głową, zważywszy że jest jakiś większy niż wczoraj i bardziej pełny. Przez długie godziny  
trwał w milczeniu aż do chwili, kiedy księżyc wtoczył się między drzewa. Jacek zapamiętał  
sobie, że zawsze schodzi ku ziemi w tym miejscu, gdzie rosną rozłożyste lipy.

Skinął na Placka i rzekł cicho:

— Chodź, Placek, mam ci coś ważnego do powiedzenia...

Szeptali długo w noc.

— Jeżeli się uda — rzekł wreszcie głośno Jacek — będziemy mieli z czym powrócić  
do Zapiecka.

— Strasznie jesteś mądry! — zawołał z uznaniem Placek.

— Ktoś z nas przecie musi być mądry — odpowiedział Jacek. — Jutro przeto o świcie  
pójdziemy w tę stronę, gdzie rosną lipy. Jeżeli poza nimi jest woda, to wszystko się uda.  
Byle tylko niebo było pogodne!

Niebo, wedle jego marzenia, było następnego dnia bez skazy, lazuru i przeczyste.  
Radość, świeża i rześka, nappełniła cały świat i ich serca.

Chłopcy gorączkowo przygotowywali się do drogi: obeszlą wszystkie komnaty pałacu,  
przejrzeli się w zwierciadło, w którym dostrzegli dwóch dryblasów, dobrze już odżywio-  
nych i wypoczętych, po czym starannie złożyli płachtę czarnoksiężką, którą Jacek niósł  
troskliwie, Placek zaś dźwigał dwa potężne kije, długie i giętkie.

Poszli w stronę, w której rosły lipy, a kiedy już byli daleko, Placek rzekł:

— Jacku! Zapomnieliśmy być na grobie Niewidzialnego...

— Daj mi pokój — odpowiedział niecierpliwie Jacek — mam teraz inne zmartwienia!

Placek zamilkł, ale obejrawszy się ukradkiem, pożegnał ostatnim spojrzeniem dalekie  
już mieszkanie nieszczęśliwego człowieka i coś zaczął szeptać... Może modlitwę...

Szli długo przez lesiste pustkowie, gorączkowo i szybko.

— Zgadłem! — zawołał nagle Jacek. — Jest woda!

W oddali istotnie błysnęło srebrnym blaskiem wygładzone przez słońce rozlewisko  
wody. Strumień, urodzony w lesie, rozszerzał się równomiernie i nabrawszy powagi,  
utworzył niewielkie jezioro, licznie zamieszkane przez krzykliwe żabie tałatajstwo<sup>198</sup>.  
Jezioro było płytkie i urocze.

— To musi być tu — rzekł drżącym głosem Jacek.

— Oby się tylko udało! — szeptał Placek.

— Mamy wiele czasu — mówił Jacek — i dobrze się rozejrzemy.

— Jak to zrobić? — zapytał Placek.

— Jeszcze dobrze nie wiem, ale mamy cały dzień do namysłu.

— A co będzie, jeśli nas dojrzy?

— On się wcale nie boi ludzi, zresztą skąd się może domyślić, co go czeka? Przez myśl  
mu to nie przejdzie!

— Tak, to naprawdę trudno przypuścić, że ktoś chce ukraść.

— Milcz! — krzyknął Jacek.

— Przecież jesteśmy sami!

— A ptaki, a drzewa, a żaby?

— Ach, prawda!

— To pewnie wszystko jego przyjaciele... Ukryjmy się w trawie i ani pary z ust.

— Jeść można?

— Byleś bardzo, swoim zwyczajem, nie zgrzytał zębami... Cicho!

Wszystko przez dzień spało w słonecznym upale; czasem tylko bąk, wieczny włóczęga,  
potoczył się, bucząc, przez powietrze, zabrzęcała pszczoła albo też ryba, której się ni stąd,  
ni zowąd zachciało zobaczyć boży świat, cisnęła się z wody rozpryskaną tęczą. Cały świat  
pił słońce jak mocne wino, więc leżał w miłym odurzeniu, czekając deszczu wieczornej  
rosy. Kiedy zaś zaczęła padać, kwiaty rozchyliły purpurowe usta, prostowały się trawy,  
liście szumiały radośnie.

Jacek wparł się spojrzeniem w niebo, które zaczęło się srebrzyć daleko, daleko.

<sup>198</sup>talatajstwo — hołota, halastra, motloch. [przypis edytorski]

— Idzie! — szepnął.

— Idzie!... — powtórzył Placek. — Będzie tu za jakie trzy godziny...

Drżeli w niecierpliwym oczekiwaniu, coraz to spoglądając na niebo.

Żaby poczęły rechotać, żadne bowiem stworzenie na świecie nie ma tyle do opowiadania, co żaby: od początku świata co wieczór gadają to samo, widać jednak, że niesłychane historie dzieją się w każdym stawie, bo gadaniu nie ma i nie będzie końca. Tego wieczora, widać, obgadywały księżyc, bo rejwach był pełen zachwytu.

Kiedy księżyc minął szczyt nieba i dobrymi oczyma zmierzył stromą drogę, wiodącą na ziemskie niziny, Jacek szepnął:

— Kiedy już zobaczymy, gdzie się ma zanurzyć, podejdziemy tam chyłkiem... Podstawimy sak<sup>199</sup> i sprawa skończona.

— A jeśli tam bardzo głęboko?

— Ta woda nigdzie nie jest głęboka, żaby nie lubią głębi.

— Och, jak mi serce bije!

— To nic... Będziemy bogaci, Placku!

Księżyc spojrział z bliska pocziwym wzrokiem na ziemię; zaszumiały jakby na przywitanie drzewa, zaszemrała woda, dotknięta złotą pieszczotą miesięcznego światła, wodne ptaki zakrzyknęły swoje senne pozdrowienia, słysząc to, żaby zapragnęły być najważniejsze i o trzy tony podniosły swoje trajkotanie. Księżyc jak pan dobry i łaskawy, co powraca z dalekiej podróży, uśmiechał się mile, w uśmiech zamieniwszy całą swoją szeroką twarz.

— Uśmiecha się — szepnął Placek.

— Nie widzi nas — rzekł Jacek. — Zniża się ku tej zatoczce, gdzie rosną wierzby. Prędzaj, prędzaj!...

Jak dwa duchy i jak dwa srebrne cienie, pochyleni, sunęli przez bujne trawy kocimi ruchami.

Księżyc jak ptak, co waży się na skrzydłach, nim zapadnie na wody, chwał się nisko, mądrymi, dobrymi oczyma patrzył w dal, jakby mu żal było, że za chwilę wszystko na świecie, co teraz za jego sprawą jest złote, poszarzeje i otuli się w mroku. Nie widział więc, że w tym miejscu, w którym co nocy zapadał w wodę na odpoczynek, dwa cienie rozpostarły ogromną płachtę, zawieszoną na dwóch kijach; na poły zanurzyli ją w wodzie, jak sak, i czekali nieruchomo, stężali w oczekiwaniu. Cienie stały po pas w wodzie, tak że w migotliwym świetle mogły udawać zarysy dwóch wierzbowych pni. Ujrzały je żaby i zrozumiały w bystrym rozumie, że tu się gotuje jakaś niesłychana nieprawość, zamilkły na chwilę ze zdumienia, nagle jednak podniosły taki rwetes, krzyk i lament, jak gdyby cały świat zapadał się w przepaść. Każda wykrzykiwała ostrzeżenie, lecz w złączonym, straszliwym zgiewku nie można było dosłuchać się żadnego rozumnego sensu.

— Przekłęte żaby! — szepnął Jacek.

— Już... Już... — szepnął Placek.

Księżyc, słuchając żabiego hałasu, uśmiechał się pobłażliwie i dotknął wody brzegiem swojego złotego kręgu.

Nagle ucichło wszystko dookoła, jakby z przerażenia: przestały szumieć drzewa, zamarł szept wody.

Księżyc, który już oczy przymykał, otwarł je jednak ze zdumienia, chcąc poznać, co się dzieje w całej naturze i skąd to nagłe milczenie. Wtedy zrozumiał... Za późno! Za późno! Już był do połowy zanurzony w wodzie i swoim złotym ciężarem spadał w nią nieuchronnie. Drgnął i jakby się chciał dźwignąć... Na jego dobrej, pocziwej twarzy odbiło się przerażenie, jednak w tym momencie zamknął się nad nim sak, a chłopcy spotniali z nadmiernego wzruszenia, oparli kije na ramionach, z wielkim trudem dźwignęli go z wody i wyszli na brzeg z najdziwniejszą złotą rybą, jaką kto kiedykolwiek złowił na tym świecie.

Coś strasznego stało się w tej chwili, bo zdawało się, że padł na ziemię jakiś niezmierny smutek i przygnębienie. Zbudził się wiatr i pognał, wykrzykując strasliwą nowinę, że ukradziono księżyc. Usłyszawszy to, drzewa załamały ręce i uderzyły w wielki, rozgłośny płacz. Wody wydęły się gniewem i rozpaczą. Ptaki, odurzone snem, kwiliły żałośnie.

<sup>199</sup>sak (daw.) — worek podróżny. [przypis edytorski]

Gwiazdy przybladły z trwogi i płakały złotymi łzami. Ludzie, którzy jeszcze nie spali, zadrżeli w sercach.

Ozwał się tylko jeden radosny głos, ale przykry i niepokojący.

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiał się ktoś ohydny śmiechem. — Nareszcie będzie mrok, mrok, mrok. Nie trzeba nam światła wśród nocy! Ha! Ha! Ha!

Był to puszczczyk.

A po chłopcach przeszedł dreszcz.

Poculi w głębi dusz, że się za ich sprawą stało coś niegodnego. Zdawało im się, że zabierają na swoją własność rzecz niczyją, nikomu niepotrzebną, złote cacko, a usłyszeli dookoła siebie żalony płacz całej przyrody. Przerazili się swojego czynu. Takie mieli wrażenie, jak gdyby ukradli poświęcony przedmiot z kościoła albo jakby zdjęli wieczną lampę złocistą, co świeciła w niezmiernej świątyni świata przed ołtarzem usianym gwiazdami.

Siedzieli w mroku i mieli struchlałe serca. Obok nich, owinięty płachtą, leżał uwięziony złoty ptak nieba, lampa świata, włodarz<sup>200</sup> gwiazd, cudo tajemnicze, dobrotliwy, łaskawy, cichy księżyc. Przez przędzywo<sup>201</sup> zmoczonej płachty siał się blask taki, jak świetlista mgła, bo ukradzione z niebiosów światło można splugawić i sponiewierać, ale nie można go zadławić, aby zgasło.

Noc była ciemniejsza niż zwykle i pełna szumnych niepokojów, które dopiero dzień uciszył.

Wraz ze wschodem słońca chłopcy nabrali odwagi; księżyc, widać, spał spokojnie i zapewne zamknął oczy, bo dzień był promienny.

Jacek, po długiej walce ze sobą, przyczołgał się do związanej sznurem płachty, rozchylił ją ostrożnie i spojrzał zalekzionymi oczyma.

— Jest! — szepnął.

— Czy patrzy? — pytał Placek.

— Nie wiem, widziałem tylko brzeg. Jest cały ze złota.

— Co teraz? — szeptał Placek.

— Weźmiemy go na ramiona i poniesiemy. Musimy zająć do jakiegoś miasta i tam go sprzedamy złotnikom.

— A jeśli spytają nas, skąd go mamy?

— Czy ja wiem? Powiemy, żeśmy go znaleźli, kiedy spadł z nieba. Ale stąd trzeba nam uciekać, tu nie jest bardzo bezpiecznie. Słyszałeś, co się działo dzisiejszej nocy? Cały świat płakał! Gdyby teraz nastały chmurne noce, nikt nie zauważy, że go nie ma na niebie, i łatwo go sprzedamy. Placku! Będziemy bogaci! Bardzo będziemy bogaci!

— Czegoś się boję — szeptał Placek.

— Czego się boisz? Gdybyśmy ukradli słońce, to co innego. O słońce mogłaby być wielka awantura, ale komu był potrzebny księżyc?

— A czemu po nim tak płaczą?

— Może dlatego, że był bardzo ładny?... Ale to trudno! Jesteśmy biedni i chcemy być bogaci.

— Tak, ale...

— Przestań, bo sprowadzisz na nas nieszczęście!

Zaczął gorączkowo przywiązywać płachtę do kija, po czym schwycił jeden koniec, a drugi kazał chwycić Plackowi.

— Na ramiona! — zawołał.

Kij aż się wygiął pod ciężarem, oni zaś poczęli iść z wielkim trudem.

— Nie wiedziałem, że złoto jest tak ciężkie — westchnął Placek. — W którą idziemy stronę?

— Okrężną drogą wciąż na wschód, bo stamtąd zaczęła się nasza wędrówka.

W utrudzeniu szli przez cały dzień, często odpoczywając. Na popasach<sup>202</sup> ostrożnie zaglądali do wnętrza płachty i cieszyli się złotym blaskiem, który w słonecznym świetle jak gdyby nieco przygasił i zbladnął, wieczorem zaś układali swój ciężar pod drzewem i nakrywali go mchami i liśćmi, nie mogąc znieść widoku tej świetlistej aureoli, która promieniowała z dziwnego tobołu. Ze zdziwieniem dowiadawali się, że wieść o kradzieży

<sup>200</sup>włodarz (daw.) — władca, zwierzchnik. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>przędziwo — naturalne włókna, które można przetworzyć na przędzę; przędza. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>popas — przerwa w podróży. [przypis edytorski]

księżycą biegła przed nimi, bowiem zaraz po nastaniu wieczoru zaczynał się płacz drzew i rzewne narzekanie wód. Tego zaś nie wiedzieli, że na całej ziemi płakano nad stratą księżycy. Najserdeczniej lamentowali poeci, którzy pisali najpiękniejsze wiersze wtedy, kiedy on się do nich dobrotliwie uśmiechał lub kiedy wędrował nad wodą i odbijał się w toni, przesłizny i czarowny. Płakali wędrowcy, którym oświecał drogi. Płakali pastuszkowie, którzy nocą paśli konie. I żeglarze płakali, bo zagasnął na morzach złotem wyścielany gościniec. Płakali biedni, którzy wywodzili przed nim swoje żale, wiedząc, że pocieszyc ich pieszczotą promienistą i zajrzy w znękaną serca.

Gdyby chłopcy o tym wiedzieli, może byliby rozwiązali płachtę i wyjąwszy księżyc, troskliwie wrzuciliby go w toń wody, aby nazajutrz ukazał się na niebie. Nie słyszeli jednak płaczu całej ziemi, a nie chcieli słyszeć smętnego żalu drzew i wód. Chcieli być bogaci.

Duma ich upoiła, że do nieszczęsnego Zapiecka powrócą ozłoceni i strojni, chcieli też znaleźć się tam jak najprędzej. Dźwigali przeto swój złoty ciężar, uginając się pod nim. Szli i szli z twardym uporem, czujnie strzegąc swojego skarbu; zawsze pilnował go jeden z nich, kiedy drugi szedł na poszukiwanie pożywienia.

Po kilku dniach zdawało im się, że weszli w zaludniony kraj.

— Trzeba się będzie mieć na baczności — rzekł Jacek. — Gdyby nas kto zapytał, co niesiemy, powiemy, że kamień, bardzo ciężki kamień do młyna.

— Ciężki? — rzekł Placek. — Czy nie zauważyłeś, że od niejakiego czasu księżyc stał się jakoś lżejszy?

— I mnie się tak zdawało... Myślę jednak, że już przywykliśmy do ciężaru i stąd pochodzi to uczucie.

— Mnie się jednak zdaje, że coś się z tym księżycem wyprawia.

Jacek spojrzał na niego zaniepokojony.

— Co się może wyprawiać? Zresztą trzeba zobaczyć.

Rozchylił płachtę i spojrzawszy, wykrzyknął.

— Co się stało — pytał Placek — czy uciekł?

— Nie! Nie uciekł, ale... ale... została z niego tylko połowa! Spójrz!

Placek spojrzał i jego zdumienie nie miało granic.

— To są jakieś czary! Może pękł na dwie części, a my zgubiliśmy jedną?

— To niepodobna! Jeden z nas szedł zawsze w tyle i byłby musiał to zobaczyć. Placku, ja myślę, że on... że on... umiera!

— Czy księżyc może umrzeć?

— Widać może. Na niebie nie zawsze jest okrągły i cały.

— Tak, tak... Co robić?

— Musimy biec pośpiesznie, aby sprzedać choć jego połowę. Będziemy iść dniem i nocą, zanim nie dotrzemy do ludzi. W drogę!

Gnała ich jakaś zabobonna trwoga, bo poznali, że jakieś siły nieznanne i tajemnicze, bez przemocy i gwałtu, nie chcą im pozwolić na spełnienie świętokradztwa. Pot lał się z nich strumieniami, ranili stopy o ciernie, mieli odparzone ramiona.

— Znowu jest lżejszy! — wołał Placek.

— I znowu jest mniejszy! — wołał Jacek, przeplatając słowa łzami. — Prędzej, prędzej!

Już im brakło sił, ale mieli coraz mniejszy ciężar na ramionach. Minęło znów kilka dni, kiedy bez tchu prawie legli pod drzewem, a Jacek z trwogą zajrzał do płachty.

— Nieszczęście! — krzyknął. — Z księżycy został tylko złoty rogalik! Jednak jeszcze wiele pieniędzy dostaniemy za niego, jeśli dojdziemy do miasta.

Nazajutrz gorejącymi oczyma ujrzeli w sienie oddali wieże jakiegoś wielkiego miasta.

— Pod wieczór tam będziemy — rzekł Jacek — i może nam się opłaci nasz ciężki trud.

— Bogdajby tak było! — odpowiedział Placek, który szedł w tyle. — Ale spójrz tylko, co to się dzieje z płachtą.

Jacek przystanąwszy, szybko się odwrócił.

— Co się dzieje?

— Wiatr nią targa...

— Przekleństwo! — krzyknął Jacek. — Zobaczmy, czy w niej jest co jeszcze?

Rozgarnął płachtę i oniemiał: płachta była pusta. Pozostało w niej trochę złocistej mgły, którą wiatr w tej chwili ozłocił sobie skrzydła i odleciał uradowany.

Chłopcy usiedli na trawie i patrzyli na siebie zdumieni.

— To są jakieś przeraźliwe czary — rzekł Jacek z oczyma pełnymi łez. — Po co namęczyliśmy się tak okrutnie?

— Jak on mógł zniknąć? — pytał Placek sam siebie.

— Jak on mógł zniknąć?

— To chyba ta zaklęta płachta temu winna! — krzyknął Jacek, po czym, porwawszy ją w wielkim gniewie, podbiegł ku rzeczce, co niedaleko płynęła, i cisnął ją w wodę.

Nie słyszał, że woda aż zaszemrała z wielkiej radości.

Siedzieli osowiali i zgryzieni: osłabli z nadmiernego zmęczenia, nie mieli na nic ochoty, nie chcieli im się ani jeść, ani pić. Przesiedzieli tak przez cały dzień, wciąż żałośliwie wzdychając, aż do wieczora.

— On już musiał umrzeć wczoraj — mówił Placek.

— Ale gdzie się podział? Kto nas tak prześladuje? Mieliśmy skarb w rękę i szczel<sup>203</sup> nam w oczach. Ale gdzie się podział?

— Boże drogi! — krzyknął nagle Placek

— Co ci się stało?

— Tam! Tam!... Patrz... Ponad wodą...

Jacek spojrział i najwyższe zdumienie odbiło się na jego twarzy.

— To on! — wrzasnął.

— Tak, to księżyc.

Na liliowym niebie ukazał się cieniutki sierp księżyc. Na jego widok wielka radość zapanowała na ziemi i na niebie: radowały się szemrzące wody, radowały się rozchwanym śpiewaniem drzewa.

Chłopcy podnieśli się ciężko, pełni żalości i wstydu.

— Strasznie byliśmy głupi! — rzekł głucho Jacek.

Placek nic nie odrzekł, bo patrzył na księżyc oczarowanym spojrzeniem.

Znajdowali się na wzgórk, na którym stał słup z cudownym obrazem. W oddali było widać, jak wieże miasta pną się ku niebu.

— Chodźmy! — rzekł Placek.

Nagle ciszę wieczoru rozdarł przeraźliwy krzyk i straszliwe hałakowanie<sup>204</sup>. Nie minęła chwila, a chłopcy leżeli związani na ziemi.

„Zbójcy?” — pomyślał Jacek i omdlał z trwogi.

A sierp księżyc posuwał się po niebie, jak gdyby kosił lilie zachodu, które padały na cały świat.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY, W KTÓRYM JACEK I PLACEK DO- STAJĄ SIĘ W RECE STRASZLIWYCH ZBÓJÓW, KTÓRYCH MY WSZYSCY DOSKONAŁE ZNAMY

Chłopcy leżeli związani i zdumionymi oczyma patrzyli, co się działo dookoła. Na leśnej polanie płonęło srogie ognisko, rzucając krwawe blaski na dwanaście postaci, które mogą się przysnąć. Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia pługawa<sup>205</sup>. Niektórzy mieli noże za pasem, inni błyszczące u boku miecze, inni ściskali w rękę ogromne buławy<sup>206</sup>. Patrzyli ponuro w ogień. Obok chłopców, widocznie pilnując ich, stał na straży z dobytym mieczem zbójca, mniej od innych straszny, bez srogiej brody i wąsów, jeszcze młody, bo miał około trzydziestu lat. Spozierał on czasem z litością na więźniów, a z nieukrywaną trwogą na zbójców, którzy musieli mieć jakieś zmartwienie albo też gniew ich opętał, bo czasem zgrzytali zębami albo wywracali białka oczu na znak, że lepiej się do nich nie zbliżać.

Wtem jeden z nich wstał i potoczył po innych takim wzrokiem, jakby toczył młyński kamień. Był to człowiek ogromnego wzrostu, z brodą po pas, a wąs to miał taki, że

<sup>203</sup>szczesznać — zmarnować się; zginąć. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>hałakować — wydawać dzikie okrzyki bojowe. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>pługawy (daw.) — budzący wstręt swoim wyglądem. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>buława — rodzaj broni, mała maczuga. [przypis edytorski]

spadał aż do ziemi, dlatego też pewnie, aby się nie zaczepiał o korzenie drzew i o krzewy, końce tego wąsa powsadzał sobie za cholewy butów. Spojrzał groźnie i zakrzyknął. Głos miał taki, że drzewa zachwiały się, jakby powiał po nich nagły wiatr. Był to zapewne starszy zbójca, gdyż miał najokazalszą, krzemieniami nabijaną buławę, a kiedy się podniósł, wszyscy zwrócili wzrok ku niemu.

— Czy jesteście wszyscy? — zakrzyknął.

— Jesteśmy wszyscy, kapitanie! — ryknęli oni tak potężnie, że las drgnął, jakby chciał uciec.

— Policzmy się — wołał herszt<sup>207</sup>. — Czy widzicie swojego kapitana, Brodacza?

— Widzimy wszyscy!

— Przeto ja jestem, a teraz będę was wywoływać po kolei: Drapichrust!

— Jestem! — wrzasnął zbójca.

— Wystąp!

Podniósł się ciężko dużego wzrostu zbójca, ospowaty na twarzy, z zezowatymi oczyma.

— Możesz usiąść. Łamignat!

— Jestem, kapitanie!

— Wystąp!

Z koła wystąpił chuderlawy człowieczek na krzywych nogach.

— Dobrze! — rzekł kapitan. — Kartofel!

Nikt się nie odezwał.

— Kartofel! — huknął kapitan. — Gdzie jest zbójca Kartofel?

Obejrzeni się wszyscy krwawym wzrokiem i zbudzili Kartofla, który spał.

— Jestem! — mruczał Kartofel sennym głosem.

— Ha! Ha! — wrzasnął kapitan. — Znowu śpisz?!

— Przebac mi, kapitanie — rzekł zbójca z nosem zadartym i z pocziwą gębą.

— Możesz odejść!

Zbójca Kartofel nie odchodził jednak, gdyż już znowu zasnął, stojąc.

— Precz z moich oczu! — huknął mu nad uchem kapitan.

Zbójca otworzył jedno oko.

— Święta prawda... — mruknął i odszedł do ogniska, gdzie po chwili zasnął.

— Rozporek! — wołał herszt.

— Jestem, kapitanie! — zawołał cieniutkim, wysokim głosem zbójca, chudy i niemrawy.

— Odejdź!... Wieprzoweoko!

— Jestem!

Przed hersztem stanął straszliwy zbójca, który miał jedno oko jasne, a drugie ciemne.

— Trzęsionka! — wyliczał kapitan.

— Jestem!

— Wystąp! Gdzie jest twój nóż?

— Zgubiłem go, kapitanie...

— Ha! Ha! Zgubiłeś? Pewnie znowu uciekałeś?

— Jestem jak lew, kapitanie.

— Dosyć! Łapiduch!

— Na jednej nodze zaraz przychodzę! — wołał zbójca z bardzo śmieszną twarzą.

— Znowu gadasz wierszami?! — wrzasnął kapitan.

— Zetnij głowę, zedrzyj skórę, lecz już taką mam naturę — rzekł zbójca.

— Hu! Hu! Hu! — wrzasnęli zbójcy przeraźliwym śmiechem.

— Milczec tam! Gdzie jest Krwawakiszka?

— Jestem. Hi! Hi! Jestem, kapitanie — mówił, śmiejąc się, zbójca z pucolowatą gębą, tak świecąca, jakby była pomazana tłuszczem.

— Czy zawsze musisz się śmiać?

— Hi! Hi! Kapitanie, nawet wtedy, kiedy mam zarznąć człowieka.

— Precz mi z oczu! Niech tu stanie Krowiogon!

Z wieńca zbójców wyszedł wielki dryblas, który miał czarne włosy zaplecione w war-koczyki.

<sup>207</sup>herszt (pot.) — przywódca bandy. [przypis edytorski]

- Jestem, kapitanie!
- Goliat!
- Jestem!
- Wystąp!

Od ogniska podniósł się malutki, pulchny człowieczek, nie większy od dziesięcioletniego chłopca. Miał srodze nastroszone wąsy, a u kapelusza pióro tak wspaniałe, że się wlokło za nim po ziemi.

- Co masz w gębie?
- Goliat dmuchnął i wypuścił z ust dym.
- Gryzę sobie płonące węgle — odrzekł. — Bardzo to lubię.
- Odejdź! — krzyknął kapitan. — Robaczek!
- Jestem! — huknęło na cały las.
- Wystąp!

Zbliżył się Robaczek, chłop ogromny jak sosna; kiedy stapał, pod jego nogami trzeszczały krze<sup>208</sup> i dudniła ziemia.

Zazgrzytał zębami tak, że aż poleciały z nich skry.

- Kto pilnuje jeńców? — zapytał kapitan.
- Nieborak! — huknął Robaczek.

— Dobrze. Jest to młody zbójca i niech się potrudzi, a my pójdziemy spać. To był lichy połów, ci dwaj nakrapiani chłopcy. Coraz gorzej jest z naszym rzemiosłem... Jutro ich weźmiemy na męki, a teraz spać!

Zbójcy zaszemrali i zaczęli zgrzytać!

— Co to ma znaczyć?! — krzyknął kapitan. — Czy to bunt?! Ha! Takie ciężkie czasy, a wam bunty w głowie? Czy chcecie, bym każdego z osobna powiesił?!

Wśród zbójców podniósł się szmer i rósł coraz bardziej; wszyscy zaczęli ciskać błyskawice z oczu, prócz zbójcy Kartofla, który spał, ale i on coś gadał przez sen.

- Aaa! Więc to bunt! — ryknął kapitan.
- Tak, kapitanie. Niech Robaczek mówi...
- Gadaj! — zawołał kapitan. — Czego chce ta banda?

Robaczek stanął szeroko na nogach, odłamał szczyt wysokiej jodły, zgrzytnął zębami tak, jakby kto gryzł orzech, i huknął.

- Niesprawiedliwość dzieje się nam, kapitanie!
- Kto jest temu winien?
- Ty sam!

— Czy chcesz, abym ci mieczem przebił wątrobę?

— Nie chcę tego, kapitanie, ale sam kazałeś mówić. Chcę ci tedy powiedzieć, że nasze czcigodne zgromadzenie jest oburzone tym, coś ty, kapitanie, wczoraj uczynił.

— A cóż ja takiego uczynilem?

— Powiem ci, jeśli udajesz, że zapomniałeś. Stojąc na czatach za miastem, na wzgórku, u słupca<sup>209</sup>, podsłuchałeś, jak się dzieci modlą, aby ich ojciec szczęśliwie powrócił. Niedługo potem nadjechały wozy ich ojca, bogatego kupca. Rzuciliśmy się na nie, a ty spędziłeś bandę precz z drogi, wypuściłeś wolno kupca i jego bogactwa i kazałeś mu jechać w miasto, przemówiwszy łaskawie do dzieci i prosząc je o modlitwę. Cha! Cha! Ty, herszt sławnych zbójców, prosiłeś o paciorek, ale przez te twoje zachcianki my straciliśmy niezmierne skarby. Prawda to wszystko czy nieprawda?

Herszt podumał chwilę i rzekł:

- To wszystko prawda, wypuściłem kupca.
- Czemuś to uczynił?

— Bo i ja mam żonę, a u mojej żony jest synek taki maleńki jak ten, co się rzewnie modlił do Boga.

— Co nam twoja żona i twój syn! Jesteś hersztem zbójców.

— Tak, jestem słynny Brodacz, herszt zbójców. Widać jednak, że i ja mam duszę, bo mi się płakać chciało, kiedy słuchałem modlitwy tych piskląt.

— Pisklęta pisklętami, ale kupca trzeba było zarznąć!

<sup>208</sup>kierz (przestarz.) — krzak. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>słupiec (daw.) — słup. [przypis edytorski]

— Wierzcie mi, zbójcy, że pierwszy bym pałkę strzaskał na jego głowie, gdyby nie dziątek<sup>210</sup> pacierze.

Zbójcy wrzasnęli wielkim śmiechem.

— Nie śmiej się, Łamignacie, ani ty, Goliacie! Pomyślałem sobie, że kiedy się znajdziemy na boskim sądzie, to ten czyn będzie odczytany z wielkiej księgi i wiele mi za to będzie przebaczone.

— A kto nam zwróci bogactwa? — huknął Robaczek.

— Bogactw nam nie braknie, ale ponad bogactwa jest jeszcze coś...

— He! He! Cóż takiego?

— Sława! — zawołał herszt.

— A cóż to jest sława? — spytał zbójca Rozporek.

— Sława? Aby wam to wyjaśnić, to wam tylko powiem, że o tym zdarzeniu wczorajszym ludzie będą śpiewali pieśni, a poeci będą pisali wiersze.

Wtem Łapiduch, zbójca gadający wierszami, zakrzyknął:

— Klnę się na nóż i buławę, że zyskasz niezmierną sławę.

— Tak — wołał herszt — wielcy poeci o tym pisać będą!<sup>211</sup>

— Sława jeść nam nie da! — zakrzyknęli zbójcy. — Oddaj nam skarby!

— Uspokójcie się! — wołał herszt. — Chcąc zachować dzieciom ojca, pozwoliłem mu ująć z życiem i majątkiem. Na co nam brać na sumienie łzy sierocę? Za to jednak wymyśliłem taką wyprawę, na której zyskamy stokroć więcej.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — zawołali zbójcy.

Wtem z okropnym krzykiem porwał się miły zbójca Kartofel i z zamkniętymi oczyma zaczął uciekać w las. Schwytali go towarzysze, pytając:

— Zbudź się, co ci się stało?

— Ha! Gdzie ja jestem? Ach, więc mi się tylko śniło, że mnie wieszają...

Rzekł i znowu zasnął.

— Smutna to jest okolica, tam gdzie stoi szubienica — wygłosił Łapiduch.

— Uciszcie się! — wołali zbójcy. — Mów dalej, kapitanie.

Umilkli wszyscy, a maleńki zbójca Goliat, wyjąwszy z ogniska żarzący się węgiel, począł go zajadać ze smakiem.

— Kto je węgle tak zaciekle, temu dobrze będzie w piekle — mruknął Łapiduch.

Kapitan, zarzuciwszy wąż za ucho, mówił:

— Wiem o takich bogactwach, wobec których majątek kupca nie jest wart funta kłaków.

— Ho! Ho! — zakrzyknęli zbójcy, a Robaczek zgrzytnął zębami i z wielkiej radości wyrwał sosnę z korzeniem.

— Bardzo musi być radosny, kto wyrывa z ziemi sosny! — zadeklamował Łapiduch.

— Daleko stąd — mówił kapitan — znajduje się zamek, w którym wszystko jest ze złota...

Jacek i Placek, którzy słyszeli całą rozprawę zbójców, wyteżyli słuch.

— Mieszka tam obłąkany książę ze swoim dworem, wśród takich bogactw, że każdemu z was oko zbieleje, kiedy je ujrzy. Podwórzec wykładany jest złotem, broń sadzona diamentami, nawet ludzie są złoceni.

— Nadzwyczajna to jest cnota, gdy się zęby ma ze złota — rzekł z uznaniem Łapiduch.

Robaczek, który już powyrwał wszystkie rosnące w pobliżu drzewa, chwycił za nogę zbójcy Kartofla i byłby mu ją wyrwał, gdyby nie zezowaty Drapichrust, który ujrawszy to skośnym okiem, powstrzymał go.

— Trudno temu iść we drogę, komu nagle wyrwą nogę — wtrącił ostrzegawczo Łapiduch.

— Kiedy zdobędziemy ten zamek — wołał kapitan — będziemy bogatsi od króla. Będziemy rozsypywać perły i rozrzucać złoto. Nasze konie będą kute złotymi podkowami. Każemy sobie wysadzić diamentami buławy... Czemu śmiejesz się, Krwawakiszko?

— To z rozczulenia! — śmiał się wesoły zbójca.

<sup>210</sup>dziatki (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>wielcy poeci o tym pisać będą — Tak się istotnie stało, bo w sto dwadzieścia siedem lat potem wielki poeta, Adam Mickiewicz, zapewne to zdarzenie opisał w prześlizanej balladzie pod tytułem *Powrót taty*. [przypis autorski]



— A ty czemu płaczesz, Trzęsionko?  
 — To ze wzruszenia! — odrzekł zbójca.  
 — Pójdziemy jutro w drogę! — wołał kapitan. — Jest ona długa i ciężka, bo przedtem musimy zetrzeć w proch jednego czarownika, który ma jedno oko z przodu, a drugie z tyłu, ale ma też skarby niezmierne.  
 — Niech czym prędzej ten umyka, kto zobaczy czarownika — mruknął Łapiduch.  
 — Zabijemy go! — ryknęli zbójcy.  
 Jacek spojrzał wymownie na Placka.  
 — Teraz prześpiemy się — mówił herszt. — Jutro do dnia wyruszymy w drogę.  
 — Kapitanie! — huknął Robaczek. — Nie chcemy spać, chcemy ruszyć natychmiast!  
 — Czy zapomnieliście już o kupcu, którego puściłem wolno?  
 — Mądrze to uczyniłeś, wielki kapitanie! — krzyknęli zbójcy.  
 — Trzeba na to byle głupca, by pod miastem zarznąć kupca! — wygłosił wierszowaną sentencję miły zbójca Łapiduch.  
 — Chcecie tedy ruszać natychmiast?  
 — W tej godzinie! — odkrzyknęli. — Po co odkładać na później?  
 — Dobrze temu jest na świecie, co kupuje futro w lecie — rzekł mądrze Łapiduch.  
 — A cóż uczynimy z jeńcami? To jakieś sprytnie ptaszki, co udają żebraków, a przecież Rozporek widział na własne oczy, jak nieśli jakieś ciężkie złoto, które przeświecało przez płachtę.  
 — Widziałem! — pisnął cienkim głosem chudy zbójca. — Wrzucili je potem do wody.  
 — Wielkim musi być niecnotą, kto do wody rzuca złoto! — orzekł zgorszony Łapiduch.  
 — Muszą nam powiedzieć, gdzie się ono znajduje. Najlepiej będzie, jeśli ich tu zostawimy pod strażą Nieboraka, który będzie pilnował ich i naszych skarbów, a kiedy powrócimy, przypalimy im pięty.  
 — Nie zabieży ten daleko, komu pięty raz przypieką! — westchnął pocziwie Łapiduch.  
 — Hej! Nieboraku! — zawołał kapitan.  
 Młody zbójca, pilnujący chłopców, zbliżył się z lękiem.  
 — Czy słyszałeś, o czym to mówiliśmy?  
 — Słyszałem, kapitanie!  
 — Dobrze czyni ten, co słucha pięknych wierszy Łapiducha! — wygłosił własną pochwałę poeta.  
 — Wiesz więc o tym, że masz pilnować naszego dobytku i żywić konie, których nie weźmiemy z sobą.  
 — Kapitanie, a cóż będzie ze mną? — zapytał Nieborak. — Wszak za tydzień...  
 — Wiem, o czym mówisz, bądź cierpliwy, bo niedługo wrócimy. Dotrzymam słowa — dodał herszt cicho.  
 Nieborak pochylił smutno głowę, potem zapytał:  
 — A co mam uczynić z piegowatymi jeńcami?  
 — Puść wolno tych mizeraków<sup>212</sup> — szepnął kapitan, a głośno dodał: — Możesz ich zabić, gdyby chcieli uciekać. Ponieważ wybieramy się w długą drogę, będziesz miał wiele czasu, aby ich wziąć na spytki<sup>213</sup>. Wybadaj ich, co wrzucili do wody. Gdyby nie chcieli wydać sekretu, wyrwij im najpierw wszystkie zęby, potem wbij im drzazgi za paznokcie, potem każ im polykać węgle.  
 — To nie jest żadna kara, tylko przyjemność — rzekł Goliat.  
 — Milcz, zbójcu Goliacie, nie każdy może zjadać ogień tak jak ty!  
 — Jeden zjada bardzo pięknie, z czego drugi zaraz pęknie! — zauważył Łapiduch.  
 — A gdyby i wtedy milczeli? — zapytał młody zbójca.  
 — Posmaruj ich miodem i przywiąż do drzewa koło mrowiska. Na noc możesz ich wieszać, zaczepiwszy żebrem o hak. Możesz każdemu z nich wylupić jedno oko i obciąć jedno ucho.

<sup>212</sup>mizerak (pot.) — chudy, słaby człowiek. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>wziąć na spytki — natarczywie wypytywać. [przypis edytorski]

— Jest to radość bardzo krucha, nie móc ujrzeć swego ucha — powiedział smutno Łapiduch.

— A gdyby umarli?

— Wtedy puścisz ich wolno! — rzekł herszt.

— „Jestem wolny”, rzekł raz zając, na różnie się przypiekając — rzekł, kiwając głową, Łapiduch.

— A teraz w drogę, panowie zbójcy! — krzyknął herszt.

— Niech żyje kapitan! — ryknęli oni.

— Zły to bardzo jest kapitan, co nie żyje, gdy jest witan! — rzekł niepewnie Łapiduch.

— To, co teraz powiedziałaś, nie ma wcale sensu — zaśmiał się Rozporek.

— Sensu wprawdzie nie ma, ale jest do rymu, a to się często zdarza — odrzekł Łapiduch.

Zmitrężyli<sup>214</sup> godzinę, nie mogąc dobudzić Kartofla; kiedy go posadzono na koniu, natychmiast zasnął tak mocno, że koń począł ziewać i szedł sennie.

Herszt dosiadł czarnego rumaka, a Robaczek, choć miał pod sobą konisko olbrzymiej miary, jednak włókł nogami po ziemi.

— Dryblas konia męczy po to, aby jadąc, iść piechotą! — mówił zgorszony Łapiduch.

— Pilnuj ich dobrze, Nieboraku! — krzyknął herszt. — Choć sam jesteś kiepskim zbójcą, ale otrzymasz część łupu.

— Bardzo z tego nie utyje, komu stryczkiem ścisną szyję! — westchnął rzewnie Łapiduch.

— W konie! — krzyknął kapitan.

— Wcale mi to nie jest miło, że mój rumak jest kobylą! — zdążył jeszcze powiedzieć rymujący rzezimieszek.

Ziemia zadudniła pod kopytami i po chwili zbójcy wsiąkli w noc.

Zbójca Nieborak i chłopcy długo nasłuchiwali tętentu; ogień gorzał jeszcze jasno, pomimo tego, że Goliat zjadł połowę węgla.

Wreszcie zbójca usiadł na pniu tuż obok chłopców i rzekł:

— Czy słyszeliście, co powiedział kapitan?

— Słyszeliśmy — odrzekł smutno Jacek. — Czy będziecie nas męczyć?

— Jeżeli mi od razu powiecie, gdzie wrzuciliście złoto do wody, nic wam złego nie uczynię. Nie mam ja twardego serca i okrutnej duszy, ale mnie głowę utną, jeśli wam będę pobrażał. Powiedzcie mi po dobremu, co i gdzie cisnęliście w wodę?

— Szlachetny zbójco — rzekł Jacek — powiemy ci wszystko, lecz ty nie uwierzysz, a nie ma sposobu, aby cię przekonać.

— Czy to, co mi chcesz powiedzieć, jest tak nieprawdopodobne?

— Tak, bo zdarzyły się nam najdziwniejsze rzeczy. Strasznie my jesteśmy nieszczeniwi!

Zbójca spojrzął na nich ze współczuciem.

— Jestem gotów wysłuchać waszego opowiadania, bo mam dość czasu na to, aby was wziąć na tortury, gdybyście chcieli oszukać mnie łgarstwem. Moi towarzysze wrócą za jakiś miesiąc albo za dwa.

— O, nie! — rzekł Placek. — Oni wrócą chyba za rok, bo my wiemy, gdzie jest zamek złotych ludzi.

— A jakże wy możecie wiedzieć o tym?

— Panie zbójco — rzekł Jacek — jesteś dobry dla nas, więc ci wszystko opowiemy.

— Gadajcie!

— Przed wielu, wielu laty — mówił smutno Jacek — uciekliśmy od naszej matki...

Zbójca porwał się z pnia, na którym siedział.

— Dlaczegoście to uczynili? — zapytał drżącym z gniewu głosem.

— Z głupoty! — rzekł Jacek i skłonił głowę na piersi.

Zbójca patrzył na nich, kręcił głową i tłumił w sobie gniew. Wreszcie rzekł:

— Powinienem was zabić albo związanych wrzucić w to ognisko. Straszna się wam należy kara!

— Panie — rzekł cichym głosem Placek — myśmy już wiele, wiele wycierpieli...

<sup>214</sup>zmitrężyć — zmarnować czas. [przypis edytorski]

— Ty milcz — krzyknął zbójca — a ty mów dalej!

Jacek zaczął opowieść: mówił wzruszonym głosem, szczerze i serdecznie. Nie ukrywał powodów, które ich skłoniły do ucieczki, oskarżał siebie i brata o egoizm i brak serca.

Zbójca słuchając, patrzył w ogień, który czasem uderzony oddechem wiatru silniej rozbłysnął. Miał ten Nieborak dobrą twarz i wiele współczucia w spojrzeniu; może więcej dlatego niż z obawy tortur chłopcy poczuli do niego zaufanie.

Jacek opowiadał o strachach na bagnie i dziwnym starcu, którego skrzywdzili, a za którym powędrował las.

— Dziwne, dziwne opowiadasz mi rzeczy — rzekł zbójca. — I cóż się stało dalej?

— Potem — mówił Jacek — przeszliśmy cudem jakieś okolice, gdzie rozlewisko bagien otacza wyniosły pagórek, na którym...

Zbójca drgnął i spojrzał mu bacznie w oczy.

— Byliście na wzgórzu otoczonym bagnami? Mów prędzej, na Boga! Mów prędzej! Co widziałeś na tym wzgórzu?

— Na tym wzgórzu — opowiadał zdziwiony Jacek — widzieliśmy chatę...

— Czekał, przestań mówić! — mówił drgającym głosem Nieborak.

Położył rękę na sercu i przymknął oczy.

— Jak ci na imię? — rzekł po chwili dziwnym głosem.

— Jacek — odpowiedział chłopak z coraz większym zdumieniem.

— To wszystko prawda! — rzekł Placek w obronie brata.

— Słuchajcie — mówił zbójca, z trudem chwytając powietrze — zapytam was o coś, a wy zaklnijcie się, że mi powiecie prawdę.

— Przysięgamy ci na serce matki — powiedział Jacek wzruszonym głosem.

— Na serce naszej matki — dopowiedział jak echo równie wzruszony Placek. — Pytaj, panie!...

— Wierzę wam... Więc mi powiedzcie, czy na tym wzgórzu w tej chacie był kto żywy?

Mówiąc to, wpił się spojrzeniem w ich twarze i widać było, że wstrzymał oddech w piersi, oczekując odpowiedzi.

Jacek, czując, że coś się dziwnego dzieje, odrzekł głosem wyraźnym i jakoby uroczystym:

— Na tym wzgórzu spotkaliśmy kobietę, która nocami paliła wielki ogień, aby jej syn, którego oczekiwała, mógł przejść drożyną przez bagna.

— O Jezu! — krzyknął zbójca.

— Co ci się stało, panie? — zawołał przełęczniony Jacek.

Zbójcą wstrząsało łkanie.

— Mówisz, że paliła ogień? — pytał wśród łez.

— Tak, panie. Noc w noc gorzał ogień, a ona wypatrywała oczy. A we dnie wywieszała z daleka widną czerwoną chustę.

— Tak, tak... Chusta była czerwona...

— Czy znasz, panie, tę kobietę? — zapytał Jacek.

— To moja matka! — jęknął zbójca, a ogromne łzy potoczyły mu się po twarzy.

Chłopcy spojrzeli na siebie ze zdumieniem, rozmyślając, jak dziwne są wyroki Opatrzności; jednakże ze zdumieniem jeszcze większym patrzyli na tego dziwnego zbójcę, co jak dziecko płakał na wspomnienie matki. Wielki wstyd zalał im serca: oto dziki zbójca, z kindziałem<sup>215</sup> za pasem, jest lepszy od nich, bo oni wspomnieli matkę dopiero w nieszczęściu i biedzie, on zaś ronił łzy na samo jej wspomnienie.

— Mówcie mi o niej — rzekł wreszcie — mówcie jak najwięcej! Jak wygląda moje matczysko?

— Widzieliśmy ją dawno, przed dziesięciu coś laty. Wyglądała zbiedzona, lecz oczy miała żywe i gorejące. Była bardzo znużona czuwaniem, więc my...

— Co uczyniliście wy?

— Nie wiem, panie, czy należy nam mówić o tym.

— Mówcie, na Boga!

<sup>215</sup>kindział — długi nóż, często zakrzywiony. [przypis edytorski]

— Widząc — rzekł Jacek, spuściwszy oczy — że nie ma wiele sił, aby zbierać drwa na ognisko, skorzystaliśmy z tej chwili, kiedy zasnęła, i wtedy...

— I wtedy?

— Zgromadziliśmy jej wielkie zapasy paliwa, aby się nie męczyła.

Zbójca spojrział na nich długim spojrzeniem i nagle, wyrwawszy nóż zza pasa, przeciął im więzy.

— Braćmi moimi od dziś jesteście — zawołał.

— O, panie! — zakrzyknęli uszczęśliwieni.

— To moja matka was uwalnia!

— Ależ ty głową za nas odpowiesz!

— Dziesięć razy oddałbym życie za tego, który pomógł mojej matce.

— Panie! — rzekł, ukrywając spojrzenie, Jacek. — Miłujesz ją z całej duszy. Jakże się stać mogło, że od tylu lat nie uciekłeś od zbójców, aby ją zobaczyć?

Zbójca Nieborak patrzył w mrok i w gęstwę lasu, jak gdyby chciał dojrzeć płonące gdzieś w niezmiernej oddali ognisko na górze wśród bagien.

— Krótka jest moja historia — rzekł z westchnieniem. — Mój ojciec utonął w bagnie i bylibyśmy zginęli z głodu. Byłem małym chłopcem, lecz nie mogłem bez łez patrzeć na to, jak straszliwą pracę spełnia moja matka. Jednego tedy dnia padłem do jej nóg i wyblagałem, aby mi pozwoliła iść w świat po chleb. Postanowiłem schodzić nogi do kolan, a ręce urobić po łokcie, aby powrócić do niej z dobytkiem, zabrać ją znad bagien i pędzić życie w jakimś wesołym kraju. Serce mi się krajało, kiedy odchodziłem. Moja matka obiecała mi, że nocami będzie paliła ogień, abym nie utonął w topielisku jak mój ojciec. Przewędrowałem chyba pół świata w nędzy i poniewierce. Nie jadłem, aby odłożyć grosz dla matki, nie spałem, wiedząc, że ona, biedactwo, czuwa i też nie śpi. Ciężkie było moje życie, ale Bóg pozwolił mi zebrać wreszcie nieco grosza, który niosłem dla niej. Moja radość była niezmierna. Wracałem szczęśliwy. Minęło jednak już wiele lat od czasu rozpoczęcia mojej wędrówki i zapomniałem drogi powrotnej. Zbłąkany szedłem lasem i wtedy napadli mnie zbójcy...

— Czy ci, którzy tu byli? — zapytał Placek.

— Tak, to byli oni. Nikt nie zdołał pojąć mojej rozpacz. Serce konało we mnie. Zabrali mój mizerny dobytek i chcieli mnie zabić. Myślałem wtedy, że najlepiej jeszcze będzie, jeśli tak się stanie. Musiałem strasznie rozpaczać, tak bardzo, że się tym wzruszył ten zbójca, co układa wiersze. Nazywa się Łapiduch. To jest śmieszny i bardzo pocziwy zbójca. W nocy zbliżył się do mnie i słysząc mój płacz, szepnął mi: „Nawet i mizerna mucha nie boi się Łapiducha!”. Ciągłe gadał wierszami, ale ich nie pamiętam. Kazał sobie wszystko opowiedzieć, a potem powiedział: „Wszystko w świecie jest na opak, aleś ty pocziwy chłopak!”.

— Och, wybornie! — zakrzyknął Jacek. — I co? I co?

— Poszedł on do kapitana i długo coś z nim szeptali, a nazajutrz uradzili wszyscy, żeby mnie nie zabijać, ale włączyć do bandy. Krzyknąłem z rozpacz, a kapitan, co ma bardzo litościwe serce i tylko tak strasznie wygląda, powiedział, że nie na zawsze z nimi zostanę, tylko przez dziesięć lat, a jeżeli będę się dobrze sprawiał i nigdy ich nie zdradzę, to po latach dziesięciu oddadzą mi mój dobytek i dodadzą mi tysiąc razy tyle. Gdybym zaś uciekł, to mnie wynajdą pod ziemią, zabiją mnie, a potem wynajdą moją matkę i wezmą ją do niewoli. Zapłakałem gorzko i musiałem zostać. Nie było mi źle, ale nigdy nie nauczyłem się zbójnickiego rzemiosła, dlatego nazwali mnie Nieborakiem i używali mnie jedynie do pilnowania jeńców i skarbów, które są ukryte niedaleko stąd w pieczarach. Jest tam wiele bogactw i koni.

— I nie uciekniesz?

— Przysięgłem, że nie ucieknę, ale za tydzień przysięga moja będzie rozwiązana.

— Za tydzień? Czemu?

— Wtedy właśnie minie dziesięć lat. Zanim zbójcy wyjechali, przypomniałem o tym kapitanowi, a on mi szepnął, że dotrzyma słowa.

— I dotrzyma?

— Jeśli wróci, to dotrzyma, bo jest bardzo czuły na honor.

— A jeśli do tego czasu nie powróci?

— Odejdę sam!

Matka, Syn

— A nas zabijesz?

— O, nie! — zaśmiał się Nieborak. — Kapitan tylko udawał, że was chce skazać na męki. Jeden Robaczek w całej bandzie jest krwi chciwy, a inni to tylko udają straszliwych potworów, ja myślę, że ze strachu, bo się sami wiecznie boją i w ten sposób dodają sobie ducha.

— I my będziemy mogli wrócić do matki?

— A gdzieżby? — spytał ze zdumieniem Nieborak. — Gdzie mieszka wasza matka?

— Jedną musimy iść drogą. O, panie! — zawołał Jacek. — Pierwszy raz w życiu jestem szczęśliwy. Placku, o czym myślisz?

Placek nie odpowiedział, tylko wpatrzony w ogień usilnie pracował głową i w jakimś niezmiernym trudzie chciał z niej coś wydobyć.

— Co się jemu stało? — spytał Nieborak.

— Wygląda, jakby zwariował — rzekł zaniepokojony Jacek. — Placku, co tobie?

— Mam! — zakrzyknął Placek, podniósł rękę i wyrzekł uroczyście: — Matka czeka swego dziecka, więc wędruję do Zapiecka!

— Nowy Łapiduch! — zakrzyknął ze śmiechem Nieborak.

Jacek natomiast spojrział z podziwem na brata, w którym się narodził tak wzniosły poeta.

— Uściskajmy się! — zawołał zbójca Nieborak.

Sowy i puchacze patrzyły ze zdumieniem, jak trzy widma tańczą w noc dookoła ogniska.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY, W KTÓRYM JEDNO SŁOWO DO DRUGIEGO SIĘ UŚMIECHA I TYLKO SŁOWO: KONIEC — SMUTNĄ MA MINĘ

W osiem dni potem trzech strojnych jeźdźców pędziło na wspaniałych rumakach; każdy z jeźdźców wiódł prócz tego na lince ciężko obciążonego luzaka<sup>216</sup>. Konie były bogato przybrane, siodła nabijane drogimi kamieniami, ludzie zaś byli przybrani po pańsku, w aksamity i altembasy<sup>217</sup>. Na kołpakach mieli kolorowe pióra, za pasem kindżały, w głowniach sadzane rubinami. Świeciło na tych młodych postaciach srebro i złoto, najjaśniej jednak świeciła radość na ich twarzach. Jeden z jeźdźców miał powagę na pięknej twarzy, dwaj inni mieli na swoich gęste piegi. Na końcu świata poznalibyśmy po tych licznych znakach Jacka i Placka, jadących z Nieborakiem.

Wyczekał on sumiennie terminu, po czym, po głębokim namyśle, postanowił ważyć się na wielkie przedsięwzięcie. Codziennie zwiedzał grotty, w których niezmiernie bogactwa nagromadziły jeszcze dawniejsze pokolenia zbójców, a banda kapitana Brodacza znacznie je powiększyła. Wreszcie wybrał spośród nich takie cenne rzeczy, które leżały tam chyba od stu lat, dziś już nie wiadomo czyje. Zbójcy powiedzieli przed dziesięciu laty, że mu tysiąckrotnie zapłacą za lata niewoli i zbójckiej służby. Brał więc spokojnie, wiedząc, że przynajmniej część tych skarbów wróci do ludzi i jakieś lży obetrze, a dawne krzywdy, co już nie mogą być naprawione, przynajmniej jakąś nędzę nakarmią. Z serdecznym wzruszeniem odnalazł swoje zawiniątko i uciulane w nim grosze; ukrył je na piersi, bo mu były cenniejsze od tych wszystkich cudzych skarbów.

Jackowi i Plackowi oczy wylażyły na wierzch na widok tych nieprzebranych bogactw. Dziwna jednak rzecz! Patrzyli na nie ze zdumieniem, ale nie zachłannie; widzieli już przekłute skarby złotych ludzi i rozumieli wiele. Nie mogli jednak ukryć radości, kiedy wraz z Nieborakiem przywdziali świetne stroje, zrzuciwszy wstrętne lachmany.

— Gdyby nie nasze gęby, można by mniemać, że jesteśmy królewskiego rodu! — rzekł z radością Jacek.

— O tak, bracie królewiczu z Zapiecka! — zawołał Placek.

— Czasem i królewicz ma brata idiotę! — mruknął z głębokim przekonaniem Jacek.

Rozpierała ich radość i chcieliby już gnać na szybkich rumakach, których wiele stało w ukrytych stajniach. Nieborak wybrał sześć najszybszych, a resztę puścił wolno w las,

<sup>216</sup>luzak — niezaprężony, idący luzem koń. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>altembas — zlotogłów, jedwabna tkanina przetykana nićmi ze złota. [przypis edytorski]

aby nie poginęły z głodu. Wciąż był zamyślony i pilnie nasłuchiwał każdego szelestu, kiedy zaś przeminął tydzień, przeżegnał się i rzekł:

— W drogę, najmilsy, i niech nas Bóg ochrania!

Kierowali się słońcem i gwiazdami. Nie jechali wprost na wschód, obawiając się, że się mogą natknąć niespodzianie albo na czarownika, albo na zamek złotych ludzi, albo na to miejsce, gdzie w lasach zapadli zapewne zbójcy, lecz czynili daleki krąg, wędrując po nieznanych drogach i po dzikich pustkowiach. Chłopcom zdawało się czasem, że poznają znajome okolice, co jednakże było tylko złudzeniem, gdyż lasy są do siebie podobne, a w owych czasach ciągnęły się one na niezmiernych przestrzeniach. Czasem spotykali ludzkie sadyby<sup>218</sup>, gdzie kłaniano się im w pas; powiadali się wtedy posłami króla do sułtana tureckiego, dla którego wiozą podarunki. Przy spotkaniu z ludźmi ratowali zawsze każdą napotkaną nędzę, głód i biedę.

Słońce opaliło im twarze, a świeże powietrze karmiło ich zdrowiem, wciąż im się tylko zdawało, że konie biegają zbyt powoli. Chcieliby być jak najprędzej tam, dokąd dążyli, nie mogli jednak jechać zbyt szybko w dzikim kraju, w którym dróg jeszcze nie było, i z trzema ciężko obciążonymi końmi. Odpoczywali też często, nocami patrząc w gwiazdy. Chłopcy opowiadali Nieborakowi swoje przygody, których słuchał z podziwem i zdumieniem.

— Ciężko was Bóg pokarał, ale wam za to odmienił dusze — mówił. — Niestety wiele uczy. Czy tylko, o Boże, czy tylko żyją jeszcze nasze matki?

Wtedy zamierały w nich serca i bez zwłoki dosiadali koni, gnając je bez wytchnienia.

Mieli przed sobą wielką drogę. Mijały tygodnie, a oni wciąż jeszcze nie dotarli do znajomych szlaków. Nie obawiali się zbójców, Nieborak bowiem znał wszystkie zbójckie hasła i wiedział, że kruk krukowi oka nie wykole, a zbójca nie uczyni krzywdy swojemu komilitonowi<sup>219</sup>. Bardziej lękali się dzikiego zwierza, którego wonczas<sup>220</sup> pełno było w lasach; mieli wprawdzie ze sobą broń, zawsze jednak któryś z nich musiał nocą odbywać straż. Kiedy podczas miesięcznych nocy kolej stróżowania przypadła na Jacka lub Placka, czuli się dziwnie niepewnie i starali się ukryć twarz przed księżycem. Niemiała to była historia z tą kradzieżą księżycy, woleli przeto nie przypominać mu się zbyt.

Szczęście im sprzyjało, gdyż w ciągu długiej podróży nie zdarzyło im się nic groźnego; czasem tylko koń okulał, czasem Jacek i Placek zlatywali z niego okrężną drogą przez koński łeb, co nie jest zwyczajem dobrych jeźdźców.

Jednego dnia zbliżyli się do wielkiego jeziora; ostrożnie jednak wychynęli z lasu, bowiem przestraszyła ich dziwna wrzawa na jeziorze.

— Co się dzieje na tej wodzie? — zapytał zdumiony Nieborak.

— Ha! — krzyknął Jacek. — To pelikany!

— My znamy to jezioro — zawołał Placek.

— Tak, tak, to to samo — mówił Jacek. — Omal w nim nie utonęliśmy, kiedy pelikany spadły z nami do wody. Były wtedy dwa tylko, a patrzcie, co się teraz dzieje!

Chmura pelikanów, nie zwracając na nich uwagi, odbywała łowy z niewielkim jednak powodzeniem.

— Może wśród nich są i nasi przyjaciele — rzekł ze wzruszeniem Jacek. — To były dobre ptaki, choć dziwnie żarłoczne. Stworzyły liczną rodzinę, a same chyba zdechły z głodu, bo potomstwo ma zdumiewający apetyt.

— Czy znacie już stąd drogę? — zapytał ze wzruszeniem Nieborak.

— Przypominamy sobie, że na zachód od tego jeziora mieszkał czarnoksiężnik, a w przeciwnej stronie, ale bardzo daleko jest wielkie miasto, od którego już blisko do twoich bagien. Nie popasajmy tu jednak zbyt długo, bo im dalej będziemy od czarnoksiężnika, tym lepiej dla nas.

Nagle w lesie ozwał się przeraźliwie smutny bek kozy.

— W nogi! — wrzasnął Jacek.

— To ciotka beczy! — krzyknął z przestachem Placek.

Gnali długo, nie obejrzawszy się nawet. Znowu wędrowali przez wiele dni, aż ujrzeli rzekę srebrzyście wijącą się wśród pól i lasów. Konie, poczuwszy wodę, zaczęły strzyc

<sup>218</sup>sadyba (daw.) — osiedle. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>komiliton (przestarz.) — kolega. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>wonczas (daw.) — wtedy. [przypis edytorski]

uszyma, a i jeźdźcom uczyniło się różniej, bo im się wydało w przeczystym świetle ranka, że gdzieś na widnokręgu zamajaczyły wieże miasta.

Im bardziej zbliżali się do rzeki, tym więcej zaczęli czuć jakąś dziwną woń. Konie stały się niespokojne, a jeźdźcy zatykali nosy.

— Co to może być? — zapytał Nieborak.

— Okropnie to pachnie — rzekł Jacek.

— Ja myślę, że gdzieś w pobliżu leży albo zdechły zając, albo jakaś większa zwierzyna.

— Patrzcie, tam jest most!

— Stamtąd właśnie wiatr przynosi tę woń...

Jacek zaczął się kręcić na siodle, schwycił wiatr w nozdrza i rzekł z największym po-dziwem:

— Ja znam ten zapach!

— I mnie się coś majaczy — mówił Placek, na próżno starając się sobie coś przypomnieć.

Zbliżyli się do mostu, gdzie u przyczółka<sup>221</sup> stał domek człowieka pobierającego my-to<sup>222</sup>.

— Zapach idzie z tego domku — rzekł Nieborak. — Muszą tam być zdechłe ryby...

Na odgłos tętentu otworzyły się drzwi domku i stanął w nich dziwaczny człowiek, bardzo pokraczny, na krzywych nogach, z garbem na plecach, z kilkoma włosami na brodzie. Od niego właśnie biła ta przejmująca woń.

Jacek i Placek przyjrzeni mu się pilnie i ich zdumienie nie miało granic.

Człowieczek zbliżył się do koni, które zaczęły się cofać, parszając z powodu zabójczej woni, i rzekł:

— Witam was, dostojni panowie. Raccie zapłacić myto za przejazd przez most.

— Uczynimy to natychmiast, szlachetny hrabio Mortadello! — rzekł Jacek.

Pachnący człowieczek spojrział na nich zdziwiony.

— Nie wiem, skąd znacie moje piękne nazwisko — rzekł — bo ja nie mam zaszczytu was znać.

— Zanim ujrzeliśmy Waszą Dostojność, poznaliśmy cię po tej twojej pomadzie na piękność!

— Cha! Cha! — zaśmiał się hrabia. — To jest wspaniała i niezrównana pomada. Jednak jest mniej skuteczna na zachowanie piękności, ale ma inne walne<sup>223</sup> zalety, bo na dziesięć mil dookoła zdechły wszystkie muchy i komary, których tu przedtem było w bród.

— Jak to się stało, szlachetny hrabio — pytał Jacek — że potężny namiestnik został dozorcą mostu?

— Rząd się zmienił — odrzekł melancholijnie hrabia Mortadella.

Nieborak przysłuchiwał się tej rozmowie z wesołym zdumieniem.

— Rad bym jednak — rzekł hrabia, pilnie im się przypatrując — dowiedzieć się, z kim mam szczęście i honor wspominania dawnych czasów?

— Nie poznajesz nas, przystojny hrabio?

Mortadella przyjrzał się im bacznie i mówił jakby do siebie:

— Gdyby nie te księżęce stroje i te rumaki, mógłbym mniemać... Ależ tak! Takich twarzy nie zapomni nikt, kto je widział choćby raz w życiu... Ach! Ach! To wy jesteście owi nieporównani szybkobiegacze, którym kazałem dać...

Przerwał zawstydzony, a Jacek na to:

— Dokończ teraz, wspaniały hrabio, bo wtedy nie dokończyłeś.

— Czy pragniecie zemsty? — zapytał hrabia z drżeniem, spojrzawszy na ich miecze.

— O, nie! — zawołał Placek. — Słusznie nam się wtedy należało.

Hrabia odetchnął i zapytał:

— Jakże to się stało, że z dwóch łapserdaków wyrosło... trzech wspaniałych rycerzy?

— Rząd się zmienił — zaśmiał się Jacek.

— Wszystko jest możliwe — rzekł smętnie hrabia.

<sup>221</sup>przyczółek — zabudowanie podpierające koniec krańcowego przęsła mostu lub wiaduktu. [przypis edytor-ski]

<sup>222</sup>myto (daw.) — opłata za przejazd przez most. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>walny — istotny, ważny. [przypis edytorski]

Tymczasem Placek, poszeptawszy na stronie z Nieborakiem, wysupłał kilka dukatów i rzekł:

— Racz przyjąć, nieszczęsny hrabio, tę drobnostkę.

— Och! Och! — stęknął z zachwytem hrabia. — Za tę cenę możecie do końca życia przejeżdżać przez most tysiąc razy dziennie. Za tak wspaniały dar muszę i ja wam dać pamiątkę.

Wydobył coś z kieszeni i wyciągając rękę ku Plackowi, zawołał:

— Przyjmij to, hojny panie!

— Co to jest? — zapytał niepewnie Placek.

— Pomada mojego wyrobu — rzekł z dumą Mortadella.

— W konie! — wrzasnął Jacek i pognali jak wicher, zostawiwszy w niepomiernym zdumieniu hrabiego Mortadellę i jego pomadę.

Zadudnił most, a za chwilę pędzili urodzajnym krajem. Ominęli miasto, na którego widok Jacek i Placek poczuli jakieś niemiłe swędzenie pięt, i zmieniawszy nieco kierunek, jechali aż do wieczora wśród bujnych zbóż. Zatrzymali się na widok chłopca, który dojrawszy ich, uśmiechnął się i zapytał:

— Czy zdrowi jesteście, jaśnie wielmożni panowie?

— Dziękujemy wam, jesteśmy zdrowi! — odrzekli.

— To bardzo dobrze, gdyż zmartwiłbym się, gdyby było inaczej.

— Powiedzcie nam, dobry człowieku — zapytał drżącym głosem Nieborak — czy są tu w pobliżu bagna?

— A czemuż by nie miały być? Zawsze były, to i są.

— A daleko?

— Ej, nie bardzo...

— Mila będzie?

— Pewnie będzie mila.

Wtem Jacek trącił Placka i mrugnąwszy wesoło, zapytał:

— A może dwie?

— Musi być ze dwie...

— A może sto?

— Jak dobrze rozważyć, będzie ze sto.

Nieborak słuchał zdumiony, a Jacek pytał dalej:

— A dużoście już przenieśli królewskiej ziemi?

Chłop pokazał w uśmiechu zęby i rzekł:

— Widzę, że znacie mnie i moją sprawę z królem: mam już coś niecoś pola, ale nie zanadto.

— A które to wasze?

Chłop pokazał ręką dookoła.

— To wszystko już moje, ale mało tego.

— Jakżeż mało? Przecież wzrokiem tego nie ogarnie!

— Iii... Ziemi zawsze za mało — rzekł chłop.

— I ciągle ją nosicie?

— Jakbyście zgadli.

— To królowi niedługo nic nie zostanie?

— I mnie się tak widzi — zaśmiał się chłop.

— Macie tu dukata, dzielny człowieku — rzekł Placek.

— Przyda się — uśmiechnął się chłop — dużo to jest pieniędzy!

— A cóż z nimi zrobicie?

— Jak to co? Dokupię ziemi.

— A macie już żonę?

— Jeszcze nie, bo ziemi mam za mało, ale już miałem gospodynię. Dobra to była kobieta, bo mało jadła, ale taka chuda, że nie zawsze ją było widać.

— A skąd ona była?



— Sam dobrze nie wiem — rzekł chłop. — Gdzieś z daleka wiatr ją przyniósł. Zaczęła się kiecką o drzewo i narobiła wrzasku, tom ją zdjął. Pilnowała mi za to gospodarstwa, ale nigdy nie chciała powiedzieć, skąd ją przywiało ani kto ona zacz<sup>224</sup>.

— A modliła się kiedy? — zapytał drżącym głosem Jacek.

— Z początku nie chciała, alem ją sprzał co nieco, to się potem modlić nauczyła.

— Dziwne, dziwne!... — szepnął Placek.

A Jacek na to:

— Lepiej, że sobie stąd poszła. A długo była w tych stronach?

— Nie bardzo, bo jednego dnia przyleciała ogromna wrona, pogadała z nią po swemu, potem baba siadła na wronę i tylem ją widział.

— Całe szczęście — rzekł Jacek — bo to była żona straszego czarownika i sama pewnie czarownica.

— To i co z tego? — zaśmiał się chłop. — Jakbym jej był kazał nosić ziemię od rana do nocy, toby jej się odechciało czarów. Szkoda, że nie wiedziałem, iż to taka czarownica, bo byłbym jej kazał wyjadać robaki z pola. Po co ja jej dawałem uczciwego chleba?

— Macie go dosyć.

— Mało jeszcze, strasznie mało — żalił się uśmiechnięty chłop.

Życzył im szczęścia, zdrowia i milej podróży.

— Ale — dodał — przez bagna nocą się nie przedzierajcie, bo tam nikt żywy w ciemności nie przejechał. Trzeba czekać dnia.

— Bóg nas przeprowadzi! — rzekł ze wzruszeniem Nieborak.

Kiedy minęli wyłoczone pola i przebyli nieurodzajne, karłowatymi krzakami porośnięte pustkowia, wyszedł naprzeciwko nich wieczór, siwymi mgłami zasnuty. Po wilgotnej woni powietrza poznali, że dookoła rozlały się dymiące oparami bagna. Jechali ostrożnie ledwie widną drożyną, zygzakiem pełzającą wśród zdradliwej zieleni.

Chłopcy zawahali się.

— Bracie — rzekł nieśmiało Jacek — czy nie lepiej doczekać się dnia?

— Pozostańcie, jeśli chcecie — rzekł Nieborak — ale ja pojedę. Moja matka czeka na mnie.

— Pojedziemy razem! — rzekł Placek.

— Przypominam już sobie tę drogę — mówił Nieborak, bystrze patrząc w mrok, ciężko oddychający mgłami.

— Słyszać jakieś głosy... — szepnął z trwogą Jacek.

— Bagno zawsze gada — odparł Nieborak. — Tylko góry milczą, które są dostojne.

Jechali w milczeniu, czasem tylko czyniąc na piersiach znak krzyża, kiedy daleko na bagniskach zapłakało coś rozdzierającym głosem.

— Bóg jest z nami — mówił wtedy Nieborak.

Na niebie nie było ani jednej gwiazdy, jak gdyby nie chciały świecić nad zatęchłym<sup>225</sup> oparzeliskiem<sup>226</sup>. Jednakże jedna z nich musiała się od niejkiej chwili litościwie zapalić krwawym blaskiem, bo na nieboskłonie ukazało się migotliwe światełko.

Jacek dojrzał je pierwszy i rzekł drżącym głosem:

— Już nie zginiemy.

Spojrzał niedawny zbójca i nagle wielki szloch wstrząsnął jego piersią.

— O, matko moja! — zawołał. — Światłości wśród nocy, gwiazdo promienista!

Chłopcy poczuli lzy na rzesach.

Kierując się światłem, co wciąż rosło, pognali konie. Coraz bliżej, coraz bliżej widzieli przed sobą płomienisty szczyt wzgórza. Nieborak dotknął ręką tego miejsca, gdzie łopotało jego serce. Jechał na przedzie i spojrzeniem, jak ostrym pazurem, rozdzierał mrok, coraz bardziej rzednący i coraz mocniej malowany różowym odbłaskiem ognia. Kiedy zaś poczuli twardą ziemię, pognali konie w cwał. Mrok uciekał przelekle przed tą gromadką purpurowych jeźdźców w purpurowym blasku. Pędzili szybko pod górę, aż nagle przystanęli zdyszani, wpatrując się jak oczarowani w ognisko.

Cisza była wielka. A wtem ozwał się słaby, jakby łzami nabrzmiały głos:

<sup>224</sup>kto ona zacz (przestarz.) — kim ona jest. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>zatęchły — wilgotny, gnijący. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>oparzelisko — niezamarzające zimną torfowisko, nad którym unoszą się opary (stąd nazwa). [przypis edytorski]

— Czy to ty nadchodzisz, mój synu?

— To ja, to ja, matko moja! — zawołał Nieborak.

Ogień strzelił w górę pysznym płomieniem, zaśpiewała noc.

Chłopcy patrzyli przez łzy, jak biedna kobiecina, slaniając się z nadmiernego szczęścia, ścisła i okrywa pocałunkami najdroższą głowę kłęczącego u jej stóp syna.

Nie ma w języku ludzkim takich słów, napęczniałych od niezmiernej miłości, i nie ma słów tak rzewnych, a zarazem tak uśmiechniętych, aby można nimi wypowiedzieć szczęście tej bohaterskiej matki i jej syna. Słońce już wstało, a oni, śmiejąc się i płacząc na przemiany<sup>227</sup>, jeszcze się witali. Chłopcy patrzyli na to z cichą zazdrością, ale i w nich rozpląkały się serca z wielkiego szczęścia, kiedy kobieta ucałowała ich głowy i rzekła synowi:

— Już sił nie miałam, ale ci dobrzy chłopcy mnie poratowali. Gdyby nie mieli matki, ja bym nią była dla nich.

— Wracają właśnie do swojej matki — rzekł Nieborak — i wiozą dla niej wiele dobytku.

— Przecie to wszystko twoje — rzekł Jacek.

— O nie, bracia moi, wasze jest to, co jest na dwóch koniach! Jedźcie czym prędzej, bo nie macie chwili do stracenia!

Odjechali, spoglądając przez łzy na to ogniste wzgórze. Słońce przeprowadziło ich przez bagna na bezpieczne ziemie. Jechali smutni, z wielkim ciężarem na sercach, wspominając minione. Nieborak zastał swoją matkę przy życiu, czy oni znajdą jeszcze swoją? Czy nie zabiła jej boleść i ich niewdzięczność? Czy nie zamordował jej głód? Czy tęsknota nie wypła z niej życia?

Gnali znużone konie, ale ich niepokój biegł szybciej przed nimi.

— Musimy dać koniom wytchnienie w tym brzozowym gaju — rzekł wreszcie Jacek.

Placek spojrział i krzyknął:

— O Boże!

— Czemu wzywasz Boga?

— Bracie, czy nie poznajesz tego gaju?

Jacek spojrział we mgłę wspomnień i ujrzał w nich brzozowy las, wędrujący za przywieszonym starcem.

— Może nam to Bóg przebaczy — rzekł. — Udajmy się w tę stronę.

Ujrzeni starca, co miał więcej niż sto lat, zbierającego zioła; zsiadli z koni, podeszli ku niemu i skłonili się nisko.

— Staruszk — rzekł ze drżeniem Placek — czy nas pobłogosławisz?

— Z całego serca — odpowiedział starzec.

— Nie jesteśmy godni! — szepnął Jacek. — Ale uczyni to, święty człowieku.

— Nie ma takiej winy, której by nie można zmyć łzami żalu i skruchy — odrzekł słodkim głosem staruszek. — Błogosławię was, kimkolwiek jesteście.

Spojrzał mądrymi oczyma na ich wzruszone twarze, po czym się uśmiechnął.

— Witajcie mi — rzekł. — Co słyhać na dalekim świecie?

— Wszędzie ludzie pracują i bardzo się męczą — odpowiedział Jacek — a złoto sprawia ich o utratę zmysłów. A co się zdarzyło u ciebie, najlepszy człowieku? Byliśmy kiedyś w tych stronach i radzi byśmy wiedzieć.

— Spokojne tu jest życie — mówił stary człowiek — ale raz zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Jednego wieczora znikł tutaj z nieba księżyc w pełni. Było to niedawno po tym, jak uzdrowiłem ziołami i modlitwą jedną kobietę, która miała władzę odjętą w nogach i którą syn przyniósł z daleka we własnych ramionach.

— Czy być może? — wykrzyknął Jacek.

— Ptaki mi opowiadały, że dwaj nicponie ukradli księżyc chytrym sposobem.

— A co się z nimi stało?

— Nie wiem dobrze, ale pono<sup>228</sup> schwytali ich zbójcy. Ptaki wszystko wiedzą.

— A co się stało z księżycem?

Błogosławieństwo, Wina,  
Łzy

Praca, Chciwość

Ptak

<sup>227</sup>na przemiany (rzad.) — na przemian. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>pono (daw.) — ponoć. [przypis edytorski]

— O, mądry jest szelma<sup>229</sup> — zaśmiał się staruszek — nie darmo ma wiele tysięcy lat! Kiedy go schwytali, przyczał się i małał swoim zwyczajem, aż tak zbladł i tak się skurczył, że go nie było wcale widać. Wtedy ci głupcy wrzucili go do wody.

— A gdyby go byli nie wrzucili?

— Byłby musiał urósć znowu, bo takie jest jego prawo od stworzenia świata.

Chłopcy zaczęli śmiać się serdecznie.

— Dobrze im tak! — krzyknął wesoło Jacek.

Staruszek zmrużył figlarnie oko i rzekł:

— To ich nie bardzo żałujecie?

— Ani trochę! — zaśmiał się Placek.

— To dobrze — mówił staruszek. — Jeśli chcecie się pożywić i napić wody, to chętnie wam służę.

— Doskonale — zawołał Jacek. — Pójdziemy do źródła przy twojej chacie.

— A skąd ty wiesz, młodzieńcze, że przy mojej chacie jest źródło?

Jacek oblał się purpurą.

— Idźcie już, idźcie — zaśmiał się staruszek.

Wtem Placek, utkwivszy wzrok w jedno miejsce, zapytał cicho:

— Kto ci umarł, najzaczniejszą panie, bo widzę tam grób wśród białych brzoź?

Stary człowiek smutno westchnął i rzekł:

— Dawno temu, przed dziesięcioma może laty przyniósł do mnie mój oswojony niedźwiedz zemdlną z wyczerpania ślepą dziewczynkę, którą znalazł w lesie. Mówiła, biedactwo, że idzie do nieba, do swojej matki...

— Czy doszła? — zapytał Jacek.

— Tak, umarła cichutko w moich ramionach, uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Biedna Marysiu... — westchnął Placek.

Staruszek spojrział na nich tkliwie.

— Pomódlcie się na jej grobie, nad którym zawsze nocą śpiewa słowik — rzekł cicho.

— Wspominała mi o dwóch dobrych chłopcach, którzy ją nakarmili w drodze. Mówiła o nich słodko i rzewnie.

Chłopcy spędzili całą noc u staruszka, wzruszeni i szczęśliwi, kiedy zaś nazajutrz wybierali się w drogę, rzekli nieśmiało:

— Święty staruszk, jesteśmy bogaci i mamy wiele pieniędzy. Czy raczyłbyś przyjąć od nas kilkadziesiąt dukatów?

— A co to są dukaty? — zaśmiał się staruszek.

— Są to złote pieniądze.

— A co to są pieniądze?

Jacek nie umiał mu tego wyjaśnić, więc stary człowiek rzekł mu, śmiejąc się szczerze:

— Czy ja płacę drzewom za cień, a źródłu za wodę? Czy pszczoły wezmą ode mnie złoto za miód, a mój służka niedźwiedz za to, że mi przyniesie drewno na ognisko? Jedźcie zdrowo, młodzieńcy, jedźcie zdrowo! Dajcie te dukaty komuś biednemu, lecz nie dawajcie ich mnie, bo jestem bardzo, bardzo bogaty!

Ucałowali jego ręce i pognali w cwał.

On patrzył długo za nimi i śmiejąc się, mówił sam do siebie:

— Myśleli, że ich nie poznałem. Cha! Cha! Pocziwie mają serca, tylko wiatr mieli w głowach. Ej, kosie!

Wesoły ptak przysiadł na gałązce i śmiesznie zagwizdał.

— Poleć przed nimi i wskaż im drogę, gdyby zblądzi.

Kos gwizdnał zupełnie jak człowiek i poleciał.

Widzieli go czasem chłopcy, jak przysiadł na ich drodze i śmiesznie podrygiwał, przekrzywiwszy głowę; kiedy chcieli jechać w prawo, wesoły ptak rozpoczynał swój przeraźliwy gwizd i leciał w lewo...

— Zupełnie jakby nas prowadził — rzekł zdziwiony Jacek.

— Coś mi się zdaje — mówił Placek — że ja tego kosa widziałem w brzoźowym gaju.

— Takiemu można wierzyć!

<sup>229</sup>szelma — człowiek sprytny, ale często nieuczciwy. [przypis edytorski]

Jechali długo, nie mówiąc do siebie ani słowa. Nagle jadący na przedzie Placek wstrzymał konia tak gwałtownie, że aż zarył się kopytami w ziemię.

— Czemu stanąłeś? — krzyknął Jacek.

Placek w milczeniu wyciągnął przed siebie rękę.

— Zapiecek!

Kos, usłyszawszy to, wywinął kozła w powietrzu i poleciał w powrotną drogę.

Chłopcy patrzyli długo w nabożnym milczeniu. Tyle lat, tyle lat... Tyle historii i zdarzeń... Tyle mąk i utrapień... Byli na świecie i nic tam nie znaleźli. O, nie! Coś znaleźli: własne serca. Wyłowili je jak złote ryby w wielkim morzu tęsknoty. Wracają teraz z takim cudownym darem do tej, którą opuścili niegodnie. Chcieliby gorącymi łzami zaświadczyć, że ją teraz miłują ponad wszystko na świecie, lecz czy ich przyjmie? Czy ich nie odpędzi od progu jak włóczęgów?

— O Boże — modlił się Placek — spraw, niech nam matczyne serce przebaczy. Ukarz nas wedle sprawiedliwości, lecz niech nasza matka będzie szczęśliwa!

Jacek łkał cichutko.

Już w srebrzystej niebieskości wieczoru widać było krzywą wieżę Zapiecka. Oni jechali powoli, z lękiem niezmiernym i razem z niezmierną radością. Dusze mieli pełne drzeń, a serca pełne miłości.

Kiedy przybyli na wzgórze, skąd jak na dłoni było widać ich miasteczko, koń Jacka targnął się w bok, jakby się czegoś przestraszył.

— Ktoś tu jest przed nami — szepnął Placek.

— Mrok jest, nie widać dobrze... To pod krzyżem siedzi jakaś kobieta... Co tam robicie, kobieto? — zapytał Jacek.

— Czekam tu z ostatnim bochenkiem chleba — ozwał się słodki głos.

— Na kogo czekacie, dobra niewiasto?

— Na synów moich, którzy mogą wrócić głodni...

— O Jezu — mówił w gorączce Placek — ten głos!... Ten głos!... Matko! — krzyknął nagle i jakby go wiatr zwiął z siodła, zeskoczył z konia.

Po chwili staruszka mieszała swoje łzy z ich łzami.

— Czy nie jesteście głodni? — pytała, łkając.

— O nie, matko słodka, najdroższa matko. A ty, czy dawno jadłaś?

— Przed wielu, wielu dniami — mówiła szczęśliwa. — Ale ten chleb jest dla was.

Chłopcy całowali jej nogi.

W oddali, w miasteczku, zaczęto dzwonić na *Anioł Pański*<sup>230</sup>.

Z nieba zaczęły padać bez szelestu wieczorne lilie i róże.

---

<sup>230</sup>*Anioł Pański* — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i wieczorem, o której dawniej przypominano wiernym, bijąc w dzwony kościelne. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makuszyński-o-dwóch-takich-co-ukradli-ksiezyc/>

Tekst opracowany na podstawie: Kornel Makuszyński, *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1982.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl)). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marianna Czabator, Michał Orzechowski, Natalia Goździak.

ISBN 978-83-288-7846-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.